

Adams Douglas

Holistyczna Agencja Detektywistyczna Dirka Gently'ego

Tłumaczyła Kinga Dobrowolska

Od Autora

Zamieszczony w tej książce opis Kolegium Świętego Cedda, jeśli w ogóle skupia się na jakichś szczegółach, zawdzięcza je głównie moim wspomnieniom o Kolegium Świętego Jana w Cambridge, choć zapożyczałem się także bez specjalnych uprzedzeń u innych szkół. Sir Isaac Newton uczęszczał w rzeczywistości do Kolegium Trójcy Świętej, a Samuel Taylor Coleridge do Kolegium Jezusa.

Chodzi o to, że Kolegium Świętego Cedda to całkowicie fikcyjny twór, zlepek, nie należy więc doszukiwać się żadnych podobieństw pomiędzy przedstawionymi tu instytucjami oraz postaciami a rzeczywistymi instytucjami oraz ludźmi - żywymi, martwymi lub też błądzącymi wśród nocy w upiornej męce.

Książka ta została napisana i wydrukowana na komputerze Apple Macintosh Plus oraz drukarce LaserWriter Plus przy użyciu oprogramowania marki MacAutor.

Na koniec zaś chciałbym szczególnie gorąco podziękować pani Sue Freestone za wszelką pomoc, której doświadczyłem od niej przy narodzinach tego dzieła.

Douglas Adams

Londyn. 1987

Mojej matce,

której spodobał się kawałek z koniem

Rozdział pierwszy

Tym razem nie będzie żadnych świadków.

Tym razem była tylko martwa ziemia, huk gromu i początek tej nie kończącej się lekkiej mżawki z północnego wschodu, która odtąd, jak się zdaje, towarzyszy wszystkim najdonioślejszym chwilom w dziejach świata.

Ustały już wczorajsze i przedwczorajsze burze, opadła zesłotygodniowa powódź. Niebiosą wprawdzie nadal pęczniały od deszczu, lecz w narastającej grozie wieczoru zaciągała tylko ohydna mżawka.

Poryw wiatru smagnął ciemniejącą równinę, zabłąkał się na chwilę wśród niewysokich pagórków, po czym wionął przez nieduże zagłębienie doliny, w samym środku której wznosiła się jakaś konstrukcja, coś jakby przechylona wieża, samotna wśród koszmaru błot.

Wieża przypominała poczerniały pniak. Sterczała w górę jak intruzja magmy, która wypłynąć mogła tylko z najbardziej zatraconej czeluści piekieł. Pochylała się pod dosyć szczególnym kątem, jak gdyby przygnieciona czymś dużo poważniejszym niż tylko jej własna, dość znaczna przecież masa.

Jedynym ruchem, jaki dało się tu zauważyć, był powolny przepływ rzeki błota, która sunęła ospale doliną u stóp wieży. Jakąś milę czy dwie dalej rzeka ta wpadała w jar i tam zniknęła pod ziemią.

Lecz w miarę jak narastały ciemności, stawało się coraz bardziej oczywiste, że wieża nie jest zupełnie pozbawiona życia. Głęboko w jej wnętrzu pulsował pojedynczy strumień zamglonego, czerwonego światła.

Światło to było ledwo widoczne - pomijając, rzecz jasna, fakt, że i tak nie było tam nikogo, kto mógłby je widzieć (tym razem żadnych świadków) - niemniej światło to z całą pewnością istniało. Najpierw z każdą minutą stawało się odrobinę mocniejsze i odrobinę jaśniejsze, a potem powoli zanikało, aż w końcu niemal zupełnie zniknęło. W tym samym czasie z wiatrem przyżeglował cichy, żałobny głos; dźwięk narastał aż do kulminacyjnego lamentu, po czym rozwiął się, powoli i smętnie.

Minęło nieco czasu i pojawiło się następne światło, tym razem małe i ruchome. Pojawiło się tuż przy ziemi i poczęło chybotliwie okrążać wieżę, od czasu do czasu przerywając na chwilę swój kolisty marsz. A potem światelko oraz ledwo dostrzegalny cień niosącej go postaci na powrót zniknęły we wnętrzu wieży.

Upłynęła godzina, a wraz z jej końcem nastąpiła absolutna ciemność. Świat wyglądał jak martwy, noc przeistoczyła się w pustkę.

Później poświata znów się pokazała, bliżej wierzchołka wieży, i tym razem narastanie światła zdawało się mieć jakiś konkretny cel. Szybko urosło do uprzednio osiągniętego szczytowego punktu natężenia i pięło się dalej, ciągle narastając. Żałobny głos, który mu towarzyszył, wznosił się coraz wyżej i brzmiał coraz ostrzej, aż przeistoczył się w przeraźliwe, żalosne wycie; i ono nie ustawało - przeistoczyło się w oślepiający wrzask, a światło przeszło w ogłuszającą czerwień.

Aż wtem zamarły - i wrzask, i światło.

Nastąpiła milisekunda ciemności i ciszy.

Wśród błota u stóp wieży nabrzmiało i zachybotało nowe, zdumiewające i blade światło. Niebo zwarło się gwałtownie, góra błota konwulsyjnie zadrżała, niebiosy i ziemia ryknęły coś do siebie, nastąpiła potworna różowość, nagła zieloność, chmury zaplamiła ociążała pomarańczowość, a potem światło zgasło i wreszcie zapadła głęboka, ohydna ciemność. Nie słychać było nic poza miękkim pluskiem wody.

Za to rankiem słońko wstało, nadając niezwykajny blask dniowi, który był, a raczej wydawał się, albo może raczej wydawałby się - gdyby na miejscu znajdował się ktoś, komu mogłoby się cokolwiek wydawać - cieplejszy, jaśniejszy i przejrzystszy, jednym słowem: o wiele bardziej żywy niż wszystkie dni przed nim. Wśród potrzaskanych resztek doliny płynęła teraz przejrzysta rzeka.

Czas zaczął płynąć na poważnie.

Rozdział drugi

Wysoko na skalistym półwyspie siedział elektryczny mnich na znudzonym koniu. Spod szorstkiej tkaniny kaptura wpatrywał się bez zmrużenia oka w zupełnie inną dolinę, z którą miał właśnie pewien problem.

Dzień był gorący; słońce stało wysoko na zamglonym, pustym niebie i biło bezlitośnie w szare skały i szczeciniastą, wysuszoną trawę. Wszystko tkwiło w bezruchu, nawet mnich. Jedyne ogon konia drgał leciutko w daremnej próbie poruszenia stężałego powietrza, lecz poza tym już nic. Wszystko inne pozostawało nieruchome.

Elektryczny mnich to urządzenie, które ma zaoszczędzić człowiekowi pracy, tak jak zmywarka do naczyń albo magnetowid. Zmywarki załatwiają za niego nudne zmywanie, magnetowidy - nudne oglądanie telewizji, elektryczne mnichy zaś zastępują go w wierze w najróżniejsze rzeczy, uwalniając w ten sposób od prawdziwie uciążliwego obowiązku - wierzenia w to wszystko, w co świat każe mu wierzyć.

Niestety, w tym akurat elektrycznym mnichu powstała pewna usterka, wskutek której zaczął on wierzyć w najrozmaitsze, na chybił trafił wybrane rzeczy. Zdarzało mu się uwierzyć w coś, w co nawet mieszkańcy Salt Lake City uwierzyliby z najwyższym trudem. Mnich, rzecz jasna, nigdy nie słyszał o Salt Lake City. Nie słyszał także o kwingiglionie, a jest to mniej więcej tyle, ile mil dzieliło jego dolinę od Wielkiego Słonego Jeziora w Utah.

Problem z doliną przedstawiał się tak: mnich aktualnie wierzył, że owa dolina, wraz ze wszystkim, co się w niej znajdowało, i wszystkim, co ją otaczało - nie wyłączając samego mnicha i jego konia - była w jednolitym odcieniu bladego różu. Z faktu tego wynikała niejaka trudność w rozróżnianiu

poszczególnych obiektów, w związku z czym wszelkie działania stały się praktycznie niemożliwe, a w każdym razie trudne i niebezpieczne. I stąd właśnie brała się nieruchawość mnicha oraz znudzenie konia, który swego czasu musiał znosić różne głupstwa, lecz żywił sekretne przekonanie, że teraz ma do czynienia z najgorszym.

Od jak dawna mnich wierzył w to wszystko?

Hm, jeśli już o tym mowa, to od zawsze. Wiara, która przenosi góry, a przynajmniej wbrew wszelkim istniejącym dowodom utrzymuje, że są one różowe, jest wiarą solidną i trwałą, potężną opoką, w którą świat może sobie ciskać, co zechce, bo i tak nie wstrząśnie jej posadami. W praktyce - koń wiedział o tym doskonale - nie przetrwała nigdy dłużej niż dobę.

Cóż to zatem za koń, który miewa własne opinie i bywa sceptyczny? Cechy nieczęsto spotykane u koni, nieprawdaż? Może więc jakiś niezwykły koń?

Nie. Choć niewątpliwie był to niebrzydki i dość harmonijnie zbudowany przedstawiciel gatunku, niemniej był to absolutnie zwyczajny koń - produkt, jakim ewolucja konwergentna obdarzyła nas w wielu wypełnionych życiem miejscach. Od dawien dawna konie rozumieją o wiele więcej, niż dają po sobie poznać. Trudno wszak całymi dniami nosić na grzbiecie inną istotę i nie wyrobić sobie na jej temat określonego zdania.

Z drugiej zaś strony, jest całkiem możliwe, że kiedy całymi dniami siedzi się na grzbiecie innej istoty, nie poświęci się jej nawet jednej myśli.

Kiedy budowano wczesne modele mnichów, zakładano, iż ważne jest, aby móc natychmiast rozpoznawać w nich sztuczne twory. Nie mógł zaistnieć nawet cień prawdopodobieństwa, że będą wyglądać jak żywi ludzie. Sam, czytelniku, pewnie też nie chciałbyś, żeby twój magnetowid wylegiwał się na kanapie, kiedy ogląda za ciebie telewizję, zapewne nie życzyłbyś sobie również, żeby zaczął dłubać w nosie, popijać piwo i wysyłać cię po pizzę.

Tak więc pierwsze modele mnichów konstruowano ze zwróceniem szczególnej uwagi na oryginalny zarys sylwetki oraz na praktyczną umiejętność jazdy konnej. To ostatnie miało istotne znaczenie: ludzie - no i przedmioty - siedząc na koniu, wyglądają o wiele bardziej szczerze. Tak więc urządzeniom przydano parę nóg jako bardziej odpowiednie i tańsze niż normalny u naczelnych zestaw siedemnastu, dziewiętnastu czy dwudziestu czterech. Skóra mnichów była różowawa, a nie purpurowa, miękka i gładka, a nie karbowana. Ograniczono im także liczbę ust i nosów - zostawiono zaledwie po jednej sztuce - dorzuciwszy za to dodatkowe oko, co w sumie dawało parę. Doprawdy, dziwaczny stwór. Ale znakomity, jeśli chodzi o dawanie wiary najbardziej niedorzecznym bzdurom.

Usterka w naszym egzemplarzu powstała, kiedy pewnego dnia kazano mu uwierzyć w zbyt wiele bzdur naraz. Przez pomyłkę podłączono go do magnetowidu, który oglądał jednocześnie jedenaście programów telewizyjnych, a to spowodowało wybuch w obwodach nielogiczności. Magnetowid miał je tylko oglądać. Wcale nie musiał w to wszystko zaraz wierzyć. Oto dlaczego tak ważne są instrukcje obsługi.

Tak więc po tygodniu rozgorączkowanego przekonania, że wojna to pokój, zło to dobro, a księżyc wykonano z niebieskiego sera oraz że Bóg potrzebuje wielkiej sumy pieniędzy, którą należy wysłać pod pewien numer skrytki pocztowej, mnich zaczął wierzyć, że trzydzieści pięć procent wszystkich

stołów to hermafrodyty, po czym się zepsuł. Człowiek ze sklepu z mnichami orzekł, że trzeba by wymienić całą podstawową płytę urządzenia, po czym dodał, że ulepszony model Mnich Plus ma dwa razy większą moc oraz całkiem nową funkcję „Pojemność negacyjna”, co oznacza, że może utrzymać naraz w pamięci szesnaście zupełnie różnych i wzajemnie sprzecznych pojęć, nie generując przy tym żadnych irytujących błędów systemowych, jest dwa razy szybszy i trzy razy płynniejszy, a przy tym można mieć całkiem nowy model za mniej, niż wyniesie koszt wymiany płyty.

I to już był koniec. Po wszystkim.

Zepsuty mnich został wywieziony na pustynię, gdzie mógł sobie wierzyć, w co mu się żywnie podoba, łącznie z przekonaniem, że został potraktowany dość podle. Pozwolono mu zatrzymać konia, ponieważ produkcja koni jest nadzwyczaj tania.

Przez pewną liczbę dni i nocy, która według jego wierzeń wynosiła naprzemiennie trzy, czterdzieści trzy albo dziewięćdziesiąt osiem tysięcy siedemset trzy, błąkał się po pustyni, pokładając swą prostą elektryczną wiarę w skałach, ptakach, chmurach oraz pewnej nie istniejącej formie słońca-szparaga, aż w końcu utknął tutaj, na tej wysokiej skale, spoglądając w dolinę, która nie była, mimo jego niewzruszonej pewności, różowa. Ani trochę.

Czas płynął.

Rozdział trzeci

Czas płynął.

Susan czekała.

A im bardziej Susan czekała, tym bardziej dzwonek u drzwi nie dzwonił. Ani telefon. Spojrzała na zegarek. Czekała, że zbliża się pora, kiedy będzie miała pełne prawo się wściec. Naturalnie wściekła się już znacznie wcześniej, ale to było, by tak rzec, o jej porze.

A teraz dawno minęła już i jego pora; nawet wzięwszy pod uwagę korki, pech, pewną ogólną nieokreśloność oraz opieszałość, pół godziny temu minęła pora, o której - jak się upierał - absolutnie i bezwzględnie muszą wyjść, jeśli mają zdążyć, więc lepiej niech będzie gotowa.

Usiłowała się martwić, że mogło mu się przydarzyć coś złego, ale nie wierzyła w to ani przez chwilę. Jemu nigdy nie przydarzało się nic złego, choć zaczynała mieć poczucie, że coś powinno mu się wreszcie przytrafić. A jeśli nie przytrafi się samo, to może ona powinna się tym zająć. To jest jakaś myśl.

Ze złością rzuciła się na fotel i zaczęła oglądać wiadomości; rozeźliły ją jeszcze bardziej. Pstryknęła pilotem i przez chwilę oglądała coś na innym kanale. Nie miała pojęcia, co to jest, ale też ją rozeźliło.

Może powinna zadzwonić. Prędzej ją diabli wezmą. A może kiedy ona dzwoniłaby do niego, on zadzwoniłby do niej i oboje by się nie dodzwonili.

Sama przed sobą nie chciała przyznać, że mogła coś takiego pomyśleć.

Niech go wszyscy diabli, gdzie on się podziewa? A zresztą, kogo to może obchodzić? Bo ją na

pewno nie.

Robi jej to już trzeci raz. Trzy razy z rzędu to zupełnie wystarczy. Jeszcze raz ze złością przełączyła kanały. Znalazła program o komputerach i o jakichś bardzo ciekawych odkryciach w dziedzinie tego, co można wyczyniać z komputerem i muzyką.

To już koniec. Naprawdę koniec. Wiedziała doskonale, że już to sobie powiedziała, zaledwie parę sekund temu, ale tym razem to już prawdziwy, ostateczny i nieodwołalny koniec.

Skoczyła na równe nogi i podeszła do telefonu, po drodze chwytając gniewnie książkę telefoniczną. Przewertowała ją szybko i już po chwili wykręcała numer.

- Halo, Michael? Tak, tu Susan. Susan Way. Powiedziałeś, żebym zadzwoniła, jeśli będę miała wolny wieczór, a ja odpowiedziałam, że prędzej skonam w rynsztoku. Otóż nagle odkryłam, że mam wolny wieczór, absolutnie i dogłębnie wolny, a w promieniu kilku mil nie ma przyzwoitego rynsztoka. Dlatego radzę ci: chwytaj szansę. Za pół godziny będę w Tangiers Club.

Włożyła płaszcz i buty, zatrzymała się na chwilę, kiedy przypomniła sobie, że jest czwartek i że powinna założyć nową, szczególnie długą taśmę do swej automatycznej sekretarki, i po niespełna dwóch minutach była już przed drzwiami. A kiedy telefon w końcu zadzwonił, automatyczna sekretarka odpowiedziała grzecznie, że Susan Way nie może w tej chwili podejść do telefonu, lecz jeśli rozmówca życzy sobie zostawić wiadomość, Susan przy najbliższej sposobności oddzwoni. Albo i nie.

Rozdział czwarty

To był chłodny listopadowy wieczór w starym stylu.

Księżyc wyglądał blado i mizernie, jakby nie powinien był zwlekać się z łóżka w wieczór taki jak ten. Wszedł niechętnie i zawisł jak widmo. Na jego tle rysowały się - niewyraźnie i mglisto z powodu wilgoci, która podnosiła się niezdrowym oparem znad bagnisk - wieżyczki i iglice Kolegium Świętego Cedda w Cambridge; widmowa obfitość budynków, przemieszanych ze sobą bez względu na wiek: średniowieczne obok wiktoriańskich, adam obok tudora. Tylko we mgle mogły uchodzić za jednolitą całość.

Pomiędzy budynkami przemykały spiesznie jakieś postacie, pędząc od jednego zamglonego kręgu światła do drugiego, trzęsąc się i pozostawiając za sobą blade widma oddechu, które rozwiewały się w zimnym mroku.

Była siódma. Wiele z tych postaci zmierzało do sali jadalnej, która oddzielała dziedziniec pierwszy od dziedzińca drugiego i od której płynął niechętnie strumień ciepłego światła. Dwie z owych postaci wydawały się szczególnie źle dobrane. Pierwsza z nich - młody człowiek, wysoki, chudy i kanciasty - choć zakutana w gruby i ciężki płaszcz, idąc, wyglądała jak lekko urażona czapla.

Drugą był mały, okrągławy człowieczek, który poruszał się z niezdarną nerwowością, jak stadko podstarzałych wiewiórek, które próbują wydostać się z worka. Jego wiek zaś krążył w okolicach bliżej nieokreślonej starości. Gdyby podać jakąś pierwszą z brzegu liczbę, byłby najpewniej troszeczkę starszy, lecz - no cóż, naprawdę trudno to określić. Z całą pewnością miał bardzo pomarszczoną twarz, a kosmyk włosów, który wymknął się spod czerwonej czapeczki narciarskiej,

był biały, wąty i najwyraźniej hołdował własnym wyobrażeniom na temat właściwego ułożenia. Także ten mężczyzna zakutany był w gruby płaszcz, lecz na nim narzuconą miał wydymającą się na wietrze togę z wyblakłą purpurową lamówką, oznaką jego szczególnej i niepowtarzalnej akademickiej pozycji.

To właśnie on gadał przez cały czas ich wędrówki. Po drodze pokazywał rozmaite ciekawostki, nie przejmując się zbytnio tym, że w ciemnościach i tak nie można było ich dojrzeć. Młody człowiek rzucał sporadyczne: „Ach, tak?” albo: „Naprawdę? To bardzo interesujące...” oraz: „Coś takiego” i „Wielkie nieba”. Z powagą kiwał głową.

Weszli do budynku jadalni, nie głównym wejściem, lecz niewielkimi drzwiczkami od wschodniej strony. Prowadziły one do pokoju dla starszych wykładowców i do wyłożonego ciemną boazerią przedsionka, gdzie starszyzna uniwersytecka zebrała się, aby pozabijać ręce i zrobić „brrrrrr”, zanim wkroczy przez główne wejście, by zasiąść przy profesorskim stole.

Byli już spóźnieni, więc pospiesznie zrzucili płaszcze. Czynność tę dodatkowo skomplikował fakt, że starszy mężczyzna musiał najpierw zdjąć swą profesorską togę, potem, kiedy już zdjął płaszcz, włożyć ją ponownie, potem wepchnąć czapkę do kieszeni płaszcza, potem zastanowić się, gdzie też mógł podziąć szalik, potem dojść do wniosku, że wcale go ze sobą nie przyniósł, potem wyłowić z kieszeni płaszcza chusteczkę, potem przeszukać inną kieszeń w pogoni za okularami, by w końcu znaleźć je niespodziewanie owinięte we własny szalik, który, jak się okazało, przyniósł jednak ze sobą, chociaż nie owinął nim szyi mimo ostrego i wilgotnego wiatru, który wiał od mokradeł jak oddech wiedzmy.

Na koniec wepchnął młodszego mężczyznę do jadalni, gdzie zajęli dwa ostatnie wolne miejsca przy profesorskim stole, dzielnie stawiając czoło lawinie nastroszonych spojrzeń i wzniesionych brwi, jaka spadła na nich za przeszkadzanie w trakcie odmawianej po łacinie modlitwy przed jedzeniem.

Dziś wieczorem jadalnia była pełna. Zimową porą zwykle cieszyła się wśród studentów większą popularnością. Niezwykle było to, że rozświetlały ją jedynie płomyki świec, co zdarzało się tylko przy bardzo wyjątkowych okazjach. Dwa zatłoczone stoły ciągnęły się daleko w rozmigotany od płomieni półmrok. W blasku świec twarze ludzi przybierały bardziej ożywiony wygląd, ściszone szepty oraz pobrzękiwanie kieliszków i sztućców zdawały się bardziej ekscytujące niż zazwyczaj, a w ciemnych zakamarkach auli przyczały się wszystkie stulecia jej istnienia. Profesorski stół tworzył poprzeczkę na samym końcu sali i wznosił się nieznacznie ponad inne stoły. Ponieważ tego wieczoru na sali byli zaproszeni goście, stoły zastawiono po obu stronach, tak że wielu przybyłych siedziało plecami do reszty.

- Tak więc, młody MacDuffie - odezwał się profesor, kiedy już rozsiadł się wygodnie i strzepnięciem rozłożył serwetkę - bardzo miło znowu cię widzieć, mój drogi kolego. Cieszę się, że przyjechałeś. Nie mam pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi - dodał skonsternowany, rozglądając się dookoła - te świece, srebro i cała reszta. Zazwyczaj oznacza to uroczystą kolację na cześć kogoś czy czegoś, co nikomu już nie kojarzy się inaczej niż tylko z nieco lepszym jedzeniem.

Przerwał i zamyślił się na chwilę, po czym dodał:

- To zastanawiające, nie sądzisz, że jakoś jedzenia zmienia się odwrotnie proporcjonalnie do natężenia światła. Człowiek zaczyna się zastanawiać, na jakie szczyty sztuki kulinarnej mógłby

wspiąć się personel kuchni, jeśli by pograżyć go w permanentnych ciemnościach. Wydaje mi się, że warto spróbować. Pod budynkiem naszego kolegium mamy lochy, które można by do tego celu przystosować. Chyba oprowadzałem cię kiedyś po nich, co? Piękna murarka.

Słowa te sprawiły młodemu człowiekowi dużą ulgę, ponieważ było to pierwsze napomknienie wskazujące na to, że profesor przypomina sobie, z kim ma do czynienia. Urban Chronotis, Profesor Regius Katedry Chronologii, albo Reg, jak uparcie kazał się nazywać, miał pamięć, którą sam kiedyś przyrównał do motyla pazia królowej: jest bajecznie kolorowa, polatuje wdzięcznie tu i tam - i, niestety, niemal zupełnie już wyginęła.

Kiedy zatelefonował z zaproszeniem kilka dni wcześniej, zdawało się, że ma ogromną ochotę na spotkanie ze swym byłym studentem, a mimo to, gdy Richard się zjawił - co prawda trochę późno - profesor otworzył drzwi jakby ze złością, po czym zdumiał się na jego widok, zażyczył sobie wiedzieć, czy Richard ma znów jakieś problemy emocjonalne, zirytował się na łagodne przypomnienie, że minęło już dziesięć lat, odkąd przestał być jego, Richarda, nauczycielem, aż w końcu zgodził się, że rzeczywiście byli umówieni na kolację, i od tej chwili starszy pan zaczął mówić szybko i szczegółowo na temat architektury budynków kolegium - widomy znak, że jego umysł błędził zupełnie gdzie indziej.

Tak naprawdę Reg nigdy nie uczył Richarda, był tylko opiekunem roku, co w skrócie oznaczało, że miał obowiązek dbać o jego ogólnie pojęte dobro, informować o terminach egzaminów, ostrzegać przed narkotykami i tak dalej. W rzeczy samej, nigdy nie było do końca jasne, czy Reg w ogóle kogokolwiek kiedykolwiek uczył i czego właściwie mógłby kogoś nauczyć. Jego profesura była, oględnie mówiąc, dość tajemnicza, a z obowiązkową dydaktyką radził sobie za pomocą starego i sprawdzonego sposobu - mianowicie wszystkich potencjalnych studentów obciążał wyczerpującą listą lektur, co do których miał pewność, że nie były wznawiane od najmniej trzydziestu lat, po czym wpadał we wściekłość, kiedy nie potrafili ich odnaleźć. Nikt nigdy nie zdołał odkryć, na czym właściwie polega jego dyscyplina akademicka. On sam, rzecz jasna, już dawno temu przedsięwziął pewne konieczne kroki i pousuwał z bibliotek ostatnie egzemplarze książek ze swej listy lektur, w wyniku czego miał dostatecznie dużo czasu, żeby się zajmować tym czym się zajmował - cokolwiek to było.

Ponieważ Richard całkiem nieźle dogadywał się ze starym dziwakiem, zebrał się pewnego dnia na odwagę, by zapytać, co to właściwie znaczy Profesor Regius Katedry Chronologii. To był jeden z tych jasnych, prawie letnich dni, kiedy świat wygląda, jakby miał za chwilę pęknąć z radości, że jest, jaki jest. Reg był wtedy w mało charakterystycznym dla siebie przystępnym nastroju. Przechodzili właśnie po moście na rzece Cam, która oddziela starszą część uniwersytetu od nowszych.

„To synekura, drogi kolego, czysta synekura - rozpromienił się. - Niewielka sumka za niewielki czy raczej nie istniejący nakład pracy. Stawia mnie to w bardzo dogodnej pozycji, która pozwala wieść wygodny, choć skromny żywot”. Przechylił się przez barierkę mostu i zaczął wskazywać na cegłę, która z jakichś względów wydała mu się godna uwagi.

„Ale co to ma być za nauka? - nie ustępował Richard. - Czy to historia? Fizyka? Filozofia? Co to właściwie jest?”

„Hm - odparł Reg - skoro to cię tak interesuje, katedra ta została ustanowiona przez króla Jerzego III,

który, jak wiesz, hołubił wiele zabawnych przekonań, łącznie z głęboką wiarą, że jedno z drzew w parku winsdorskim jest tak naprawdę Fryderykiem Wielkim. To on obsadzał to stanowisko, stąd <<Regius>>. Sam też to wszystko wymyślił, więc brzmi trochę niecodziennie”.

Promienie słońca igrały na rzece Cam. Ludzie pływający w szerokich, płaskodennych łodziach wykrzykiwali do siebie wesołe „Odpieprz się”. Chuderlawi doktorzy nauk przyrodniczych, którzy całe miesiące spędzali zamknięci we własnych pokojach, coraz bielsi i coraz bardziej podobni do ryb, teraz wychynęli, mrugając, na światło. Parki spacerujące wzdłuż brzegów tak podekscytowały się ogólnie panującą cudownością, że musiały natychmiast skoczyć na godzinkę do domu.

„Uciemieżony nieborak - mówił dalej Reg. - Mam na myśli Jerzego III. Miał, jak ci wiadomo, obsesję na punkcie czasu. Zapełnił pałac zegarami. Nakręcał je bez ustanku. Czasem wstawał w środku nocy i w nocnej koszuli krążył po całym pałacu, nakręcając zegary. Bo widzisz, bardzo zależało mu na tym, żeby czas nie przestawał płynąć do przodu. W jego życiu zdarzyło się tyle strasznych rzeczy, że nieustannie lękał się, iż mogą się powtórzyć, gdyby choć na chwilę pozwolił czasowi popłynąć wstecz. Obawy całkiem zrozumiałe, zwłaszcza gdy ktoś jest kompletnie stuknięty, a taki był, muszę to przyznać mimo całej do niego sympatii, nasz król. Ustanowił mnie, a raczej to stanowisko, tę profesurę - rozumiesz, stanowisko, które mam przywilej obecnie piastować... O czym to ja? Ach, tak. Ustanowił tę, hm, Katedrę Chronologii, żeby się dowiedzieć, czy jest jakaś konkretna przyczyna, dla której jedna rzecz następuje po drugiej, i czy można temu jakoś zaradzić. Ponieważ odpowiedzi na te trzy pytania brzmią - wiedziałem od razu - <<tak>>, <<nie>> i <<być może>>, zdałem sobie sprawę, że resztę kariery naukowej mogę sobie darować”.

„A pańscy poprzednicy?”

„Hm, byli mniej więcej tego samego zdania”.

„Ale kim byli?”

„Kim byli? Cudownymi facetami, rzecz jasna, wszyscy co do jednego. Przypomnij mi któregoś dnia, żebym ci o nich opowiedział. Widzisz tę cegłę? Kiedyś zwymiotował na nią Wordsworth* [* William Wordsworth (1770-1850), poeta angielski, którego Ballady liryczne (1798). uzupełnione trzema utworami Coleridge’a, odegrały w narodzinach romantyzmu angielskiego rolę analogiczną do roli Ballad i romansów Mickiewicza w Polsce. (Wszystkie przypisy pochodzą od redakcji.)]. Wspaniały człowiek”.

Rozmowa ta miała miejsce mniej więcej dziesięć lat temu.

Richard rozejrzał się po wielkiej jadalni, żeby zobaczyć, czy od tamtego czasu coś się zmieniło, a odpowiedź brzmiała, rzecz jasna: nic. Wysoko wśród mroku, niewyraźne w migoczącym blasku świec, wisały widmowe portrety premierów, arcybiskupów, reformatorów i poetów, z których każdy mógł być w swoim czasie zwymiotować na tę samą cegłę.

- No cóż - odezwał się Reg konfidencjonalnie głośnym szeptem, jak gdyby zamierzał poruszyć temat przebijania brodawki sutkowej w refektarzu zakonu żeńskiego. - Słyszałem, że w końcu udało ci się wyjść na swoje, co?

- Hm, no tak, rzeczywiście - odrzekł Richard, którego fakt ten zdumiewał nie mniej niż innych. - Tak,

udało mi się.

Z okolicznych siedzisk zwróciło się ku niemu kilka twardych spojrzeń.

- Komputery - usłyszał, jak ktoś szepcze uspokajająco do najbliższego sąsiada. Twarde spojrzenia zmiękły i pobiegły w inną stronę.

- Znakomicie - powiedział Reg. - Bardzo się cieszę, bardzo.

- Powiedz mi - kontynuował i minęła dobra chwila, zanim Richard zdał sobie sprawę, że profesor zwraca się już nie do niego, lecz do sąsiada siedzącego po prawej - z jakiej to okazji? - Tu niedbałym ruchem dłoni wskazał świece i srebrne sztucce.

Jego sąsiad, starszy, pomarszczony gość, odwrócił się ku niemu powoli i spojrzał tak, jakby nie spodobało mu się to obcesowe wskrzeszenie z martwych.

- Coleridge* [* Samuel Taylor Coleridge (1772-1834), poeta, najbardziej konsekwentny metafizyk wśród romantyków angielskich.] - zgrzytnął cienko. - To kolacja ku czci Coleridge'a, stary kretynie. - I bardzo powoli odwracał się z powrotem do momentu, aż znów siedział twarzą do stołu. Nazywał się Cawley i był profesorem archeologii i antropologii, a za plecami szeptano o nim często, że traktuje je nie tyle jak poważne dziedziny nauki, ile jako powrót w szczęśliwe czasy dzieciństwa.

- Ach tak - wymamrotał Reg - doprawdy? - Znów zwrócił się do Richarda. - To kolacja ku czci Coleridge'a - oświadczył ze znajomością rzeczy. - Wiesz, że Coleridge był członkiem naszego kolegium - dodał po chwili. - Coleridge. Samuel Taylor. Poeta. Spodziewam się, że już o nim słyszałeś. To jego kolacja. Nie dosłownie, rzecz jasna. Do tej pory już dawno by wystygła. - Chwila ciszy. - Proszę, oto sól.

- E, dziękuję bardzo, chyba trochę z tym poczekam - bąknął zaskoczony Richard. Jeszcze nie podano żadnej potrawy.

- Śmiało, weź - nalegał profesor, wyciągając ku niemu srebrną solniczkę.

Richard zamrugał zdziwiony, lecz wzruszając w duchu ramionami, sięgnął po nią w końcu. Jednakże w chwili gdy mrugał, solniczka zniknęła bez śladu.

Wzdrygnął się, zaskoczony.

- Niezłe, co? - zagadnął Reg, wyciągając zaginioną flaszeczkę zza ucha swego na wpół martwego sąsiada po prawej, czym niespodziewanie wywołał dziwnie dziewczęcy chichot gdzieś w głębi sali. Uśmiechnął się szelmowsko. - Wiem, to bardzo irytujący zwyczaj. Na mojej liście nałogów do rzucenia plasuje się tuż po tytoniu i pijawkach.

No cóż, to kolejna rzecz, która pozostała nie zmieniona. Niektórzy dłubią w nosie, inni nałogowo biją na ulicach staruszki. Wada Rega była nieszkodliwa, choć dosyć szczególna: był uzależniony od dziecinnych sztuczek magicznych. Richard pamiętał dzień, kiedy pierwszy raz przyszedł do niego ze swoimi problemami - był to zwyczajny Angst* [* Die Angst (niem.) - strach.], który okresowo chwyta młodszych studentów, szczególnie zaś wtedy, kiedy mają do napisania jakiś esej, lecz wówczas wydawało się, że ma solidny ciężar gatunkowy, Reg siedział i z wyrazem głębokiego

skupienia na twarzy słuchał jego wynurzeń, a kiedy Richard wreszcie skończył, profesor zadumał się głęboko, długo gładził się po brodzie, aż na koniec pochylił się ku niemu i spojrzał mu w oczy.

„Jak podejrzewam - rzekł - twój problem polega w zasadzie na tym, że masz w nosie za dużo spinaczy”.

Richard gapił się, zdumiony.

„Pozwól, że ci zademonstruję - powiedział Reg i wyciągnął mu z nosa łańcuch jedenastu spinaczy do papieru oraz małego gumowego łabędzia. - Oto prawdziwy winowajca - dodał, podnosząc w górę łabędzia. - Przybywają w paczkach płatków śniadaniowych i sprawiają bezlik kłopotów. No cóż, cieszę się, że odbyliśmy tę małą pogawędkę, mój młody przyjacielu. Proszę, nie wahaj się zwracać mi głowę, kiedy tylko znów będziesz miał tego rodzaju problemy”.

Nie trzeba dodawać, że Richard nie zrobił tego nigdy więcej.

Obiegł teraz spojrzeniem cały stół, żeby zobaczyć, czy rozpozna jeszcze kogoś z dawnych studenckich czasów.

O dwa miejsca dalej siedział dziekan, który za czasów Richarda był dyrektorem Instytutu Filologii Angielskiej i który w żaden sposób nie dał po sobie poznać, że go rozpoznaje. Nie było w tym nic szczególnie zaskakującego, ponieważ swoje trzy lata tutaj Richard spędził, wytrwale go unikając, często posuwając się przy tym nawet do zapuszczenia brody i udawania, że jest kimś zupełnie innym.

Obok dziekana siedział mężczyzna, którego Richard nigdy nie zdołał zidentyfikować. Nie był w tym zresztą odosobniony. Mężczyzna był chudy, przypominał nornicę i miał niezwykle długi, kościsty nos - naprawdę bardzo, bardzo długi i kościsty. W rzeczy samej jego nos dość mocno przypominał ów kontrowersyjny kil, który umożliwił Australijczykowi zdobycie Pucharu Ameryki w 1983, które to podobieństwo w swoim czasie było obszernie komentowane, choć oczywiście zawsze za jego plecami. Nikt nigdy nie mówił mu niczego w twarz.

Nikt.

Nigdy.

Każdy, kto widział go po raz pierwszy, na widok jego nosa czuł się tak zaskoczony i zakłopotany, że w ogóle nie mógł się odezwać, a za drugim razem było jeszcze gorzej z powodu tego pierwszego razu i tak dalej. Mijały lata - dokładnie mówiąc, siedemnaście. Cały ten czas człowiek ów spędził spowity ściśle w milczeniu. W jadalni od dawna panował zwyczaj, że obsługa stawiała po obu jego stronach oddzielny zestaw soli, pieprzu i musztardy, ponieważ nikt nie potrafił go poprosić, żeby je podał, a prosić kogoś, kto siedział za nim, było nie tylko niegrzeczne, ale zupełnie niemożliwe, ponieważ na przeszkodzie zawsze stał ten ogromny nos.

Innym dziwnym szczegółem osobowości tego mężczyzny była seria gestów, którą powtarzał każdego wieczoru: postukiwał leciutko każdym kolejnym palcem lewej dłoni, a potem jednym z palców prawej dłoni. Następnie od czasu do czasu postukiwał jakąś inną częścią ciała - kłykiem, łokciem lub kolanem. Kiedy z powodu jedzenia zmuszony był tego zaprzestać, zaczynał mrugać to jednym, to drugim okiem i od czasu do czasu kiwał głową. Oczywiście nikt nigdy nie śmiał go zapytać, dlaczego to robi, choć wszystkich zżerała ciekawość.

Richard nie mógł dojrzeć, kto siedzi za nim.

Po drugiej stronie, za na wpół martwym sąsiadem Rega siedział Watkin, profesor filologii klasycznej, mąż dość szczególny i niebywale wprost oschły. Jego ciężkie okulary bez oprawek wyglądały prawie jak prostopadłościanny ze szkła, wewnątrz których jego oczy zdawały się wieść niezależny żywot, jak dwie złote rybki. Miał prosty i dość zwyczajny nos, ale pod nim znajdowała się dokładnie taka sama broda, jaką nosił Clint Eastwood. Jego oczy błędziły chwiejnie wokół stołu w poszukiwaniu kogoś, kto dzisiejszego wieczoru mógłby posłużyć jako adresat jego wywodów. Umyślił sobie, że ofiarą padnie jeden z zaproszonych gości, nowo mianowany dyrektor Radiowej Trójki, który siedział naprzeciwko, lecz, niestety, został on już zagarnięty przez dyrektora kolegium muzycznego i profesora filozofii. Ci dwaj pochłonięci byli wyjaśnianiem nieszczęśnikowi, iż wyrażenie „zbyt wiele Mozarta” jest, jeśli wziąć pod uwagę jakąkolwiek sensowną definicję każdego z tych trzech słów, wyrażeniem wewnętrznym sprzecznym, a w związku z tym każde zdanie, które zawierałoby takie wyrażenie, jest pozbawione wszelkiego sensu i jako takie nie może być brane pod uwagę przy układaniu ramówki radiowej. Nieszczęśnik zaczynał już zaciskać ręce na sztuccach. Oczyma strzelał na boki, desperacko szukając wybawienia, i popełnił przy tym grubo błąd, pozwalając, by jego wzrok spoczął na chwilę na Watkinie.

- Dobry wieczór - odezwał się Watkin z czarującym uśmiechem, nadzwyczaj przyjaźnie skinąwszy głową, po czym utkwiał swój szklisty wzrok w przyniesionym akurat talerzu zupy, z mocnym postanowieniem, że już go stamtąd nie oderwie. Na razie. Niech trochę pocierpi, pierdoła. Chciał, żeby jego pomoc uzyskała wartość przynajmniej sześciu dobrze płatnych pogadanek radiowych.

Za Watkinem Richard odkrył źródło dziewczęcego chichociku, który skwitował magiczną sztuczkę Rega. Co zaskakujące, to rzeczywiście była mała dziewczynka. Miała około ośmiu lat, blond włoski i ponure spojrzenie. Siedziała przy stole i od czasu do czasu, rozdrażniona, kopała stołową nogę.

- Kto to? - spytał Rega zaskoczony Richard.

- Kto co? - spytał Richarda zaskoczony Reg.

Richard ukradkiem wyciągnął palec w jej stronę.

- Dziewczynka - szepnął. - Bardzo, bardzo mała dziewczynka. Czy to jakiś nowy profesor matematyki?

Reg przyjrzał się jej uważnie.

- Czy wiesz - oznajmił zdumiony - że nie mam najmniejszego pojęcia? Nic o tym nie słyszałem. Jakie to niezwykle.

W tej właśnie chwili problem rozwiązał się przy pomocy człowieka z BBC, który niespodziewanie zdołał wyrwać się z logicznego półnelsona, którego założyli mu współbiednicy, i zganił dziewczynkę za kopanie w stół. Dziewczynka dała spokój stołowej nodze, ale za to ze zdwojoną energią zaczęła kopać powietrze. Tamten nakazał jej czymś się zająć, więc z kolei kopnęła i jego. Czyn ten wywołał chwilowy błysk przyjemności w całym tym koszmarnym dla niej wieczorze, lecz, niestety, nie trwał on długo. Jej ojciec krótko przedstawił wszystkim zebranym swoją opinię na temat opiekunek do dzieci, które nawalają w ostatniej chwili, lecz wyglądało na to, że nikt nie chce

podtrzymywać tematu.

- Buxtehude'owi* [* Dielrich Buxtehude (1637-1707), duński kompozytor i organista, nauczyciel J.S. Bacha.] już od dawna należy się solidny cykl - podsumował dyrektor muzyczny. - Pewien jestem, że przy pierwszej nadarzającej się okazji z radością przedsięwzięmie pan odpowiednie kroki, żeby zmienić tę sytuację.

- O tak - odrzekł ojciec dziewczynki, rozlewając zupę. - To znaczy... to nie jest ten sam facet co Gluck** [** Christoph Willibald Gluck (1713-1787), niemiecki kompozytor, przedstawiciel opery klasycznej, twórca ponad stu dzieł scenicznych.], prawda?

Dziewczynka znowu kopnęła w stołową nogę. Ojciec spojrzał na nią surowo, a ona przekrzywiła głowę w bok i wybąkała jakieś pytanie.

- Nie teraz - upomniał ją stanowczo, lecz najciszej jak potrafił.

- No to kiedy?

- Później. Być może. Później, zobaczymy.

- Ty zawsze mówisz „później” - wybąkała. Naburmuszona, skuliła się w krześle.

- Biedne dziecko - mruknął Reg. - Nie ma przy tym stole ani jednego prodziekana, który w głębi ducha nie zachowywałby się tak samo. A, dziękuję. - Przyniesiono zupę, która na chwilę pochłonęła całkowicie uwagę jego i Richarda.

- Powiedz mi zatem - mówił dalej Reg, kiedy już obaj mieli za sobą kilka łyżek zupy i obaj niezależnie od siebie doszli do identycznej konkluzji: że mianowicie nie jest ona eksplozją smaków - czym to się właściwie zajmowałeś, drogi przyjacielu. Coś z komputerami, jak mniemam, i coś z muzyką. Sądziłem, że tutaj studiowałeś literaturę angielską; rzecz jasna, tylko kiedy miałeś na to czas.

- Znad swego talerza rzucił Richardowi znaczące spojrzenie. - Poczekaj chwilkę - przerwał, zanim Richard w ogóle zaczął - czy nie wydaje mi się mgliście, że kiedy tu byłeś, miałeś coś na kształt komputera? Kiedy to było? W 1977?

- No cóż, to, co w 1977 nazywaliśmy komputerem, było raczej elektrycznym liczydłem, ale...

- No, no, zdaje się, że wyraźnie nie doceniasz liczydła - przerwał mu Reg. - We właściwych rękach może się stać naprawdę wyrafinowaną maszyną liczącą. Co więcej, nie wymaga zasilania, można je wykonać z materiałów, które ma się akurat pod ręką, i nigdy się nie wyłącza w samym środku ważnej roboty.

- W takim razie elektryczne liczydło to szczególnie bezsensowny wynalazek - oświadczył Richard.

- To prawda - zgodził się Reg.

- Tamta maszyna w istocie nie robiła nic takiego, czego człowiek nie mógłby zrobić sam przy daleko mniejszym nakładzie pracy - mówił dalej Richard. - Ale z drugiej strony, świetnie odgrywała rolę powolnego i bardzo tępego ucznia.

Reg spojrzał na niego figlarnie.

- Nie przypuszczałem, żeby miało ich kiedyś zabraknąć - rzekł. - Z miejsca, gdzie siedzę, mógłbym trafić bułką przynajmniej w tuzin takich.

- Jasne. Ale proszę spojrzeć na to od tej strony. Po co właściwie usiłujemy kogoś czegokolwiek nauczyć?

Pytanie to wywołało pomruk przychylnego zrozumienia po obu stronach stołu.

- Chciałem przez to powiedzieć - ciągnął Richard - że jeśli naprawdę chce się coś zrozumieć, najlepiej jest spróbować to komuś wyjaśnić, ponieważ wtedy zmuszeni jesteśmy uporządkować własne myśli. A im bardziej powolny i tępy jest nasz uczeń, tym głębiej trzeba rozkładać myśli na czynniki proste. A to właśnie jest główna zasada programowania. Kiedy już rozdzielisz skomplikowaną myśl na serię kroczków tak prostych, że radzi sobie z nimi nawet głupia maszyna, wtedy masz pewność, że sam poznałeś ją doskonale. Nauczyciel na ogół dowiaduje się więcej niż jego uczeń, prawda?

- Ciężko byłoby dowiedzieć się mniej niż moi uczniowie - dobiegł ich niski, gardłowy głos z dalszej części stołu - jeśli się nie przeszło przedtem lobotomii* [* Lobotomia - operacyjne przecięcie połączeń między kora płata czołowego mózgu a wzgórzem; ma na celu uwolnienie chorego od ataków bólu bądź szału.] płatów czołowych.

- Tak więc spędzałem przy nim całe dni, usiłując pisać na nim moje eseje, co przy użyciu maszyny do pisania zajęłoby mi najwyżej kilka godzin, lecz mnie fascynował sam proces wyjaśniania maszynie, czego od niej chcę. Musiałem dosłownie napisać swój własny edytor tekstów w bejziku. Proste, rutynowe wyszukiwanie i przenoszenie zajmowało mi około trzech godzin.

- Nie pamiętam: czy kiedykolwiek udało ci się dokończyć w ten sposób jakiś esej?

- Hm, niezupełnie. To nie pisanie esejów, ale przyczyny, dla których mi się to nie udawało, były fascynujące. Raz na przykład odkryłem...

Przerwał, wybuchając śmiechem.

- No i oczywiście grałem też na keyboardzie w zespole rockowym, a to wcale nie ułatwiało sprawy - dodał.

- No, no, o tym nie wiedziałem - przyznał Reg. - Twoja przeszłość kryje mroczniejsze sekrety, niż mogło mi się śnić. Którą to cechę, można by dodać, dzieli z tą oto zupą. - Bardzo starannie otarł usta serwetką. - Któregoś dnia będę musiał pójść i zamienić słówko z personelem kuchni. Chciałbym się upewnić, czy przypadkiem nie wyrzucają akurat tego, co należałoby zachować, i na odwrót. No tak. Zespół rockowy, powiadasz. No, no, no. Dobry Boże.

- Tak - odparł Richard. - Na przekór rzeczywistości nazwaliśmy się: Względnie Przyzwoita Kapela. Chcieliśmy być Beatlesami lat osiemdziesiątych, ale mieliśmy znacznie lepszą poradę prawną i finansową niż oni. Zasadniczo brzmiała ona: „Nie przejmujcie się”, więc się nie przejmowaliśmy. Porzuciłem Cambridge i przez trzy następne lata przymierałem głodem.

- Ale czy nie wpadliśmy na siebie w tamtym czasie - wtrącił Reg - i czy nie twierdziłeś wtedy, że nieźle sobie radzisz?

- Radziłem sobie. Jako zamiatacz ulic. Ulice były wtedy bardzo brudne. Wystarczyłoby na więcej niż jedną karierę zawodową. Jednakże wyrzucili mnie za podmiatanie śmieci na cudzy rejon.

Reg potrzęsął głową.

- Pewien jestem, że to nie był zawód dla ciebie. Jest mnóstwo posad, na których taki postępek spowodowałby natychmiastowy awans.

- Próbowałem kilku, choć nie było to nic szczególnie imponującego. Na żadnej nie utrzymałem się długo, ponieważ ciągle byłem zbyt zmęczony, żeby móc się należycie przyłożyć. Znajdowano mnie śpiącego nad kurzymi grzędami albo kartotekami - zależnie od charakteru posady. Wysiadywałem po nocach, próbując nauczyć komputer grać „Kurki trzy”. To był dla mnie najważniejszy cel.

- Jestem tego pewien - odrzekł Reg. - Dziękuję - zwrócił się do uczelnianego kelnera, który zabrał jego talerz z nie dojezdoną zupą. - Bardzo, bardzo dziękuję. „Kurki trzy”, co? Nieźle, nieźle. Zatem niewątpliwie udało ci się w końcu i dzięki temu osiągnąłeś swój obecny status.

- No cóż, nie tak od razu.

- Tego się właśnie obawiałem. W każdym razie szkoda, że nie wzięłeś tego komputera ze sobą. Mógłby rozjaśnić nieco nastrój tej nieszczęsnej młodej damy, którą zmuszono do przebywania w naszym nudnym i tetrycznym towarzystwie. Odegranie „Kurek trzech” z pewnością poprawiłoby jej humor. - Pochylił się do przodu, żeby spojrzeć poprzez dwóch sąsiadów po prawej na dziewczynkę, która nadal kuliła się, nadąsana, na krześle.

- Witam - odezwał się.

Zaskoczona, podniosła głowę, potem onieśmielona spuściła wzrok i znów zaczęła wymachiwać nogami.

- Jak sądzisz, co jest gorsze - dopytywał się Reg - zupa czy towarzystwo?

Zaśmiała się cicho i niechętnie, nie podnosząc przy tym wzroku.

- To mądrze z twojej strony, że nie chcesz się tak od razu zadeklarować - ciągnął Reg. - Co do mnie, czekam, aż podadzą marchewkę, zanim zacznę osądzać. Gotowali ją już od zeszłej soboty, ale obawiam się, że to nie wystarczy. Jedyne, co może być gorsze od marchewki, to Watkin. To ten facet w idiotycznych okularach, który siedzi między nami. A przy okazji - nazywam się Reg. Wpadnij mnie kopnąć w wolnej chwili.

Dziewczynka zachichotała i rzuciła okiem na Watkina, który zeszywniał i poczynił obrzydliwie nieudaczną próbę, by uśmiechnąć się dobrotliwie.

- No cóż, moja panno - odezwał się niezręcznie, a ona z całej siły powstrzymywała się, by nie wybuchnąć śmiechem na widok jego okularów. Wyniknęła z tego krótka wymiana zdań, ale teraz dziewczynka miała sprzymierzeńca i czuła się trochę lepiej. Ojciec obdarzył ją pełnym ulgi uśmiechem.

Reg odwrócił się do Richarda, który zapytał go niespodziewanie:

- Czy ma pan jakąś rodzinę?

- E... nie - odrzekł cicho Reg. - Ale powiedz mi: co się działo po „Kurkach”?

- No cóż, żeby się zbytnio nie rozwodzić, powiem tylko, że wylądowałem w końcu jako pracownik WayForward Technologies.

- Ach tak, u słynnego pana Waya. Powiedz mi, jaki on właściwie jest?

Richarda zawsze odrobinę irytowało to pytanie, być może dlatego, że tak często mu je zadawano.

- Zarówno lepszy, jak i gorszy od swego wizerunku w prasie. Prawdę mówiąc, dosyć go lubię. Jak każdy nawiedzony, potrafi być czasem męczący, ale znam go od początków przedsięwzięcia, kiedy ani on, ani ja nie wyrobiliśmy sobie jeszcze nazwiska. Jest w porządku. Z tym że lepiej nie podawać mu swojego numeru telefonu, jeśli się nie ma wysokiej klasy automatycznej sekretarki.

- Co? A to dlaczego?

- Należy do ludzi, którzy potrafią myśleć tylko wtedy, kiedy mówią. Jeśli wpadnie na jakiś pomysł, musi go omówić przed pierwszą osobą, która go wysłucha. Lub też, jeśli nie ma akurat osób, co zdarza się coraz częściej, wystarczą mu ich automatyczne sekretarki. Po prostu dzwoni i gada do nich. Sam zatrudnia jedną sekretarkę specjalnie po to, żeby odbierała od tych, do których mógł zadzwonić, kasety z automatów, spisywała ich treść i następnego dnia przekazywała mu gotowy tekst wydrukowany na niebieskim papierze.

- Koniecznie niebieskim, co?

- Niech pan mnie zapyta, dlaczego nie skorzysta po prostu z magnetofonu - dodał Richard, wzruszając ramionami.

Reg rozważał to przez chwilę:

- Przypuszczam, że nie korzysta z magnetofonu, bo nie lubi gadać do siebie - powiedział. - To nawet dosyć logiczne. W pewnym sensie.

Skosztował przyniesionej właśnie porc au poivre, żuł przez chwilę, po czym delikatnie odłożył na bok nóż i widelec.

- A zatem - powiedział w końcu - jaką rolę odgrywa w tym wszystkim młody MacDuff?

- No cóż, Gordon zlecił mi napisanie dosyć ważnego programu dla Apple Macintosh. Arkusz finansowy, księgowość, te rzeczy. Miał być solidny, łatwy w obsłudze, dużo wykresów. Spytałem go, co dokładnie chce w nim zawrzeć, a on odpowiedział: „Wszystko. Chcę najwyższej jakości programu biznesowego, który potrafi wszystko, łącznie ze śpiewem i tańcem”. A ponieważ byłem akurat w nieco kapryśnym nastroju, potraktowałem to dosłownie. Widzi pan, używając konkretnego zestawu cyfr, można przedstawić wszystko, co się zechce. Można w ten sposób narysować mapę każdej powierzchni, modulować każdy proces - i tak dalej. A każdy zestaw danych finansowych przedsiębiorstwa to też w końcu tylko zestaw cyfr. Usiadłem więc i napisałem program, który zrobi z tych cyfr to, czego tylko człowiek sobie zażyczy. Ma ochotę na wykres słupkowy, to otrzyma je jako wykres słupkowy, jeśli woli wykres kołowy lub punktowy, otrzyma je w jednej chwili. Jeśli zażyczy

sobie, żeby z wykresu wyskakiwały tańczące dziewczęta odciągające uwagę od wskaźników wykresu, program zrobi i to. Albo też można zamienić cyfry na, powiedzmy, stadko mew, a kształt i sposób, w jaki uderza każde ze skrzydeł, będą określane przez wyniki działalności każdego z działów przedsiębiorstwa. Nada się znakomicie do zaprojektowania ruchomego logo, które rzeczywiście coś znaczy. A najgłupsze ze wszystkiego jest to, że kiedy ktoś chciał przedstawić wyniki produkcyjne przedsiębiorstwa pod postacią melodyjki, program był w stanie zrobić i to. No, w każdym razie mnie się to wydawało głupie. Świat zaś korporacji przemysłowych zupełnie na tym punkcie oszalał.

Reg przyglądał mu się uważnie znad kawałka marchewki, który trzymał przed sobą na końcu widelca, ale nie przerywał.

- Widzi pan, każdy aspekt utworu muzycznego da się przedstawić jako sekwencja lub powtarzający się wzór cyfr - rozpalił się Richard. - Liczby mogą wyrażać wysokość dźwięku, jego długość, całe układy wysokości i długości...

- Chcesz powiedzieć: melodię - wtrącił Reg. Marchewka nadal nie zmieniała pozycji.

Richard uśmiechnął się szeroko.

- Tak, melodia to najodpowiedniejsze słowo. Muszę je zapamiętać.

- Pozwoli ci lepiej się wysłowić. - Reg odłożył nietkniętą marchewkę z powrotem na talerz. - A zatem ten program dobrze się sprzedawał, tak? - zapytał.

- Nie u nas. Sprawozdania roczne większości brytyjskich przedsiębiorstw brzmiały jak marsz pogrzebowy, ale w Japonii ludzie wyrywali go sobie z rąk. Powstało z tego wiele radosnych firmowych hymnów, które zaczynały się nieźle, lecz ktoś w nastroju nieco krytykanckim mógłby orzec, że kończą się trochę zbyt piskliwie i hałaśliwie. Program zrobił spektakularną karierę w Stanach Zjednoczonych, co ze względów komercyjnych jest najważniejsze. Choć mnie o wiele bardziej interesuje, co się stanie, kiedy pominąć całą tę sprawozdawczość. Bezpośrednio zamienić w muzykę cyfry, które odpowiadają uderzeniom skrzydeł mewy. Co wtedy usłyszymy? Z pewnością nie brzęk wpływającej gotówki, jak twierdzi Gordon.

- Fascynujące - odezwał się Reg. - Absolutnie fascynujące. - I wepchnął wreszcie marchewkę do ust. Odwrócił się i wychylił do przodu, żeby porozmawiać ze swoją nową przyjaciółką.

- Watkin wygrywa - oznajmił. - Marchewka osiągnęła wynik najniższy na świecie. Przykro mi, Watkin, ale chociaż jesteś naprawdę okropny, marchewka pobiła nowy rekord świata.

Dziewczynka zachichotała znacznie swobodniej niż za pierwszym razem i uśmiechnęła się do Rega. Watkin zaś usiłował zachować się w tej sytuacji dobrodusznie, lecz ze sposobu, w jaki jego oczy przesunęły się na sąsiada, wynikało jasno, że znacznie bardziej woli być irytującym niż irytowanym.

- Proszę, tato, czy teraz już mogę? - Wraz z nowo odzyskaną, choć nadal niewielką pewnością siebie dziewczynka odzyskała także głos.

- Później - upierał się ojciec.

- Już jest później. Odliczałam sobie.

- No... - zawahał się i w tym momencie przepadł.

- Byliśmy w Grecji - oświadczyła dziewczynka cichym, lecz pełnym zachwytu głosem.

- Ach tak - odezwał się Watkin z lekkim skinieniem głowy.

- Proszę, proszę. W jakimś konkretnym miejscu czy tylko tak ogólnie w Grecji?

- Na Patmos - odrzekła zdecydowanie. - Było bardzo pięknie. Myślę, że Patmos to najpiękniejsze miejsce na świecie. Poza tym, że prom nigdy nie przychodził wtedy, kiedy miał przyjść. Ani razu. Spóźniliśmy się na samolot, ale wcale mi to nie przeszkadzało.

- Ach, Patmos, rozumiem - odparł Watkin, którego najwyraźniej poruszył ten temat. - No cóż, jedno musisz zrozumieć, moja panno: Grecy, którym nie wystarcza dominująca rola w świecie antycznym, ponoszą także odpowiedzialność za największe, a niektórzy nawet twierdzą, iż jedyne, dzieło prawdziwie twórczej wyobraźni powstałe w naszym stuleciu. Mam na myśli, rzecz jasna, rozkład jazdy greckich promów. Wysoce wysublimowana, absolutna fikcja. Potwierdzi to każdy, kto podróżował po Morzu Egejskim. Hm, tak. Tak mi się wydaje.

Spojrzała na niego chmurnie.

- Znalazłam dzbanek - powiedziała.

- Z pewnością nic ciekawego - wtrącił pospiesznie jej ojciec.

- Wiecie, panowie, jak to jest. Każdy, kto jest w Grecji po raz pierwszy, zaraz myśli, że znalazł dzbanek, nieprawdaż? Ha, ha.

Wszyscy przytaknęli. Była to, niestety, prawda. Irytująca, ale jednak prawda.

- Znalazłam go w porcie - mówiła dziewczynka - w wodzie. Kiedy czekaliśmy na ten cholerny prom.

- Saro! Ile razy ci powtarzam...

- Przecież sam tak powiedziałaś. A nawet jeszcze gorzej. Używałaś takich słów, że nawet nie podejrzewałam, że je znasz. W każdym razie pomyślałam sobie, że jeśli wszyscy tutaj mają być tacy mądrzy, to może ktoś będzie mógł mi powiedzieć, czy to naprawdę antyczny grecki dzbanek czy nie. Wydaje mi się, że jest bardzo stary. Pokażesz im, tatusiu?

Jej ojciec, zrezygnowany, wzruszył ramionami i zaczął grzebać wokół swego krzesła.

- Czy wiedziałaś, moja panno - odezwał się do niej Watkin - że na Patmos powstała Apokalipsa świętego Jana? Naprawdę. Musiał ją napisać, kiedy czekał na prom. Tak właśnie mi to wygląda. Zaczyna się, czyż nie, od swego rodzaju rozmarzenia, w jakie człowiek zwykle popada, kiedy, znudzony, próbuje jakoś zabić czas, wiesz, wymyśla sobie to i owo, a potem to wszystko zaczyna narastać do czegoś w rodzaju kulminacyjnego punktu halucynacyjnej rozpaczki. Sądzę, że to nadzwyczaj sugestywne. Może powinnaś napisać o tym rozprawkę. - Skinął jej głową.

Dziewczynka popatrzyła nań jak na wariata.

- A, jest wreszcie - odezwał się jej ojciec i łupnął przedmiotem o stół. - Najzwyklejszy dzbanek, jak

sami widzicie. Ona ma dopiero sześć lat - dodał z ponurym uśmiechem. - Prawda, kochanie?

- Siedem.

Dzbanek był nieduży, wysoki na jakieś pięć cali; w najszerszym miejscu miał ze cztery cale średnicy. Był niemal kulistego kształtu, tylko wąziutka szyjka sterczała trochę nad resztą. Szyjka i niemal połowa kulistej powierzchni dzbanka oblepione były zaschniętą ziemią, lecz tam, gdzie powierzchnia była widoczna, przedstawiała się czerwono i chropawo.

Dziewczynka wzięła dzbanek i wepchnęła do rąk dziekanowi, który siedział po prawej.

- Pan wygląda na sprytnego - orzekła. - Co pan o tym sądzi?

Dzekan wziął dzbanek i z niejakim lekceważeniem poobracał w dłoniach.

- Pewien jestem, że gdyby zeszkrobać błoto z dna, można by odczytać napis „Wyprodukowano w Birmingham”.

- Aż tak stary, co? - odezwał się ojciec Sary z wymuszonym śmiechem. - Dużo czasu upłynęło, odkąd ostatnio coś tam wyprodukowano.

- A zresztą - powiedział dziekan - to nie moja działka, jestem biologiem molekularnym. Ktoś jeszcze ma ochotę zerknąć?

Pytanie nie spotkało się z okrzykami dzikiego entuzjazmu, lecz mimo to dzbanek powędrował chaotycznie dookoła stołu, podawany z rąk do rąk. Przyglądano mu się przez kryształowe soczewki, oglądano zza rogowych okularów, zerkano nań zza półksiężyców bez oprawek, a nawet zezował nań ktoś, kto zapomniał wyjąć okulary z innego ubrania i teraz martwił się, czy nie oddał ich razem z nim do pralni. Nikt nie wiedział dokładnie, ile lat może mieć dzbanek, nikogo też specjalnie to nie obeszło. Twarz dziewczynki posmutniała na nowo.

- Ale zgredy - powiedział Reg do Richarda. Jeszcze raz wziął ze stołu srebrną solniczkę i podniósł ją wysoko.

- Młoda damo - zwrócił się do dziewczynki, wychylając się w jej stronę.

- Tylko nie to, stary durniu - wymamrotał wiekowy archeolog Cawley, odsuwając się z krzesłem i zatykając sobie palcami uszy.

- Młoda damo - powtórzył Reg - przyjrzyj się tej najzwyczajszej w świecie srebrnej solniczce. Przyjrzyj się także tej najzwyczajszej w świecie czapce.

- Pan nie ma czapki.

- Och - rzekł Reg - jedną chwileczkę. - I skoczył po swoją czerwoną, wełnianą narciarkę.

- Przyjrzyj się - zaczął jeszcze raz - tej najzwyczajszej srebrnej solniczce. Przyjrzyj się tej czerwonej, wełnianej czapce. Wkładam solniczkę do czapki, o tak, i przekazuję ją tobie. Następna część sztuczki, droga pani... należy do ciebie.

Przekazał jej narciarkę przez siedzących między nimi Watkina i Cawleya. Wzięła czapkę i zajrzała

do środka.

- Gdzie ona się podziała? - zapytała wpatrzona w czerwone nakrycie głowy.

- Tam, gdzie ją sama umieściłaś - odparł Reg.

- Och. Rozumiem. No cóż... to nie było zbyt dobre.

- Marna sztuczka, ale mnie się podoba. - Reg wzruszył ramionami i odwrócił się do Richarda. - O czym to rozmawialiśmy?

Richard przyglądał mu się, lekko zaszokowany. Wiedział, że profesor zawsze przejawiał skłonność do nagłych i chaotycznych zmian nastroju, ale teraz wydawało się, jakby w jednej chwili uszło zeń całe ciepło. Jego twarz przybrała ten sam nieobecny wyraz, który Richard ujrzał na niej wcześniej tego wieczoru, kiedy przybył pod drzwi profesora, najwyraźniej zupełnie nie oczekiwany. Reg musiał wyczuć, że Richard jest wstrząśnięty, bo szybko okraślił twarz uśmiechem.

- Drogi przyjacielu! - rzucił. - Mój drogi przyjacielu! Mój drogi, drogi przyjacielu! Co to ja mówiłem?

- Mówił pan: „Mój drogi przyjacielu”.

- Tak. Ale mam poczucie, że to był tylko rodzaj preludium. Rodzaj krótkiej toccaty o tym, jaki to świetny z ciebie gość, zanim przejdę do właściwego przedmiotu moich rozważań, których natury aktualnie nie pamiętam. A tobie nie przychodzi przypadkiem na myśl, o czym mogłem chcieć mówić?

- Nie.

- No tak. Przypuszczam, że raczej powinienem się z tego cieszyć. Gdyby tak każdy wiedział dokładnie, co mam zamiar powiedzieć, po co w ogóle się odzywać, nieprawdaż? Hm, a co robi dzbanek naszego najmłodszego gościa?

W rzeczy samej dzbanek dotarł do Watkina, który oświadczył, że nie jest ekspertem od tego, w czym starożytni zwykli byli przechowywać trunki, tylko od tego, co zwykli pisać po ich wypiciu. Orzekł, że Cawley jest tym, przed którego wiedzą i doświadczeniem powinni pochylić czoło, po czym usiłował wręczyć mu dzbanek.

- Jak już mówiłem - powtórzył - przed twoją wiedzą i doświadczeniem chylimy czoło. Och, na litość boską, wyjmijże te palce z uszu i spojrzysz na to.

Delikatnie, choć zdecydowanie oderwał prawą rękę Cawleya od jego ucha, jeszcze raz wyjaśnił mu w czym rzecz i wręczył dzbanek. Cawley obejrzał go pobieżnie, lecz bez wątpienia fachowo.

- Tak - oznajmił - ma około dwustu lat, jak mi się zdaje. Bardzo chropawy. Wyjątkowo toporny egzemplarz. Rzecz prosta, bez żadnej wartości.

Nieodwołalnie i stanowczo odstawił dzbanek na stół, po czym zapatrzył się w wiekową galerię dla minstreli, która nie wiedzieć czemu, bardzo go złościła.

Efekt był natychmiastowy. Sara, już wcześniej mocno zniechęcona, była teraz zupełnie przybita. Przygryzła wargi i z całej siły rzuciła się plecami na oparcie krzesła; znów poczuła się nie na

miejscu, dziecinna. Ojciec rzucił jej ostrzegawcze spojrzenie, a potem jeszcze raz przeprosił za jej zachowanie.

- No tak, Buxtehude - dodał pospiesznie. - Stary, dobry Buxtehude. Zobaczymy, co się da zrobić. Proszę mi powiedzieć...

- Młoda damo - przerwał mu ochryply ze zdumienia głos - z całą pewnością jesteś czarodziejką o niebywalej wprost mocy!

Wszystkie oczy obróciły się na Rega, starego popisowacza. Trzymał w ręku nieszczęsny dzbanek i przyglądał mu się z maniacką fascynacją. Z wolna przeniósł wzrok na dziewczynkę, jak gdyby po raz pierwszy oceniał moc potężnego przeciwnika.

- Chylę przed tobą czoło - wyszeptał. - Choć niewart jestem przemawiać w obecności potęgi tak wielkiej jak twoja, błagam - zezwól, iżbym pogratulował ci jednej z najzręczniejszych sztuk magicznych, jakie miałem przywilej oglądać!

Sara nie odrywała od niego wzroku, a jej oczy otwierały się coraz szerzej i szerzej.

- Czy wolno mi pokazać tym ludziom, czego dokonałaś? - zapytał gorliwie.

Ledwie dostrzegalnie skinęła głową, a on uniósł jej uprzednio cenny, a teraz tak nędznie zdyskredytowany dzbanek i uderzył nim mocno o stół.

Dzbanek rozpadł się na dwie nierówne części, a zaskorupiała glina, którą był oblepiony, opadła wystrzępionymi płatkami na obrus. Jedna część dzbanka odpadła, ale reszta dalej stała prosto.

Sara wytrzeszczyła oczy na wyplamioną i poczerniałą, lecz bez wątpienia uniwersytecką srebrną solniczkę, która tkwiła w samym środku tego, co pozostało z dzbanka.

- Stary dureń - wymamrotał Cawley.

Kiedy ucichły już ostatnie wyrazy oburzenia i lekceważenia dla tej taniej salonowej sztuczki - które jednak nie zdołały zaćmić błyszczących podziwem oczu Sary - Reg odwrócił się do Richarda i zapytał od niechcienia:

- Kim był ten twój kumpel z czasów studenckich, widzisz go jeszcze? Ten facet z dziwacznym wschodnioeuropejskim nazwiskiem. Svlad jakiś tam. Svlad Cjelli. Pamiętasz gościa?

Richard wpatrywał się weń przez chwilę pustym wzrokiem.

- Svlad? - powtórzył. - A, ma pan na myśli Dirka. Dirka Cjelli. Nie. Straciliśmy kontakt. Parę razy wpadłem na niego na ulicy, to wszystko. Wydaje mi się, że od czasu do czasu zmienia nazwisko. A dlaczego pan pyta?

Rozdział piąty

Wysoko na swoim skalistym półwyspie elektryczny mnich nadal siedział na koniu, który cicho i bez narzekań chodził sobie luzem. Spod szorstkiego, grubo tkanego kaptura mnich bez zmrużenia oka wpatrywał się w dolinę, z którą miał aktualnie problem, ale tym razem problem był nowy i dla

mnicha niemal zabójczy: Zwątpienie.

Nigdy nie dręczyło go zbyt długo, lecz kiedy już się trafiło, zżerało samą podstawę jego bytu.

Dzień był upalny; słońce stało wysoko na pustym, zamglonym niebie i biło bezlitośnie w szare skały i spieczoną, szczeciniastą trawę. Wszystko tkwiło nieruchomo, nawet mnich. Lecz w mózgu zaczynały mu szumieć dziwne myśli, jak wtedy, kiedy czasem jakieś źle ukierunkowane dane wpadały mu na bufory.

Rychło wszakże mnich zaczął znów wierzyć, z początku kapryśnie i nerwowo, lecz później rozpałił go tak potężny biały płomień wiary, że obalił wszystkie poprzednie wierzenia, łącznie z tym idiotyzmem o różowej dolinie. Wierzył, że gdzieś na dnie doliny, o jakąś milę od miejsca, gdzie siedział, otworzą się wkrótce tajemnicze wrota, przez które będzie mógł wkroczyć w obcy, odległy świat.

Niesłychany pomysł.

Jednak znacznie bardziej niesłychane jest to, że ten jeden jedyny raz miał absolutną rację.

Koń wyczuł, że na coś się zanoszą.

Postawił uszy i delikatnie potrząsnął łbem. Wpatrując się przez tyle godzin w ten sam zbitek skał, wpadł w rodzaj transu i sam już nieomal uwierzył, że są różowe. Potrząsnął łbem nieco mocniej.

Lekkie szarpnięcie wodzy, szturchnięcie piętami i oto schodzili już ostrożnie po skalistym zboczu. Droga nie była łatwa. Zbocze pokrywały łupki - luźne, szarobrazowe łupki z uczeponą tu i ówdzie burą rośliną, wiodącą tu swój niepewny żywot. Mnich przyjmował to wszystko bez zakłopotania. Był teraz starszym i mądrzejszym mnichem i wszystkie dziecinne przekonania zostawił daleko za sobą. Różowe doliny, stoły-hermafrodyty - wszystko to były naturalne stadia rozwoju, przez które każdy musi przejść na drodze do prawdziwego olśnienia.

Słońce paliło niemiłosiernie. Mnich otarł twarz z potu i kurzu i przystanął, i opierając się na końskim karku. Usiłował wypatrzeć coś przez lśniącą, upalną mgłę nad wielką skalną odkrywką na dnie doliny. Tam, za tą odkrywką, było miejsce, w którym, jak sądził, albo raczej jak wierzył z całego serca, otworzą się wrota. Próbował skupić wzrok na tym punkcie, lecz szczegóły krajobrazu falowały w dość kłopotliwy sposób z powodu podnoszącego się gorącego powietrza.

Opadł z powrotem w siodło i już miał trącić piętami końskie boki na znak, że ruszają, kiedy nagle zauważył pewną szczególną rzecz.

Na dosyć płaskiej skalnej ścianie tuż obok nich, a w istocie tak blisko, że mnich był zaskoczony, iż nie zauważył go wcześniej, widniało wielkie malowidło. Kontury zarysowano raczej topornie, choć nie bez pewnej stylowości, a malowidło było najwyraźniej bardzo, bardzo stare. Farba wyblakła, łuszczyła się i odpadała, więc trudno było w miarę jasno określić, co właściwie obraz ten przedstawia. Mnich podjechał nieco bliżej.

Wyglądało to na prymitywną scenę łowów.

Jasne było, że grupka purpurowych istot o wielkiej liczbie członków to prehistoryczni myśliwi. Mieli

ze sobą prymitywne włócznie i ścigali gorączkowo wielkie, rogate i uzbrojone stworzenie, które najwyraźniej odniosło już w walce jakieś rany. Kolory tak wyblakły, że niemal zlały się w jedno. Właściwie wyraźnie widać było tylko biel zębów myśliwych, które zdawały się lśnić blaskiem, jakiego nie zdołał przyćmić upływ tych wielu tysięcy lat, które niewątpliwie musiały minąć od powstania obrazu. Prawdę mówiąc, zęby te zaćmiewały swoim blaskiem nawet zęby mnicha, a przecież wyszorował je nie dalej jak dziś rano.

Mnich widywał już wcześniej takie malowidła, ale tylko w telewizji, nigdy w realnym życiu. Zwykle znajdowano je w jaskiniach, gdzie miały należyłą ochronę przed żywiołami, inaczej przecież by nie przetrwały.

Mnich przyjrzał się uważniej najbliższemu otoczeniu i odkrył, że choć nie można by tego miejsca nazwać jaskinią, chronione było przez spory występ skalny, który osłaniał je przed deszczem i wiatrem. Ale i tak było to dość niezwykle, że malowidło zdołało tak długo przetrwać. A co jeszcze bardziej niezwykle, wyglądało na to, że nikt go jak dotąd nie odkrył. Malowidła jaskiniowe były bardzo sławne i ogólnie znane, także mnichowi, ale tego obrazu z pewnością nie widział nigdy wcześniej.

Być może dokonał zatem dramatycznego i historycznego odkrycia. Może, kiedy wróci do miasta i ogłosi swoje znalezisko, przyjmą go z powrotem, dadzą w końcu nową płytę główną i pozwolą wierzyć... wierzyć... wierzyć w co? Przerwał rozmyślania, zamrugał i potrząsnął głową, żeby pozbyć się chwilowego błędu systemowego.

Powstrzymał się ostro.

Przecież wierzy we wrota. Musi je odnaleźć. Wrota są drogą do... do...

Te Wrota są Drogą.

Dobra.

Z pytaniami, na które trudno znaleźć odpowiedź, najlepiej radzić sobie za pomocą wielkich liter.

Dość obcesowo szarpnął końskim łbem i zmusił zwierzę do kontynuowania wędrówki. Po kilku minutach trudnego manewrowania dotarli na dno doliny. Tu na moment zbiło go z tropu odkrycie, że warstwa pyłu, jaka osiadła na brunatnej, spękanej ziemi, rzeczywiście ma kolor różowawo-brązowy, szczególnie na brzegach ciekącej powolutku strużki błota - jedynej obecnie pozostałości po rzece, która płynęła tędy w porze deszczowej. Mnich zsiadł z konia i pochylił się, żeby dotknąć różowego pyłu i przesypać go między palcami. Piasek był bardzo delikatny, miękki i, rozarty na skórze, dawał bardzo przyjemne odczucie. Miał taki sam kolor, może tylko ciut jaśniejszy.

Koń przyglądał mu się znacząco. Mnich zdał sobie sprawę, trochę poniewczasie, że zwierzę musi być bardzo spragnione. Sam też był bardzo spragniony, ale starał się o tym nie myśleć. Odpiął od siodła manierkę z wodą. Była żałośnie lekka. Odkręcił korek i pociągnął nieduży łyk. Następnie nalał trochę na skuloną dłoń i podał koniowi, który wychłptał ją łapczywie i błyskawicznie.

Potem znów spojrzał na mnicha.

Ten smutno potrząsnął głową i odłożył manierkę na miejsce. Wiedział, gdzieś w małej części

mózgu, która przechowywała konkretne i rzeczowe informacje, że jej zawartość wkrótce się skończy, a co za tym idzie, oni sami wykończą się także. Tylko Wiara pozwalała mu przetrwać, aktualnie - Wiara we Wrota.

Otrzeptał kurz z szorstkiego habitu, a potem stanął, zapatrzony w skalną odkrywkę, która znajdowała się teraz zaledwie kilkadziesiąt jardów od nich. Przyglądał się jej nie bez wewnętrznego drżenia. Choć znakomita większość jego umysłu trwała niezmiennie i lojalnie w swej Wierze, że za odkrywką znajdują się Wrota i że te Wrota będą Drogą, to jednak maleńka cząstka mózgu, ta, która wiedziała o manierce, nie mogła się powstrzymać od wspomnienia dawnych rozczarowań i wysyłała cichutką, lecz przenikliwą ostrzegawczą nutkę.

Jeśli zdecydowałby, że nie pójdzie tam, żeby ujrzeć Wrota na własne oczy, to będzie mógł wierzyć w nie na wieki. Będą gwiazdą przewodnią jego życia (choć niewiele mu go zostało - dopowiedziała część mózgu, która wiedziała o manierce).

Z drugiej zaś strony - jeśli pojedzie pokłonić się Wrotom, a ich tam nie będzie, to co wtedy?

Koń zarżał, zniecierpliwiony.

Odpowiedź, rzecz jasna, była bardzo prosta. Wyposażony był przecież w kartę pełną obwodów, które miały zajmować się tym właśnie problemem, który stanowił przecież podstawę jego istnienia. Nie przestanie w nie wierzyć, bez względu na to, jakie okażą się fakty, cóż innego bowiem oznacza Wiara?

Przecież Wrota nadal tam będą, nawet jeśli nie będzie tam żadnych wrót.

Zebrał się w sobie. Wrota będą na swoim miejscu, a on musi do nich iść, bo przecież Wrota są Drogą.

Nie wsiadł z powrotem na konia, lecz poprowadził go za uzdę. Przecież Wrota znajdowały się tak niedaleko, a on powinien zbliżyć się do nich w pokorze.

Dzielny i wyprostowany, kroczył powoli i uroczyście. Zbliżył się do skalnej odkrywki. Podszedł jeszcze bliżej. Skręcił za występ skalny. Spojrzał.

Wrota były.

Koń, trzeba przyznać, był mocno zaskoczony.

Mnich, oszołomiony i pełen nabożnego podziwu, rzucił się na kolana. Tak dzielnie przyjmował wszystkie rozczarowania, które nieustannie były jego udziałem, że choć nigdy by się do tego nie przyznał, na to, co się zdarzyło, był kompletnie nie przygotowany. Wpatrywał się w swe Wrota w czystym i bezbrzeżnym błędzie systemowym.

Były to drzwi, jakich jeszcze nie widział. Drzwi, z jakimi miał dotąd do czynienia, zawsze były ogromne i obite stalą, z powodu magnetowidów i zmywarek, których strzegły, podobnie jak bardzo kosztownych elektrycznych mnichów, które miały w to wszystko wierzyć. Te drzwi były proste, nieduże i drewniane, mniej więcej tej samej wysokości co on. Drzwi rozmiarów mnicha, pomalowane na białą, z karbowaną mosiężną klamką, umieszczoną nieco poniżej połowy ich

wysokości. Tkwiły tak po prostu w skalnej ścianie i nie dało się zgadnąć, skąd się tu wzięły i po co.

Nie wiedząc nawet, skąd czerpie tę śmiałość, biedny, zadziwiony mnich dźwignął się z wysiłkiem na nogi i, wiodąc za uzdę konia, płochliwie zbliżył się do drzwi. Wyciągnął rękę i dotknął. Tak się zdumiał, kiedy nie usłyszał żadnego alarmu, że z wrażenia odskoczył do tyłu. Dotknął ponownie - teraz już nieco śmielej.

Pozwolił dłoni opaść leciutko na klamkę - i tym razem żadnego alarmu. Począł, żeby się upewnić, a potem nacisnął klamkę, bardzo, bardzo delikatnie. Poczł, że zamek puszcza. Wstrzymał oddech. Nic. Pociągnął drzwi ku sobie, a one otworzyły się bez oporu. Zajrzał do środka, lecz wewnątrz panował półmrok, więc nie mógł niczego dojrzeć. W końcu, ledwie żywy ze zdumienia, wszedł do środka, ciągnąc za sobą konia.

Kilka chwil później jakaś postać, która siedziała ukryta za występhem skalnym, skończyła pudrowanie twarzy pyłem, wstała, przeciągnęła się i ruszyła w kierunku drzwi, otrzepując po drodze ubranie.

Rozdział szósty

W Xanadu kazał Kubla Chan Wzniesć pyszny pałac... *

Lektor był niewątpliwie zwolennikiem tej szkoły myślenia, która utrzymuje, że poczucie powagi i wzniosłości wiersza udzieli się

· Kubla Chan, wizjonerski, tchnący niesamowitością poemat S.T. Coleridge'a, wedle słów samego autora pisany pod wpływem opium; tu w przekładzie Stanisława Kryńskiego, w: Angielscy „Poeci Jezior”, Ossolineum, Wrocław 1963.

słuchaczom tylko wtedy, kiedy przeczyta się go najgłupszym z tonów. Ryczał i rzucał się na poszczególne słowa, aż wszystkim się zdawało, że zaczynają rozpierzchać się w popłochu i szukać jakiegoś schronienia.

... tam, gdzie płynie W pieczarach, których myśl człowieka Nie zmierzy, Alph, święta rzeka, Co w mrocznym morzu ginie.

Richard rozparł się wygodnie w krześle. Słowa brzmiały bardzo, ale to bardzo znajomo, bo czy tego chcieli czy nie, były znane każdemu absolwentowi filologii angielskiej Kolegium Świętego Cedda i z łatwością odnajdywały w pamięci własne ścieżki.

Związek uczelni z Coleridge'em traktowany był tutaj nadzwyczaj poważnie, pomimo jego powszechnie znanej predylekcji dla pewnych rozluźniających farmaceutyków, pod wpływem których stworzył wszystkie swe największe dzieła.

Manuskrypty tych dzieł powierzono pieczy tutejszej biblioteki, i to właśnie z jednego z nich, przy okazji tradycyjnej uczelnianej kolacji, odczytywano ten właśnie wiersz.

Murem Kubla otoczył, wieżami osłonił Dwakroć pięć mil ziemi płodami wezbranej. Były tam ogrody jasne od potoków, Gdzie kwitło wiele drzew w kadzielnej woni. Bory, odwieczne jak wzgórza, stały wokół Słonecznych polanek.

Richard zastanawiał się, ile to jeszcze potrwa. Zerknął z ukosa na byłego dyrektora swego instytutu i

zaniepokoiła go zdecydowana celowość postawy, jaką ów przybrał do odczytania poematu. Melodyjność głosu z początku irytowała Richarda, po chwili zaś zaczęła go usypiać, kiedy obserwował strumyczek wosku, spływający z niemal wypalanej już świecy, która oblewała światłem pogrom kolacyjnych dań.

Lecz cóż to? Romantyczna przepaść w dół się wali Spod cienia cedrów, wzgórze kryjących zielone! Groźne to miejsce, święte i zakłete: Tu, gdy księżyc na nowiu, mogłaby się żalić Kobieta, płacząc za swym kochankiem, demonem!

Niewielka porcyjka czerwonego wina, na jaką sobie pozwolił do kolacji, sączyła się ciepłem przez żyły, a wkrótce i myśli zaczęły wędrować leniwie; sprowokowany przez wcześniejsze pytania Rega, zaczął się zastanawiać, co się dzieje z jego dawnym... Hmm, czy „przyjaciół” to odpowiednie słowo? On sam przypominał bardziej splot niezwykłych zdarzeń niżli realną osobę. Myśl, że mógłby mieć przyjaciół, jako taka nie była przecież nieprawdopodobna, przedstawiała się raczej jako pewnego rodzaju pomieszanie pojęć - coś jak kryzys w Kanale Sueskim wyskakujący po bułeczki.

Svlad Cjelli, popularnie nazywany Dirkiem - choć z drugiej strony, trudno odnieść doń słowo „popularny”. Osławiony - zgoda; ścigany, podejrzewany nieustannie o najróżniejsze sprawy - także miałoby w sobie coś z prawdy. Ale popularny? Jedynie w takim sensie, w jakim popularny mógłby się stać poważny karambol na drodze szybkiego ruchu - każdy zwalnia, żeby sobie popatrzeć, ale nikt nie ma ochoty znaleźć się zbyt blisko. Bardziej pasowałoby tu: niesławny. Svlad Cjelli, cieszący się złą sławą jako Dirk.

Był nieco krągły niż przeciętny student drugiego roku i nosił więcej kapeluszy. To znaczy: zwykle nosił jeden, lecz nosił go z pasją, którą rzadko spotyka się u kogoś w tym wieku. Kapelusz był okrągły, ciemnoczerwony, z bardzo płaskim rondem, a przemieszczał się tak, jakby był zawieszony na resorach, co zapewniało mu przez cały czas położenie doskonale horyzontalne, bez względu na to, jak ustawił głowę jego właściciel. Rzucił się w oczy, lecz raczej nie jako ozdoba męskiego stroju. Mógłby stanowić ozdobę, nader kształtną i stylową, ale tylko w wypadku, kiedy nosicielem byłaby mała nocna lampka, nie inaczej.

Dirk przyciągał ludzi historyjkami na swój temat, którym starannie zaprzeczał, a które wydawały się nie mieć żadnego innego źródła poza jego zaprzeczeniami.

Baśnie te opowiadały o mocach psychicznych, które odziedziczył po rodzinie ze strony matki, która - jak utrzymywał - mieszkała w tej lepszej części Transylwanii. A raczej wcale tak nie twierdził, przeciwnie: oświadczył, że to największy absurd, jaki zdarzyło mu się słyszeć. Z całej mocy zaprzeczał, jakoby w jego rodzinie bywały jakieś nietoperze, i groził, że poda do sądu każdego, kto rozpowszechniałby tak złośliwe pomówienia, ale z upodobaniem nosił obszerny, skórzany płaszcz i trzymał w pokoju jedno z tych wielkich urządzeń, z których zwykle zwisa się głową w dół, żeby wyleczyć bóle w kręgosłupie. Pozwalał, by najróżniejsi ludzie nakrywali go, kiedy zwisał z tego urządzenia o najróżniejszych porach dnia, a jeszcze lepiej w nocy, żeby mógł później twierdzić stanowczo, że nie ma to najmniejszego znaczenia.

Za pomocą tej dobrze przemyślanej serii strategicznie rozwiniętych zaprzeczeń dla najrozmaitszych, najbardziej ekscytujących i egzotycznych pomówień, zdołał wykreować mit o tym, że jest psychotycznym, mistycznym, telepatycznym, stukniętym, jasnowidzącym, psychopastliwym

nietoperzem-wampirem. - Co znaczy „psychopastliwy”?

Sam wymyślił to słowo i gorączkowo zaprzeczał, jakoby w ogóle coś znaczyło.

Z otchłani tej, kipiącej tak strasznym zamętem, Jakby ziemia, miotana maligną, dyszała Piersią potworną, z chwili na chwilę wytryska Fontanna...

Dirk wiecznie był splukany. Ale to miało się wkrótce zmienić.

Wszystko zaczęło się od chłopaka, który mieszkał z nim w pokoju; łatwowernego chłopaka o nazwisku Mander, który został pewnie celowo wybrany przez Dirka ze względu na swoją łatwowerność.

Steve Mander zauważył, że za każdym razem, kiedy Dirk kładzie się do łóżka pijany, zaczyna mówić przez sen. Ale mało tego: słowa, które mrucał we śnie, brzmiały mniej więcej tak: „Otwarcie dróg handlowych do bla bla bla blurp okazało się punktem zwrotnym w rozwoju imperium baram baram chrrr. Proszę omówić”.

...jak odbity grad lub na klepisku

Omłot, skacze kamiennych ogromów nawąła.

Kiedy to się zdarzyło po raz pierwszy, Steve Mander z wrażenia aż usiadł na łóżku. Było to na krótko przed sesją egzaminacyjną, a to, co powiedział, czy raczej roztropnie wymamrotał Dirk, brzmiało zadziwiająco podobnie do pytania z ekonomii.

Mander po cichu wstał, podszedł do łóżka Dirka i z najwyższą uwagą zaczął się przysłuchiwać, lecz udało mu się wyłowić zaledwie kilka oderwanych pomruków tyczących Szlezwik-Holsztynu i wojny francusko-pruskiej, przy czym te ostatnie skierowane zostały w większości do poduszki, dowiedział się zatem niewiele.

Niemniej wieści rozprzestrzeniły się - cicho, dyskretnie i gwałtownie jak pożar.

A pośród tańca głazów, nagle, nieustannie, Wyływa rzeka z burzliwej otchłani.

Przez następny miesiąc Dirk był nieustannie podejmowany obiadami i pojony winem w nadziei, że w nocy będzie spał na tyle twardo, żeby podrzucić kilka kolejnych pytań egzaminacyjnych. Co godne podkreślenia, im lepiej był żywiony i im lepszym rocznikiem wina go częstowano, tym bardziej stawało się prawdopodobne, że tej nocy nie będzie spał z twarzą wciśniętą w poduszkę.

Tak więc jego plan polegał na tym, żeby wyzyskać przypisywane mu zdolności, wcale się do nich nie przyznając. Co więcej, na wszelkie wzmianki o swych rzekomych uzdolnieniach reagował niedowierzaniem, a nawet otwartą wrogością.

Przez pięć się wije mil ta święta rzeka

Dnem jarów, nad którymi szumi las, a potem

W pieczarach, których nie zmierzy myśl człowieka,

Płynie i w martwe morze zapada z łoskotem,

A w tym łoskocie człowiek słyszy z dala

Głos przodków, który do wojny zapala!

Dirk był również, czemu zaprzeczał, jasnosłyszającym. Czasem nucił przez sen melodię, która wkrótce okazywała się czymś przebojem.

Doprawdy, nietrudno było coś takiego zorganizować.

Prawdę mówiąc, zawsze przeprowadzał ograniczony do minimum rekonesans, konieczny dla podtrzymywania swego mitu. Był leniwy, zatem ograniczał się do tego, iż pozwalał, aby pracowała na niego entuzjastyczna ludzka łatwowierność. Lenistwo było tu sprawą podstawową - gdyby jego napady paranormalności były zbyt dokładnie i szczegółowo opracowane, ludzie mogliby stać się zbyt podejrzliwi i mogliby zacząć szukać innych wyjaśnień. Z drugiej strony, im bardziej dwuznaczne i nieokreślone były jego „przepowiednie”, tym większe prawdopodobieństwo, że ludzkie chęćstwo doda im wiarygodności.

Dirk nie skorzystał na tym zbyt wiele - przynajmniej na pierwszy rzut oka. W rzeczywistości korzyść płynąca z nieustannego stołowania się i picia na cudzy koszt była znaczniejsza, niż mogłoby się wydawać. Chyba że ktoś przysiadłby i podsumował cyfry.

No i rzecz jasna, nigdy nie twierdził - co więcej, gorąco zaprzeczał - że kryje się w tym wszystkim choć cień prawdy.

Był zatem należycie przygotowany na to, by kiedy nadejdzie czas końcowych egzaminów, przeprowadzić jedno nieduże i wyrafinowane oszustwo.

Cień się pałac u jak pięknie kołysze

Na świętej rzeki falach!

I pomieszany dźwięk się daje słyszeć

Z fontanny, z pieczar. Któż to sprawił tu?

Któż takie dziwy czyni?

Słoneczny pałac, a w pieczarach lód!

- Wielkie nieba!... - Reg najwyraźniej obudził się zniecacka z lekkiej drzemki, w którą osunął się łagodnie pod wpływem wina oraz czytanego wiersza, i w zadziwieniu rozejrzał się dookoła, lecz wokół nic się nie zmieniło. Słowa Coleridge'a dzwoniły wśród ciepłej i zadowolonej ciszy, jaka opadła na ogromną salę. Jeszcze jeden szybki rzut oka i Reg z powrotem zapadł w drzemkę, lecz tym razem z zachowaniem większej czujności.

Dzieweczkę młodą z Abisynii W wizji ujrzałem niegdyś ja: Cudownie ona na cymbałach Grała, a grając tak, śpiewała, Jaka jest góra Abord.

Dirk dał się przekonać, aby pod hipnozą wydobyto zeń przepowiednię tyczącą pytań, jakie mogą paść na egzaminach w sesji letniej.

Najpierw sam zasiał tę ideę, wyjaśniając wszystkim dokładnie, jakiej to rzeczy nie podjąłby się w żadnych okolicznościach, choć z wielu względów miałby na to szczerą ochotę, chociażby po to, żeby udowodnić, iż nie wykazuje żadnych zdolności, które tak chętnie mu się przypisuje.

I to była właśnie starannie przygotowana podstawa, na bazie której ostatecznie wyraził zgodę; chciał raz na zawsze ukręcić łeb całej tej głupiej - niewiarygodnie i nużąco głupiej - aferze. Dokona swej przepowiedni za pomocą pisma automatycznego, pod należyty nadzorem, i pozostanie ona zdeponowana w banku, w zalakowanej kopercie, do czasu zakończenia egzaminów.

A później, po egzaminach, mieli otworzyć kopertę, żeby sprawdzić, na ile dokładne były jego przewidywania.

Nikogo nie zaskoczył fakt, że otrzymał propozycje całkiem sporych łapówek od całkiem sporej liczby osób, które miały ochotę zajrzeć do owych przepowiedni, lecz on oburzał się na samą o tym wzmiankę. To, mówił, byłoby nieuczciwe...

O, gdybym wskrzesić w sobie zdołał

Jej pieśń i te z cymbałów dźwięki,

Tak bym się pięknem rozweselił,

Że przez rozgłośniej, długiej pieśni cud

Dźwignąłbym znowu pałac ten pod błękit!

Słoneczny dach! W pieczarach lód!

Niedługo potem Dirk dał się widzieć na mieście z poważnym i zmartwionym wyrazem twarzy. Z początku zbywał milczeniem wszelkie pytania, lecz w końcu wymknęło mu się, że jego matka musi przejść jakąś niezwykle drogą operację dentystyczną, która z przyczyn, których nie chciał omawiać szerzej, mogła być przeprowadzona wyłącznie w prywatnej klinice.

A stąd droga do przyjmowania darowizn na rzecz rzekomych wydatków dentystycznych matki w zamian za szybkie zerknięcie do przepowiedni wiodła gładko i z górki, więc pomknął tą ścieżką bez zbędnego rozgłosu.

Potem okazało się, że jedynym specjalistą, który może przeprowadzić tę tajemniczą operację, jest chirurg dentystyczny z Europy Wschodniej, mieszkający aktualnie w Malibu, co w konsekwencji prowadziło do drastycznego podwyższenia akceptowanych sum darowizn.

Rzecz jasna, nadal zaprzeczał, aby jego zdolności miały jakikolwiek związek z tym, co się o nich opowiada - w rzeczy samej zaprzeczał, jakoby w ogóle miał jakieś szczególne zdolności, i upierał się, że nigdy nie zgodziłby się wziąć udziału w tym doświadczeniu, gdyby nie chodziło wyłącznie o to, żeby udowodnić, że wszystko to są brednie. No i rzecz jasna, skoro inni ludzie na własne ryzyko wykazują wiarę w jego uzdolnienia, której on sam nie podziela, z radością spełni ich życzenie i pozwoli im pokryć koszty leczenia uwielbianej matki.

Z całej tej sytuacji mógł czerpać wyłącznie korzyści.

Tak mu się w każdym razie wydawało.

Ludzie, słuchając, paląc by widzieli.

Jakże ten człowiek patrzy! - tłum by wołał. -

Błysk w oku, włos na wietrze!...

Pytania egzaminacyjne, które zahipnotyzowany Dirk przedstawił za pomocą pisma automatycznego, poskładał w rzeczywistości z tego, co uzyskał, przeprowadziwszy ten sam podstawowy rekonensans, jaki przeprowadza każdy student przed egzaminem, a mianowicie sprawdził tematy poprzednich egzaminów i spróbował wykryć rządzący nimi system, by następnie przy użyciu własnej inteligencji odgadnąć, co mogą zadać tym razem. Mógł być całkowicie pewien (jak każdy na jego miejscu), że uda mu się osiągnąć wynik, który usatysfakcjonuje ufnych, a zarazem będzie wystarczająco niedokładny, by zadowolić także niedowiarków, przez co doświadczenie wyda się wszystkim odpowie dno niewinne.

Bo takie przecież było.

Co jednakże kompletnie zważyło go z nóg i wywołało aferę, która ostatecznie doprowadziła do tego, że wywieziono go z Cambridge w radiowozie, to fakt, że wszystkie pytania egzaminacyjne, jakie sprzedał, okazały się identyczne z rzeczywistymi.

Dokładnie. Słowo w słowo. Do ostatniego przecinka.

... Kreślcie kota,

By krążyć się trzykroć wokół niego wił! W świętej zawrzyjcie trwodze oczy! On miodną rosę z liści sączył, On rajskie mleko pił...

I to - poza nawalą sensacyjnych artykułów prasowych, które ogłosiły go oszustem, potem obwieściły, że to autentyk, tak żeby jeszcze raz móc ogłosić go oszustem i obwieścić, że to autentyk, aż im się znudziło i przerzuciły się na soczystego bilardzistę - byłoby wszystko.

Później, w ciągu lat, które upłynęły od tamtej chwili, Richard wpadał czasami na Dirka i nieodmiennie bywał witany ze swego rodzaju ostrożnym półuśmiechem, który chciałby się dowiedzieć, czy przypadkiem nie jest ci winien jakichś pieniędzy, zanim nie rozkwitnie w taki, który ma nadzieję, że mu trochę pożyczysz. Regularne zmiany nazwiska upewniły Richarda, że nie tylko jego Dirk traktował w ten sposób.

Poczuł ukłucie żalu na myśl, że ktoś, kto w małej, zamkniętej społeczności uniwersyteckiej świecił pełnym blaskiem, tak bardzo przygasł, wystawiony na szare światło dnia. Zastanawiało go, dlaczego Reg zapytał o Dirka tak zniechęca, zupełnie bez powodu i, jak się zdawało, zbyt przypadkowo i od niechcenia. Obejrzał się jeszcze raz na swego pochrapującego delikatnie sąsiada, Rega; na małą Sarę, pogrążoną w niemej uwadze; na rozległą salę, spowitą w światło świec; na portrety byłych premierów i dawnych poetów, zawieszane wysoko wśród mroku, gdzie tylko leciutki poblask świec odbijał się w ich zębach; na dyrektora Instytutu Filologii Angielskiej, na stojąco czytającego poezję wyćwiczonym specjalnie do tego celu głosem; na manuskrypt Kubli Chana, który dyrektor trzymał w rękę; i na koniec, ukradkiem, na zegarek. Znów rozsiadł się wygodnie.

Głos nie ustawał; czytał teraz drugą, jeszcze dziwniejszą część poematu...

Rozdział siódmy

Był to wieczór ostatniego dnia w życiu Gordona Waya, a on sam zastanawiał się, czy deszcz przeciągnie się na weekend. Prognoza zapowiadała zmienną pogodę - mglisty wieczór, po którym nastąpią słoneczne, choć chłodne piątek i sobota, i przelotne deszcze w niedzielny wieczór, kiedy każdy będzie pędził z powrotem do miasta.

To znaczy: każdy z wyjątkiem Gordona Waya.

Rzecz jasna, prognoza pogody nie wspominała o tym ani słowem - to nie leżało w jej kompetencjach - no, ale horoskop, trzeba przyznać, także się nie spisał. Mówił o jakiejś niezwyklej aktywności planetarnej w jego znaku i nalegał, aby Gordon zaczął wreszcie odróżniać to, czego, jak mu się wydaje, pragnie, od tego, czego naprawdę potrzebuje, a na koniec zasugerował, że powinien podejść do swoich problemów emocjonalnych otwarciem i zdecydowaniem, lecz z niewiadomych przyczyn nie nadmienił nic o tym, że nim nadejdzie noc, Gordon nie będzie wśród żywych.

Niedaleko Cambridge zjechał z drogi szybkiego ruchu i zatrzymał się przy niedużej stacji benzynowej, żeby nabrać paliwa, i stał tam przez chwilę, aby dokończyć rozmowę telefoniczną, którą prowadził z aparatu przy samochodzie.

- OK, słuchaj, zadzwonię do ciebie jutro - mówił - albo może jeszcze dzisiaj wieczorem. Za pół godziny będę w letnim domku... Tak, wiem, jak ważny jest dla ciebie ten projekt... W porządku, wiem, że ma to ogromne znaczenie, kropka. Ty tego chcesz, ja tego chcę... Jasne, że tak. Wcale nie mówię, że nie będziemy go dłużej popierać. Mówię tylko, że jest kosztowny i że musimy przyjrzeć się tej sprawie otwarciem i zdecydowaniem. Słuchaj, może wpadłabyś do domku letniego, to obgadamy sprawę... OK, tak, tak, wiem. Rozumiem. No cóż, przemyśl to jeszcze, Kate. Później pogadamy. Na razie.

Odłożył słuchawkę i jeszcze przez chwilę siedział nieruchomo w samochodzie.

Był to duży samochód. Wielki srebrnoszary mercedes, jakiego zwykle używa się do reklam, i to nie tylko do reklam mercedesa. Gordon Way, brat Susan, pracodawca Richarda MacDuffa, był człowiekiem zamożnym, założycielem i właścicielem WayForward Technologies II. Pierwsze WayForward Technologies zbankrutowały w dość typowy sposób, pochłaniając przy tym cały jego majątek.

Na szczęście zdążył już dorobić się następnego.

„Dość typowy sposób” polegał na tym, że Way zajmował się sprzętem komputerowym akurat w tym okresie, kiedy każdemu dwunastolatkowi w kraju nagle znudziły się pudełka, które nagle rozpadają się w kawałki. Drugą fortunę zrobił zatem na programach komputerowych. W wyniku opracowania dwóch wiodących programów firmy - pierwszym był „Hymn”; drugi, znacznie bardziej intratny, nigdy nie ujrzał światła dziennego - WFT-II były jedyną brytyjską firmą software’ową, którą można by wymienić w jednym zdaniu z takimi amerykańskimi potęgami, jak Microsoft albo Lotus. Wprawdzie zdanie to mogłoby zabrzmieć mniej więcej tak: „WayForward Technolgies, w przeciwieństwie do takich amerykańskich potęg, jak Microsoft czy Lotus...”, ale na początek dobre i

to. Znalazło się tam i WayForward. A on był jego właścicielem.

Wsunął kasetę do stereofonicznego odtwarzacza. Urządzenie przyjęło ją z przyjemnym, miękkim kliknięciem, a chwilę później spod delikatnej, matowoczarnej siateczki pokryw idealnie rozstawionych głośników popłynęło Bolero Ravela. Gordon zaczął leciutko uderzać palcami w miękko opatulone koło kierownicy. Zapatrzył się na deskę rozdzielczą. Odpowiedziały mu spojrzeniem gustowne, podświetlane wskaźniki i maleńkie, nieskazitelne światełka. Po chwili zorientował się, że stoi przy stacji obsługi, wysiadł więc, żeby napełnić bak.

Zajął mu to jakąś minutę czy dwie, w którym to czasie stał, ściskając w dłoni końcówkę węża i przytupując nogami na zimnym nocnym powietrzu, a potem podszedł do niewielkiej, niechlujnej budki, zapłacił za benzynę, przypomniał sobie, że musi kupić kilka lokalnych map, a przez następne kilka minut dzielił się ze sprzedawcą entuzjastycznymi uwagami na temat przyszłorocznych kierunków rozwoju w przemyśle komputerowym, sugerując, iż kluczem do prawdziwie intuicyjnego i kreatywnego oprogramowania może być opracowywanie równoległe, i wyrażając zarazem wątpliwość, czy badania naukowe poświęcone sztucznej inteligencji per se, a szczególnie te oparte na języku ProLog, mogą naprawdę doprowadzić do wyprodukowania żywotnych rynkowo produktów w dającej się przewidzieć przyszłości, zwłaszcza zaś w środowisku komputerów biurowych - który to temat w żadnym razie sprzedawcy nie fascynował.

- Ten facet po prostu uwielbiał gadać - mówił później policji. - Ludzie! Mogłem wyskoczyć na dziesięć minut do ubikacji, a on opowiedziałby to wszystko mojej kasie. Gdybym zmarudził do piętnastu minut, kasa też by się zmyła. Tak, jestem pewien, że to on - dodał, kiedy pokazano mu zdjęcie Gordona Waya - tylko że z początku nie poznałem, bo na zdjęciu ma zamknięte usta.

- I jest pan absolutnie pewien, że nie widział pan nic podejrzanego? - dopytywał się policjant. - Nic szczególnego nie uderzyło pana w jego wyglądzie albo zachowaniu?

- Nie. Jak już mówiłem, to był zwyczajny klient i zwyczajna noc, taka jak wszystkie.

Policjant gapił się na niego bez słowa.

- Tak tylko, dla sprawdzenia - powiedział wreszcie. - Gdybym nagle zrobił coś takiego... - tu zrobił zeza, wywiesił język i zaczął tańczyć, podskakując i wymachując przytkniętymi do uszu dłońmi - czy coś uderzyłoby pana w moim zachowaniu?

- No cóż, raczej tak - odparł sprzedawca, cofając się nerwowo. - Pomyślałbym, że jest pan kompletnie szurnięty.

- W porządku - powiedział policjant, chowając swój notes. - Wie pan, chodzi o to, że różni ludzie różnie pojmują słowo „szczególny”. Jeśli ta noc była taka sama jak wszystkie, to ja jestem pryszcz na tyłku ciotki markizy Queensbury. Poprosimy pana później o potwierdzenie zeznań. Dziękuję, że zechciał pan poświęcić nam czas.

Ale to miało dopiero nadejść.

Teraz natomiast Gordon Way wepchnął mapy do kieszeni i bez pośpiechu ruszył w stronę samochodu. Stojący we mgle pojazd pokrył się perlistym, matowym płaszczem wilgoci i wyglądał - no cóż, wyglądał jak bardzo luksusowy mercedes-benz. Gordon złapał się na tym, że przez

milisekundę gorąco zapragnął coś takiego mieć, lecz miał już sporą wprawę w odpędzaniu tego rodzaju myśli, jako że wiedział, iż mają one tendencję do spiralnych nawrotów i zawsze pozostawiają go w przygnębieniu i zakłopotaniu.

Poklepał samochód gospodarskim gestem, a potem, obchodząc go dookoła, zauważył, że ma nie domknięty bagażnik, docisnął więc pokrywę. Bagażnik zatrzasnął się ze zdrowym, rześkim szczęknięciem. Choćby z tego powodu warto było, nieprawdaż? Dla tego zdrowego, rześkiego szczęknięcia. Dla staromodnych zalet dobrej jakości i rzemiosła. Przyszło mu na myśl z tuzin spraw, o których musiał porozmawiać z Susan, wgramolił się więc do samochodu i kiedy tylko wytoczył się na drogę, wcisnął automatyczne wybieranie numerów.

-...więc jeśli zyczysz sobie zostawić wiadomość, przy najbliższej sposobności oddzwonię. Albo i nie.

Pibiip.

- Susan, cześć, tu Gordon - odezwał się, niezgrabnie lokując słuchawkę na ramieniu. - Jadę właśnie do letniego domku. Jest, hm... czwartek, godzina, hm... 20.47. Na drogach trochę mglisto. Słuchaj, na weekend mają do mnie zjechać ci ludzie ze Stanów, żeby dogadać sprawę dystrybucji „Hymnu” w wersji 2.0, promocji, wiesz, tego wszystkiego, więc posłuchaj - wiesz, że nie lubię prosić cię o takie rzeczy, ale wiesz także, że i tak zawsze to robię, no więc proszę. Chcę tylko mieć pewność, że Richard nad tym siedzi. Kiedy go pytam, zawsze mówi: „No jasne, wszystko w porządku”, ale połowę czasu... Jasna cholera, ciężarówka z przeciwka jedzie na długich światłach, ci dranie kierowcy nigdy nie zmieniają świateł, cud, że nie skończyłem w jakimś rowie. To byłoby coś, nie uważasz, zostawić swoje słynne ostatnie słowa na czyjejs automatycznej sekretarce, nie wiem, dlaczego te ciężarówki nie mogą mieć automatycznych przełączników do świateł. Słuchaj, możesz zanotować dla mnie, że mam powiedzieć Susan - oczywiście nie tobie, tylko tej sekretarce w biurze - żeby wysłała list ode mnie do tego gościa w ministerstwie ochrony przyrody, w którym niech zapyta, czy jeśli my załatwimy technologię, to czy oni załatwią odpowiedni przepis? To wyłącznie z uwagi na dobro publiczne, a zresztą i tak winien mi jest przysługę, no a poza tym, po co w końcu trzymać komandora Orderu Imperium Brytyjskiego, jeśli nie można dupkowi trochę przykopać? Możesz powiedzieć, że przez cały tydzień prowadziłem rozmowy z Amerykanami. Ach, przypomniało mi się... Mam nadzieję, że pamiętałem o tym, żeby spakować strzelby. Co jest z tymi Amerykanami, że tak szaleją za strzelaniem do moich królików? Kupiłem im kilka map w nadziei, że uda mi się ich namówić na długie, zdrowe spacery i wybić im z głowy to strzelanie do królików. Naprawdę mi żal tych stworzeń. Chyba powinienem, kiedy przyjeżdżają Amerykanie, stawiać na trawie znaki w rodzaju tych, które mają w Beverly Hills: „Uwaga! Korzystamy z broni palnej!” Zrób, proszę, notatkę dla Susan, żeby załatwiła mi tablicę: „Uwaga! Korzystamy z broni palnej!” na zaostrzonym palu o takiej wysokości, żeby króliki mogły dojrzeć napis. To znaczy, Susan z biura, a nie ty... O czym to ja?... Ach, tak. O Richardzie i „Hymnie” 2.0. Susan, to musi przejść wszystkie testy najdalej za dwa tygodnie. On mi mówi, że wszystko w porządku, ale za każdym razem, kiedy go widzę, na ekranie monitora obraca mu się jakaś kanapa. On twierdzi, że to ważna koncepcja, ale ja w tym widzę tylko mebel. Ludzie, którzy chcą, żeby śpiewały dla nich wyniki finansowe firmy, na pewno nie będą chcieli kupować obrotowej kanapy. Nie sądzę też, aby musiał akurat teraz zamieniać wzorzec erozyjny Himalajów w kwintet fletowy. A jeśli chodzi o to, co zamierza Kate, no cóż, Susan, nie mogę ukrywać faktu, że niepokoją mnie wydatki i czas komputerowy, jaki to pochłania. Być może są

to ważne badania długoterminowe, lecz istnieje taka możliwość - powtarzam: to tylko możliwość, niemniej istnieje i winniśmy sami ocenić ją i zbadać - że to zwykły niewypał. Dziwne, słyszę jakiś hałas od strony bagażnika, przecież dopiero co go domknąłem. W każdym razie chodzi mi głównie o Richarda. Rzecz w tym, że istnieje tylko jedna osoba, która jest w stanie się dowiedzieć, czy on rzeczywiście wykonuje jakąś solidną robotę, czy tylko marzy, a tą osobą jest, jak się obawiam, Susan.

To znaczy, oczywiście, ty, a nie sekretarka z biura.

Więc czy nie mogłabyś, przykro mi, że cię o to proszę, naprawdę mi przykro, ale czy nie mogłabyś go o to zahaczyć? Powiedzieć mu, jakie to jest ważne? Upewnić się, że on zdaje sobie sprawę, że WayForward Technologies to dynamicznie rozwijająca się firma, a nie poletko doświadczalne dla jajogłowych. Tak to właśnie jest z jajogłowymi: mają jeden dobry pomysł, który im wyjdzie, a potem chcą, żeby bez końca ich sponsorować, kiedy sami siedzą i kontemplują topografię własnego pępka. Przepraszam na chwilę, muszę wyskoczyć i zamknąć dobrze ten bagażnik. Zaraz wracam.

Odłożył telefon na siedzenie obok, zjechał na pobocze i wysiadł. Kiedy podszedł do bagażnika, ten nagle się otworzył, ze środka wyskoczyła jakaś postać i z obu luf strzelby przestrzeliła mu pierś, a następnie udała się gdzieś we własnych sprawach.

Fakt, że został zastrzelony, wprowadził Gordona Waya w kompletne osłupienie, lecz, jak się okazało, prawdziwy powód do zdumienia miał on jeszcze przed sobą.

Rozdział ósmy

- Wejdz, drogi przyjacielu, wejdz.

Drzwi do służbowego mieszkania Rega znajdowały się u szczytu krętych drewnianych schodów budynku numer dwa i nie były zbyt dobrze oświetlone - to znaczy, były doskonale oświetlone, kiedy światło działało, ale akurat nie działało, zatem drzwi nie były zbyt dobrze oświetlone, a co gorsza, były zamknięte na klucz. Reg miał spore kłopoty z dobraniem właściwego klucza z kolekcji, z wyglądu przypominającej narzędzie, którym sprawny wojownik Ninja mógłby przebić na wylot pień dorodnego drzewa.

Służbówki w starszej części kolegium mają podwójne drzwi, zupełnie jak luk powietrzny, i tak jak luk powietrzny wymagają wiele zachodu przy otwieraniu. Drzwi zewnętrzne wykonano z mocnej, dębowej, szarej płyty, która nie posiadała żadnych cech szczególnych poza bardzo wąskim okienkiem na listy i zamkiem yale, do którego Reg całkiem niespodziewanie znalazł w końcu klucz.

Przekręcił klucz w zamku i otworzył drzwi na oścież. Za nimi znajdowały się zwykłe, pomalowane na biało drzwi z najzwyklejszą mosiężną klamką.

- Wejdz, wejdz - powtórzył Reg, otwierając je i niezgrabnie macając po ścianie w poszukiwaniu kontaktu. Przez chwilę blask żarzących się węgli, dogasających na kamiennym palenisku, rzucał na pokój roztańczone, widmowe cienie, lecz rychło zalało je światło elektrycznych lamp i magia zgasła. Reg zawahał się na moment w progu, dziwnie spięty, jakby chciał, zanim wejdzie, najpierw o czymś się upewnić, lecz zaraz wpadł do środka, przybierając przy tym rozradowany wygląd.

Pokój był wielki, wykładany boazerią, wypełniony zmyślnie dobraną kolekcją nieco podniszczonych

mebli. Przy przeciwległej ścianie stał wielki i dość sterany mahoniowy stół na grubych, brzydkich nogach, przywalony książkami, fiszkami, folderami i chwiejnymi stertami papierów. Z niejakim rozbawieniem Richard zauważył, że przedmiotem, który wyraźnie zajmował na tym stole swoje własne, odrębne miejsce, było w rzeczy samej stare, sfatygowane liczydło.

W pobliżu stała nieduża sekretera z okresu regencji, która miałaby może sporą wartość, gdyby nie była tak sponiewierana, a także kilka eleganckich georgiańskich krzesel, cudowna wiktoriańska biblioteczka i tak dalej. Krótko mówiąc, był to pokój wykładowcy. Na ścianach miał profesorskie oprawione mapy i druki, na podłodze wyliniały i wypłwiała profesorski dywan, a cały pokój wyglądał, jakby od dziesięcioleci nic się tu nie zmieniło - co mogło być zresztą zgodne z prawdą, bo przecież mieszkał tu profesor.

Przy każdym z narożników w przeciwległej ścianie otwierały się drzwi. Jedne, jak pamiętał Richard z poprzednich swoich wizyt, wiodły do gabinetu, który wyglądał jak mniejsza i bardziej skondensowana wersja pierwszego pokoju - potężniejsze sterty książek, wyższe sterty papierzysk, które znacznie poważniej groziły rychłym zawaleniem, i meble, które choć stare i dość cenne, poznaczone były miriadami okręgów po gorących filiżankach z kawą lub herbatą, a na wielu z nich pewnie nadal jeszcze stały te same filiżanki.

Drugie drzwi prowadziły do małej kuchni o dość podstawowym wyposażeniu oraz do krętych wewnętrznych schodów, na których szczycie znajdowały się sypialnia i łazienka profesora.

- Spróbuj usadowić się wygodnie na kanapie - zachęcał Reg, miotając się gościnnie dookoła. - Nie jestem pewien, czy ci się to uda. Mnie osobiście zawsze się wydaje, że wypchano ją liśćmi kapusty i kilkoma kompletami sztuców. - Uważnie przyjrzał się Richardowi. - Masz wygodną kanapę? - zapytał.

- No cóż, tak - roześmiał się Richard. Bardzo uradowała go przypadkowa głupota pytania.

- Och - odparł Reg z powagą. - Chciałbym, żebyś mi powiedział, gdzie ją kupiłeś. Ja sam mam z nimi bezustanny kłopot, doprawdy bezustanny. Nigdy w życiu nie udało mi się kupić wygodnej kanapy, nigdy. A ty swoją jak znalazłeś? - Z niejakim zaskoczeniem natkną) się na pozostawioną tu małą srebrną tacę z karafką porto i trzema szklankami.

- Wie pan, to dziwne, że pyta pan akurat o to - odpowiedział Richard. - Wcale na niej nie siedziałem.

- Bardzo roztropnie - upierał się gorliwie Reg. - Bardzo, bardzo roztropnie.

- Nie żebym nie chciał - mówił Richard. - Chodzi o to, że utkwiała w połowie schodów, które prowadzą do mojego mieszkania. Dostawcy wnieśli ją do połowy schodów, utknęli, pokręcili nią na wszystkie strony, ale to nic nie dało, a potem, co ciekawe, przekonali się także, że już nie potrafią znieść jej na dół. A można by pomyśleć, że to niemożliwe.

- Niesamowite - zgodził się Reg. - Z całą pewnością nie zetknąłem się do tej pory z matematyką nieodwracalną w zakresie kanap. To może być całkiem nowe pole badawcze. Rozmawiałeś z jakimś specjalistą od geometrii przestrzennej?

- Zrobiłem coś znacznie lepszego: zawołałem dzieciaka sąsiadów, który swego czasu potrafił ułożyć kostkę Rubika w siedemnaście sekund. Usiadł na stopniu i wgapiał się w kanapę przez ponad

godzinę, zanim w końcu obwieścił, że utkwiała na amen. Wprawdzie jest teraz o kilka lat starszy i dowiedział się już, po co są dziewczyny, niemniej dało mi to do myślenia.

- Mów dalej, drogi przyjacielu. Słucham z najwyższym zainteresowaniem, ale chciałbym się najpierw dowiedzieć, co ci mogę podać. Może odrobinka porto? Może brandy? Osobiście polecałbym porto, leżakuje w piwnicach kolegium od 1934, to chyba jeden z najlepszych roczników, jakie można znaleźć, a zresztą i tak nie mam brandy. A może kawy? A może jeszcze trochę wina? Mam butelkę doskonałego margaux, a już od dawna szukam pretekstu, żeby je otworzyć, choć oczywiście powinno postać z godzinę otwarte, co nie znaczy, że nie mógłbym... Nie, nie - dorzucił pospiesznie - chyba lepiej nie chodzić dziś wieczorem po margaux.

- Najchętniej napiłbym się herbaty - wtrącił Richard - jeśli pan ma.

Reg uniósł wysoko brwi.

- Jesteś pewien?

- Wracam samochodem.

- A, rzeczywiście. W takim razie przejdę na chwilkę do kuchni. Proszę, nie przerywaj, będę cię stamtąd doskonale słyszał. Opowiedz mi, co działo się dalej z twoją kanapą, a tymczasem rozsiądź się wygodnie na mojej. Czy długo tam tkwiła?

- Nadal tkwi; już ze trzy tygodnie - odpowiedział Richard, siadając. - Mógłbym ją, oczywiście, rozpiłować na kawałki i wyrzucić, ale nie mogę uwierzyć, że nie ma tu żadnego logicznego rozwiązania. Co więcej, pobudziła mnie do myślenia - zanim się kupi jakiś mebel, warto wiedzieć, czy da się wnieść po schodach i czy nie utknie na jakimś zakręcie. Wykonałem więc za pomocą komputera trójwymiarowy model całego problemu - i jak dotąd komputer twierdzi, że nie ma wyjścia.

- Co twierdzi? - zawołał Reg z kuchni, przekrzykując hałas lejącej się do czajnika wody.

- Że nie da rady. Kazałem mu obliczyć, jaki manewr należy wykonać, żeby można było wydostać kanapę, a on twierdzi, że nie ma takiego manewru. Ja na to: „Co?”, a on, że nie ma takiego manewru. Poprosiłem go więc - i tu zaczyna się prawdziwie tajemnicza sprawa - żeby obliczył, jakich manewrów dokonano, żeby umieścić ją tam, gdzie się znajduje. A on mi na to, że kanapy nie można było umieścić tam, gdzie się znajduje, bez uprzedniej fundamentalnej restrukturyzacji ścian korytarza. Tak więc albo jest coś nie tak z fundamentalną strukturą ścian w moim domu, albo - westchnął - coś jest nie tak z programem. Na co pan stawia?

- Jesteś żonaty? - zawołał Reg.

- Co? Ach, tak... Rozumiem, co pan ma na myśli. Kanapa, która przez miesiąc tarasuje schody. No cóż, ściśle rzecz ujmując, nie jestem żonaty, ale owszem, jest pewna szczególna dziewczyna, z którą nie jestem żonaty.

- Jaka jest? Czym się zajmuje?

- Jest wiolonczelistką. Muszę przyznać, że ta kanapa stała się na pewien czas głównym tematem

naszych rozmów. Szczerze mówiąc, dziewczyna wróciła do swojego mieszkania - dopóki tego nie załatwię. Ona, hm...

Posmutniał nagle, wstał, odbył dość chaotyczną wędrowkę po całym pokoju, aż na koniec znalazł się przy wygasającym kominku. Poruszył węgle i dołożył kilka drewna, próbując wygnać z pokoju dojmujący chłód.

- Prawdę mówiąc, jest siostrą Gordona - rzekł. - Ale bardzo się od siebie różnią. Nie jestem pewien, czy szczególnie przepada za komputerami. I chyba jej się nie podoba jego stosunek do pieniędzy. Nie mam jej tego zbyt za złe, zwłaszcza że i tak wie tylko połowę.

- A co to za połowa, o której nie wie? Richard westchnął.

- No cóż - powiedział. - Chodzi o projekt, który software'owemu wcieleniu firmy przyniósł ogromne zyski. Nazywał się „Rozum” i na swój sposób był rewelacyjny.

- A co to było?

- Był to swego rodzaju program „tył na przód”. To zabawne, ile najlepszych pomysłów bierze swój początek ze starego „tyłem do przodu”. Widzi pan, powstało wiele programów, które mają człowiekowi pomóc podjąć właściwą decyzję poprzez dokładną analizę wszystkich istotnych faktów, co w rezultacie ma nam wskazać to jedyne, najlepsze rozwiązanie. Jedyne mankament to ten, że decyzja, którą wskaże nam dokładna analiza uporządkowanych danych, niekoniecznie jest akurat tą, której byśmy sobie życzyli.

- Taaaa - dobiegł z kuchni głos Rega.

- No więc Gordon wpadł na genialny pomysł, żeby zaprojektować program, który by pozwalał określić z góry i szczegółowo, jaką decyzję pragnęlibyśmy podjąć, a dopiero później podać dane. Zadaniem programu - a radził z nim sobie bez najmniejszego trudu - było skonstruować serię logicznych na pierwszy rzut oka kroków, które miały łączyć przesłanki z ostateczną konkluzją. I działał, muszę przyznać, znakomicie. Gordon niemal natychmiast zdołał kupić sobie porsche, pomimo że był doszczętnie splukany, i do tego nędznym kierowcą. Nawet jego własny bankier nie był w stanie podać w wątpliwość logiki jego rozumowania. Mimo że pro trzech tygodniach samochód nadawał się do kasacji.

- Mój Boże. A czy ten program dobrze się sprzedawał?

- Nie. Nie sprzedaliśmy ani jednego egzemplarza.

- Zdziwiasz mnie. Dla mnie wygląda na bestseller.

- I był nim - oznajmił z wahaniem Richard. - Cały program został wykupiony na pniu przez Pentagon. Dzięki tej transakcji WayForward uzyskało bardzo solidne podstawy finansowe. Lecz z drugiej strony, jego podstawy moralne to coś, na czym sam osobiście wolałbym się nie opierać. Analizowałem ostatnio wiele argumentów na rzecz projektu Gwiazdnych Wojen i jeśli się wie, czego należy szukać, układ alogarytmów nie pozostawia żadnych wątpliwości. Do tego stopnia właściwie, że przyglądając się działaniom Pentagonu w ciągu ostatnich kilku lat, mogę stwierdzić z dużą dozą pewności, że marynarka Stanów Zjednoczonych korzysta z programu w wersji 2.0, podczas gdy

lotnictwo z niewiadomych przyczyn ma zaledwie próbną wersję 1.5. To dziwne.

- Został ci jakiś egzemplarz?

- Jasne, że nie - odrzekł Richard. - Nie chciałbym mieć z tym nic wspólnego. A zresztą, kiedy Pentagon kupuje wszystko, to kupuje wszystko. Każdy najmniejszy skrawek kodu, każdą dyskietkę, każdy notatnik. Byłem zadowolony, że mamy to z głowy. Jeśli rzeczywiście mamy. Sam staram się zajmować tylko własnymi projektami.

Pogrzebał w palenisku, zastanawiając się, co on właściwie tu robi, kiedy ma przecież tyle roboty. Gordon ciągle naciska, żeby przygotował nową wystrzałową wersję „Hymnu”, która byłaby w stanie wykorzystać Macintosh II, a on był jeszcze z robotą w lesie. A jeśli chodzi o ten proponowany moduł do przetwarzania wpływających informacji giełdowych w dane MIDI w czasie realnym, to był tylko żart, ale Gordon, rzecz jasna, zaraz się do tego zapalił i nalegał, żeby pomysł wcielić w życie. To także miało już być dawno gotowe i także nie było. Nagle zorientował się, że wie doskonale, dlaczego się tu znalazł.

No cóż, to był przyjemny wieczór, chociaż nadal nie rozumiał, czemu Regowi tak zależało, żeby się z nim zobaczyć. Wziął do ręki kilka leżących na stoliku książek. Stolik ten pełnił najwyraźniej podwójną funkcję - także jako stół do posiłków, bo choć sterty książek wyglądały, jakby przebywały w tym miejscu już od tygodni, to jednak brak kurzu w ich bezpośrednim sąsiedztwie wskazywał na to, że były niedawno przesuwane.

Niewykluczone, pomyślał, że potrzeba przyjacielskiej pogawędki z kimś innym może z czasem stać się tak samo dojmująca jak każda inna potrzeba, kiedy się żyje w tak zamkniętej społeczności, jaką nadal stanowi Cambridge. Reg to przyjemny facet, ale przy kolacji widać było wyraźnie, że koledzy uznają jego drobne dziwactwa za dietę nazbyt pożywną - zwłaszcza że mają dość własnych. Trapiła go bliżej nie sprecyzowana myśl o Susan, ale przywykł już do tego. Przejrzał dwie książki, które wziął ze stołu.

Pierwsza, dość stara, zawierała sprawozdanie o przypadkach pojawienia się duchów w Borley Rectory, najbardziej nawiedzonym domu w całej Anglii. Książka miała wystrzępiony grzbiet, a reprodukcje fotografii tak wyblakły, że właściwie nie wiadomo było, co przedstawiają. Zdjęcie, które, jak sądził, musiało być bardzo udanym (lub oszukańczym) ujęciem widmowej zjawy, przy dogłębniejszym zbadaniu okazało się podobizną autora.

Druga książka, znacznie nowsza, dziwnym zbiegiem okoliczności okazała się przewodnikiem po wyspach greckich. Richard zaczął kartkować ją od niechcienia, a wtedy ze środka wypadł jakiś świstek.

- Earl grey czy lapsang souchong? - zawołał Reg. - A może darjeeling? Albo PG tips? Niestety, wszystkie są ekspresowe. I nie najświeższe.

- Niech będzie darjeeling - odparł Richard, pochylając się, żeby podnieść kartkę.

- Z mlekiem? - zawołał Reg.

- Tak, proszę.

- Kostkę czy dwie?

- Proszę jedną.

Richard wsunął świstek między kartki przewodnika, zauważając przy okazji, że nagryzmołono na nim pospiesznie jakąś notatkę. Notatka, co szczególne, brzmiała: „Przyjrzyj się tej najzwyklejszej w świecie srebrnej solniczce. Przyjrzyj się także tej najzwyklejszej w świecie czapce”.

- Z cukrem?

- Co proszę? - rzucił Richard, zaskoczony. Pospiesznie odłożył książkę z powrotem na stertę.

- To taki mój niewinny żarcik - odpowiedział radośnie Reg. - Sprawdzam, czy ludzie mnie słuchają.

Rozpromieniony, pojawił się w kuchennych drzwiach, niosąc dwie filiżanki na niedużej tacce, którą znieacka cisnął na podłogę. Herbata rozlała się po dywanie. Jedna filiżanka roztrzaskała się na kawałki, druga potoczyła się pod stół. Sam Reg oparł się ciężko o futrynę, blady jak płótno i z wytrzeszczonymi oczyma.

Minęła krótka, lodowata chwila, bo Richard był zbyt zaskoczony, by zareagować, po czym skoczył niezręcznie na pomoc. Lecz staruszek już go przeproszał i proponował, że zrobi nową herbatę. Richard podprowadził go do kanapy.

- Dobrze się pan czuje? - pytał bezradnie. - Czy mam wezwać lekarza?

Reg uspokajająco pomachał ręką.

- Nic mi nie jest - stwierdził stanowczo. - Czuję się doskonale. Wydawało mi się, hm, że słyszę jakiś hałas, i przestraszyłem się. To nic takiego. To tylko wpływ herbacianych oparów. Muszę po prostu głęboko odetchnąć. Myślę, że odrobinka, hm, porto postawi mnie na nogi. Tak mi przykro, nie chciałem cię przestraszyć. - Machnął ręką mniej więcej w kierunku, gdzie powinna znajdować się karafka porto. Richard nalał trochę do kieliszka i wręczył mu pospiesznie.

- Jaki hałas? - zapytał.

W tej właśnie chwili nad ich głowami wszczął się jakiś ruch i słysząc było coś jakby ciężkie sapanie.

- Taki... - szepnął Reg. Kieliszek porto leżał strzaskany u jego stóp. Na górze ktoś bardzo głośno tupał. - Słyszałeś?

- Tak.

Odpowiedź sprawiła staremu wyraźną ulgę. Richard spojrzał nerwowo w kierunku sufitu.

- Czy ktoś jest na górze? - zapytał, czując, że to niezręczne pytanie, które jednak należy zadać.

- Nie - odparł Reg głosem, ku zaskoczeniu Richarda, pełnym strachu. - Nikt. Tam nie powinno być nikogo.

- W takim razie...

Reg podniósł się z wysiłkiem, lecz z nagłą okazał jakąś dziką determinację.

- Muszę tam pójść - oznajmił cicho. - Muszę. Bardzo proszę, poczekaj tu na mnie.

- Proszę powiedzieć, o co chodzi? - dopytywał się Richard, stając między nim a drzwiami. - Czy to włamywacz? Niech pan posłucha, ja pójdę. Jestem pewien, że to nic takiego: wiatr albo coś w tym rodzaju.

Richard nie wiedział, po co właściwie to mówi. Było jasne, że to nie jest wiatr ani nawet nic zbliżonego do wiatru, bo choć wiatr może od biedy naśladować ciężkie sapanie, to raczej rzadko zdarza mu się tak głośno stąpać.

- Nie - odparł staruszek, uprzejmie, acz stanowczo odsuwając go na bok. - Sam muszę to załatwić.

Richard bezradnie podążył za nim na niewielki korytarzyk, za którym znajdowała się mała kuchnia. Na piętro wiodły stąd schody z ciemnego drewna; stopnie wyglądały na zniszczone i zdeptane.

Reg włączył światło. Była to naga, niezbyt mocna żarówka, która wisiała nad schodami, a on przyjrzał się jej z ponurą obawą.

- Poczekaj tutaj - powiedział i wspiął się na dwa pierwsze stopnie. Potem odwrócił się i z najwyższą powagą spojrzał Richardowi w oczy.

- Przykro mi - rzekł - że wplątuję cię w... tę trudniejszą stronę mojego życia. Ale skoro już zostałeś wplątany, to choć bardzo tego żałuję, muszę cię o coś prosić. Nie wiem, co mnie czeka na górze, nie jestem pewien. Nie wiem, czy to jest coś, co niemądrze ściągnąłem na siebie poprzez... przez swoje hobby, czy coś, czego padłem niewinną ofiarą. Jeżeli mamy do czynienia z tym pierwszym, to sam sobie jestem winien, gdyż jestem jak lekarz, który nie potrafi rzucić palenia, albo, co gorsza, jak ekolog, który nie potrafi wyrzec się samochodu. Jeżeli zaś spotkało mnie to drugie, to mam nadzieję, że nie przydarzy się tobie. Ale muszę cię o coś prosić: kiedy już zejdziesz z powrotem po tych schodach - zakładając, rzecz jasna, że tak się stanie - to jeśli coś dziwnego uderzy cię w moim zachowaniu, skocz na mnie i obal na ziemię. Rozumiesz? Musisz uniemożliwić mi zrobienie tego, co będę próbował zrobić.

- Ale skąd będę wiedział? - zapytał z niedowierzaniem Richard. - Przepraszam, nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało. Ale nie wiem, czego...

- Będziesz wiedział - odparł Reg. - A teraz, proszę, zaczekaj na mnie w pokoju. I zamknij za sobą drzwi.

Potrząsając w zadziwieniu głową, Richard postąpił parę kroków w tył i zrobił, jak mu kazano. Ze środka wielkiego, nieporządnego pokoju nasłuchiwał ciężkich kroków profesora, który wspinał się na kolejne stopnie.

Wspinał się na nie z ociężałą zawziętością; brzmiało to jak tykanie wielkiego, powolnego zegara.

Richard usłyszał, jak tamten dotarł na górny podest, gdzie przystanął na chwilę w milczeniu. Mijały sekundy - pięć, może dziesięć, może dwadzieścia. A potem znów dobiegł stamtąd ruch i sapanie,

które przedtem tak udręczyły profesora.

Richard podbiegł do drzwi, ale ich nie otwierał. Panujący w pokoju chłód męczył go i niepokoił. Potrząsnął głową, próbując pozbyć się tego odczucia, a potem wstrzymał oddech, kiedy kroki profesora poczęły przemierzać podest, by w końcu znów przystanąć na chwilę.

Po kilku zaledwie sekundach Richard usłyszał długie, powolne skrzypnięcie drzwi otwieranych ostrożnie cal po calu, cal po calu, aż w końcu nieuchronnie zostały otwarte na oścież.

Przez długi, długi czas wydawało się, że nic się nie dzieje.

W końcu drzwi powolutku się zamknęły.

Kroki przemierzyły podest i znów ucichły. Richard, wpatrzony hipnotycznie w drzwi, odsunął się nieco. Jeszcze raz kroki podjęły wędrówkę po schodach, powoli, zdecydowanie i cicho, aż dotarły w końcu na sam dół. Potem, po kilku sekundach, klamka u drzwi zaczęła się przekręcać. Drzwi otworzyły się, a do środka najspokojniej wkroczył Reg.

- Wszystko w porządku, to tylko koń w łazience - odezwał się cicho.

Richard skoczył nań i obalił na ziemię.

- Nie, nie - sapnął Reg. - Zejdź ze mnie, puść mnie, nic mi nie jest, niech to diabli. To tylko koń, najzwyczajniejszy w świecie koń.

Bez większych trudności strząsnął z siebie Richarda i usiadł, sapiąc, parskając i przeczesując palcami mocno przeredzone włosy. Richard stał nad nim przezornie, ale i z wielkim, wciąż narastającym zakłopotaniem. Odsunął się na bok, żeby Reg mógł wstać i usiąść na krześle.

- To tylko koń - mówił Reg - ale, hm, dziękuję, że potraktowałeś poważnie moje słowa.

- Koń - powtórzył Richard.

- Właśnie - odparł Reg.

Richard wyszedł na korytarz i spojrzał w górę schodów, po czym wrócił do pokoju.

- Powiada pan: koń?

- Dokładnie - odpowiedział profesor. - Poczekaj... - Machnął ręką do Richarda, który właśnie miał wyjść i przekonać się osobiście. - Niech będzie. To długo nie potrwa.

Richard wpatrywał się weń z niedowierzaniem.

- Powiada pan, że w pana łazience jest koń, i nic pan nie robi, tylko stoi tu i cytuje piosenki Beatlesów*?

Profesor patrzył na niego z zakłopotaną miną.

- Posłuchaj - odezwał się - przykro mi, jeśli niepokoiłeś się z mojego powodu, ale to był tylko drobny wstrząs. Takie rzeczy się zdarzają, przyjacielu, więc niech cię to nie przygnębia. Mój Boże, w swoim czasie widywałem o wiele dziwniejsze rzeczy. Całe mnóstwo. I o wiele dziwniejszych. Na

litość boską, to tylko zwykła kobyła. Później ją stamtąd wyprowadzę. Proszę, nie niepokój się więcej. Pokrzepmy się raczej odrobinką porto.

- Ale... jak on się tam dostał?

- Cóż, okno w łazience jest otwarte, więc pewnie tamtędy. Richard przyjrzał mu się, nie pierwszy i z pewnością nie ostatni raz, podejrzliwie przymrużonymi oczami.

- Pan to robi specjalnie, prawda?

- Co robię specjalnie, drogi przyjacielu?

- Nie wierzę, że ma pan konia w łazience - rzucił nagle Richard. - Nie wiem, co tam jest, nie wiem, czym się pan zajmuje, nie wiem, co w ogóle ma znaczyć ten dzisiejszy wieczór, ale nie wierzę, że ma pan konia w łazience. - I nie zważając już na protesty Rega, pobiegł na górę.

Łazienka nie była duża.

Ściany wyłożono rzeźbioną dębową boazerią, która, zważywszy na wiek i naturę całego budynku, była prawdopodobnie bezcenna, lecz poza nią wszystkie sprzęty cechowała instytucjonalna sztywność.

Na podłodze leżało stare, wytarte linoleum w biało-czarną kratkę i stała nieduża wanna, starannie wyczyszczona, lecz emalię pokrywały już plamy i odpryski starości; była tu jeszcze niewielka, prosta umywalka, na której, tuż obok kurków, stała w kubeczku z duraleksu pasta i szczoteczka Rega. Przyśrubowana do prawdopodobnie bezcennej boazerii, wisiała tam także blaszana szafka z lustrem na drzwiczkach. Wyglądało na to, że przemalowywano ją wiele razy.

Richard nawiązuje do ostatnich dwóch zdań Rega, które po angielsku brzmią jak tytuły piosenek Beatlesów: Let it be, It won't be long.

Boki lustra pokrywały ciemne plamki. Nad sedesem widniała staromodna metalowa spłuczka z łańcuszkiem. W kącie stała stara, drewniana, pomalowana na kremowo szafka, a obok niej stare brązowe krzesło z giętego drewna, na którym leżało kilka schludnie złożonych, lecz mocno już wyłysiałych ręczników. Stał tam także, zajmując sobą większą część tego pomieszczenia, spory koń.

Richard gapił się na niego, a on gapił się na Richarda, jakby szacując go wzrokiem. Richard zachwiał się lekko. Koń stał zupełnie nieruchomo. Po chwili skierował wzrok na kremową szafkę. Wyglądało na to, że jest jeśli nie zadowolony, to przynajmniej na tyle zrezygnowany, że pozostanie tam, gdzie go umieszczono, dopóki ktoś nie umieści go gdzie indziej. Wydawało się też... ale co właściwie?

Koń stał skąpany w blasku księżyca, który wlewał się przez okno. Okno to wprawdzie było otwarte, ale zarazem bardzo małe, a poza tym na drugim piętrze, tak więc pomysł, że koń dostał się tutaj tą drogą, wydawał się dość fantastyczny.

Koń miał w sobie coś szczególnego, lecz Richard nie potrafił sprecyzować bliżej, co to mogło być. No tak - jedno na pewno było dość szczególne: że stał sobie w uniwersyteckiej łazience. Może to i wszystko.

Richard wyciągnął rękę i poklepał zwierzę po karku. W dotyku było normalne - mocne, gładkie, dobrze utrzymane. W świetle sierść wyglądała na nieco zmierzwioną, ale z drugiej strony, w księżycowym blasku wszystko wygląda troszkę dziwnie. Pod dotknięciem dłoni koń lekko potrząsnął grzywą, ale chyba nie wziął tego Richardowi za złe.

Po sukcesie z klepaniem Richard kilkakrotnie pogłaskał zwierzę, a potem delikatnie poskrobał pod pyskiem. Po chwili zauważył, że w przeciwnym rogu łazienki znajdują się drugie drzwi. Ostrożnie wyminął konia, podszedł do nich i z najwyższą ostrożnością zaczął otwierać.

Po drugiej stronie ukazała się sypialnia profesora - nieduży pokój z pojedynczym łóżkiem, zapchany książkami oraz butami. Ten pokój także miał drugie drzwi, które otwierały się na podest schodów.

Richard zauważył, że na podeście i na schodach widnieją świeże ślady i zadrapania, które doskonale pasowały do teorii, że koń jakimś sposobem został wepchnięty na górę po schodach. Richard osobiście nie podjąłby się takiego zadania, a jeszcze mniej chciałby się znaleźć na miejscu czworonoga, lecz w zasadzie nie było to całkowicie nieprawdopodobne.

Ale po co? Po raz ostatni rzucił okiem na konia, który po raz ostatni rzucił okiem na niego, i wrócił na dół.

- Przyznaję - odezwał się. - Rzeczywiście ma pan konia w łazience i faktycznie napiję się porto.

Nalał sobie trochę, a potem Regowi, który siedział milcząco zapatrzony w płomienie i pilnie potrzebował dolewki.

- Czyli dobrze, że przygotowałem wcześniej trzy kieliszki - zaczął Reg w tonie pogawędki. - Zastanawiałem się nad tym, ale teraz sobie przypominam. Pytałeś, czy możesz kogoś przyprowadzić, ale wygląda na to, że zmieniłeś zdanie. Niewątpliwie z powodu kanapy. No cóż, zdarza się. No, no, nie za dużo, bo rozlejesz.

Wszystkie związane z koniem kwestie pierzchły w popłochu z pamięci Richarda.

- Naprawdę? - wykrztusił.

- Tak, tak. Teraz sobie przypominam. O ile pamiętam, dzwoniłeś specjalnie, żeby mnie zapytać. Powiedziałem, że będę zachwycony, i naprawdę miałem taki zamiar. Na twoim miejscu przepiłowałbym ten mebel. Chyba nie chcesz poświęcić szczęścia dla kanapy? A może doszła do wniosku, że wieczór z twoim starym profesorem będzie koszmarne nudny, i zamiast tego wybrała o ileż zabawniejszą opcję mycia głowy. Mój Boże, ja na jej miejscu wiedziałbym, co wybrać. Wyłącznie z powodu braku włosów zmuszony jestem prowadzić tak gorączkowo towarzyski tryb życia.

Tym razem to Richard zbladł jak ściana i wytrzeszczył oczy.

Owszem, zakładał, że Susan nie będzie chciała przyjść.

Owszem, powiedział jej, że będzie strasznie nudno. Ale ona uparła się, że chce jechać z nim, ponieważ to dla niej jedyny sposób, żeby mogła widzieć przez parę minut jego twarz nie oświetloną blaskiem komputerowego monitora, więc zgodził się i w końcu ustalił z Regiem, że weźmie ją ze

sobą.

Tylko że zupełnie o tym zapomniał. Nie pojechał po nią.

- Czy mógłbym skorzystać z pańskiego telefonu? - zapytał.

Rozdział dziewiąty

Gordon Way leżał na ziemi, niepewny, co czynić dalej.

Nie żył - co do tego nie mogło być najmniejszych wątpliwości. Miał straszliwą dziurę w piersi, a krew, która przedtem buchała z niej jak gejzer, teraz ciekła już tylko wąziutkim strumyczkiem. Pod każdym innym względem jego klatka piersiowa pozostawała doskonale nieruchoma, podobnie zresztą jak cała reszta ciała.

Spojrzał w górę, a potem na boki i zorientował się, że czymkolwiek teraz poruszał, nie była to w każdym razie żadna część jego ciała.

Mgła otoczyła go z wolna, niczego nie wyjaśniając. O kilka kroków dalej spoczywała w trawie jego własna strzelba, spokojnie dymiąc z luf.

A on po prostu leżał, jak ktoś, kto obudzi się nagle o czwartej nad ranem i już nie może zasnąć, niezdolny ani usnąć umysłu, ani też zająć się czymkolwiek. Uświadomił sobie, że właśnie przeżył coś w rodzaju szoku, co mogłoby tłumaczyć jego chwilowy brak zdolności logicznego myślenia, ale w żaden sposób nie tłumaczyło, skąd w ogóle u niego zdolność do myślenia.

W wielkiej dyskusji, która szalała na przestrzeni wieków na temat tego, co - jeśli w ogóle - stanie się z człowiekiem po śmierci, czy to w niebie, czy w czyśćcu, czy wreszcie w piekle, jedno nie ulegało nigdy wątpliwości: że kiedy już będzie martwy, z pewnością pozna odpowiedź.

Gordon Way był martwy, ale nie miał najmniejszego pojęcia, co z tym fantem począć. Nigdy dotąd nie znalazł się w podobnej sytuacji.

Usiadł. Ciało, które wykonało tę czynność, wydało mu się tak samo realne, jak to, które nadal leżało na ziemi, stygnąc powoli i oddając ciepło swej krwi w obłokach pary, które mieszały się z mgłą i chłodnym powietrzem nocy.

Posunął się dalej w eksperymentach: spróbował wstać - powoli, chwiejnie i z niedowierzaniem. Wyglądało na to, że ziemia nadal służy mu podporą, że podtrzymuje jego ciężar. Ale z drugiej strony, rzecz jasna, wyglądało na to, że nie ma żadnego ciężaru, który mogłaby podtrzymywać. Kiedy pochylił się, żeby jej dotknąć, poczuł tylko coś w rodzaju niewyraźnego, gumowego oporu - wrażenie podobne do tego, jakie odczuwa się, próbując podnieść coś zmartwiałą od bezruchu ręką. A jego ręka zmartwiała już na dobre. Podobnie jak jego nogi i druga ręka, cały tułów i głowa.

Jego ciało było martwe. Nie miał tylko pojęcia, dlaczego umysł nie.

Stał tam, zastygły jakby w bezsennym przerażeniu, a zakrętasy mgły przepływały przez niego na wskroś.

Jeszcze raz opuścił wzrok na siebie - na tego upiornie zaskoczonego siebie, nadal leżącego

nieruchomo na ziemi - i poczuł, że chce mu ścierpnąć skóra. A raczej, że sam chce, żeby mu ścierpła skóra. Chciał mieć skórę. Chciał mieć ciało. Nie miał ani jednego, ani drugiego.

Wyrwał mu się nagły okrzyk przerażenia, który nie zabrzmiał i nie popłynął donikąd. Zadrzał, lecz i tego nie poczuł.

Z samochodu sączyła się struga światła i ulatywały dźwięki muzyki. Zwrócił się w tamtym kierunku. Próbował kroczyć zdecydowanie, lecz krok ten wychodził raczej słabo i chwiejnie, był niepewny i - no cóż - niematerialny. Ledwie wyczuwał grunt pod stopami.

Drzwiczki po stronie kierowcy nadal były otwarte na oścież, tak właśnie jak je zostawił, kiedy wyskakiwał na, jak mu się wydawało, dwie sekundy, żeby zająć się klapą bagażnika.

To było jakieś dwie minuty temu, kiedy jeszcze był żywy. Kiedy jeszcze był kimś. Kiedy sądził, że zaraz wskoczy z powrotem i pojedzie dalej. Dwie minuty i jedno życie temu.

Czyste szaleństwo, co? - pomyślało mu się nagle.

Obszedł drzwiczki i pochylił się, by zerknąć w boczne lusterko.

Wyglądał tak samo jak zawsze; był wprawdzie okropnie przestraszony, co było zresztą do przewidzenia, niemniej był to on sam, zupełnie normalny. Musiał chyba to wszystko sobie wyobrazić, to musi być jakiś koszmarny sen na jawie. Uderzyła go nagła myśl - chuchnęła na próbę w szybę lusterka.

Nic. Ani kropelki pary. Wynik, który usatysfakcjonowałby każdego lekarza. Właśnie coś takiego pokazują zawsze w telewizji: nie ma pary - nie ma oddechu. A może, pomyślał niespokojnie, może to dlatego, że boczne lusterka w jego samochodzie są ogrzewane? Czy dealer nie wspominał przypadkiem o ogrzewanych lusterkach bocznych? Ciągłe mówił o ogrzewanym tym, elektrycznym innym albo wspomaganym czymś tam jeszcze. Może miał cyfrowe lusterka boczne. Na pewno. Cyfrowe, ogrzewane, wspomagane, sterowane komputerowo, odporne na oddech lusterka boczne...

Nagle zdał sobie sprawę, jak beznadziejne bzdury wymyśla. Odwrócił się i jeszcze raz popatrzył z lękiem na leżące na ziemi ciało, któremu odstrzelono połowę klatki piersiowej. Taki widok z pewnością wystarczyłby każdemu lekarzowi. Widok, który byłby nader odstręczający, gdyby nie chodziło tu o jego własne ciało...

On nie żyje. Nie żyje... nie żyje... Chciał, by słowa te przetoczyły mu się w głowie dramatycznym echem, ale nic z tego nie wyszło. To żadna ścieżka dźwiękowa do filmu; po prostu nie żyje i już.

Przyglądając się swemu ciału z pełną obrzydzenia fascynacją, zaczął dodatkowo popadać w przygnębienie z powodu głupkowatego wyrazu, jaki przybrała jego twarz.

Było to, skądinąd, zupełnie zrozumiałe. Był to dokładnie ten wyraz twarzy, jaki mógłby przybrać ktoś, do kogo właśnie strzela z jego własnej dubeltówki facet, który chował się w bagażniku jego własnego samochodu, lecz mimo to Gordonowi niezbyt podobała się myśl, że ktoś mógłby go znaleźć w takim stanie.

Przykląkł obok w nadziei, że zdoła jakoś poprzestawiać rysy własnej twarzy w bardziej godną, a już

przynajmniej w nieco inteligentniejszą minę.

Okazało się to praktycznie niemożliwe. Próbował ugniatać skórę, obrzydliwie znajomą mu skórę, ale w żaden sposób nie mógł jej wystarczająco mocno uchwycić - ani niczego innego. Przypominało to lepienie z plasteliny pograżoną we śnie ręką, tylko że zamiast ześlizgiwać się z modelu, ręka prześlizgiwała się przezeń na wskroś. W tym akurat przypadku ręka prześlizgiwała się przez twarz.

Opadła go fala mdłości, przerażenia i gniewu z powodu tej cholernej nieudolności, aż nagle spostrzegł się, zaskoczony, że dusi samego siebie i potrząsa własnymi zwłokami, dzierżąc je w mocnym i wściekłym uchwycie. Zaszokowany, podniósł się na nogi. Udało mu się jedynie dodać wykrzywione w grymasie usta oraz zez do i tak idiotycznego wyrazu twarzy. A także sińce, które wykwiwały teraz wokół szyi.

Wybuchnął łkaniem i tym razem dźwięk dał się słyszeć: dziwne, obce zawodzenie, dochodzące z samych trzewi tego, czym teraz był. Kryjąc twarz w dłoniach, odstąpił chwiejnie do tyłu, wycofał się do samochodu i rzucił się na siedzenie. Siedzenie przyjęło go w nieco luźny i nieobecny sposób, jak ciotka, która nie aprobejuje ostatnich piętnastu lat życia siostrzeńca, poczęstuje go przeto, owszem, zwyczajową sherry, ale nie spojrzy mu przy tym w oczy.

Czy nie dałoby się wezwać jakiegoś lekarza?

Żeby uciec przed jawną absurdalnością tej myśli, jął mocować się gwałtownie z kierownicą, lecz ręce przenikały przez nią na wskroś. Zaczął walczyć z automatyczną skrzynią biegów, lecz skończyło się na tym, że bębnił w nią wściekle pięściami, nie będąc w stanie ani jej uchwycić, ani popchnąć.

Odtwarzacz nadal grał lekką muzykę orkiestrową do telefonu, który, słuchając cierpliwie, przez cały ten czas leżał na sąsiednim siedzeniu. Gordon zagapił się na urządzenie i z narastającym rozgorączkowaniem uświadomił sobie, że nadal jest ono połączone z automatyczną sekretarką Susan. Należało do tego typu telefonów, które działają, dopóki ktoś nie odwiesi słuchawki.

Rozpaczliwie starał się pochwycić słuchawkę, nie udało mu się, słuchawka prześliznęła mu się przez palce, a on zmuszony był pochylić się tak, by przybliżyć usta do mikrofonu.

- Susan! - krzyknął głosem ochryplym i tak nierzeczywistym jak zawodzenie wiatru. - Susan, błagam, pomóż mi! Pomóż mi, na litość boską! Susan, ja nie żyję... nie żyję... Ja nie żyję i... nie wiem, co robić... - Znów się załamał i łkając rozpaczliwie, próbował przytulić się do telefonu, jak niemowlę, które szuka pociechy, lgnąc do swego kocyka.

- Pomóż mi, Susan... - krzyknął jeszcze raz.

- Pibiip - odpowiedział telefon.

Rzucił okiem na część, którą tulił do siebie. Coś jednak udało mu się przycisnąć: guzik, który rozłączył rozmowę. Gorączkowo zaczął zmagać się z aparatem, lecz on ciągle przelatywał mu przez palce, aż w końcu spoczął nieruchomo na siedzeniu. Nie mógł go dotknąć. Nie był w stanie przycisnąć guzików. W przyptywie gniewu walnął nim w przednią szybę. Wyszło bez zarzutu. Aparat uderzył w szybę, odbił się, przeleciał przez niego i spoczął między siedzeniami, nieczuły na wszelkie jego usiłowania.

Przez kilka następnych minut Gordon siedział odrętwiały, kiwając powoli głową, gdyż przerażenie zaczęło ustępować poczuciu głębokiego osamotnienia.

Obok przemknęło kilka samochodów, lecz ci, co w nich siedzieli, nie dostrzegli nic szczególnego - ot, zwykły samochód, który zatrzymał się przy drodze. Auta przemknęły tak szybko, że ich reflektory nie zdołały wyłowić z ciemności leżącego w trawie ciała. Z pewnością też nikt nie mógł zauważyć ducha, który siedział w samochodzie i płakał z żalu nad sobą.

Nie miał pojęcia, jak długo tak siedział. Niezbyt dobrze uświadamiał sobie przepływ czasu, wiedział tylko, że nie biegnie on zbyt szybko. Nie odczuwał żadnych zewnętrznych bodźców, które uświadamiałyby mu jego upływ. Nie czuł chłodu. Prawdę mówiąc, prawie już nie pamiętał, jak to jest odczuwać chłód, wiedział tylko, że w normalnych okolicznościach odczuwałby go właśnie w tej chwili.

W końcu zdołał podźwignąć się ze swego żalnego stanu. Będzie musiał coś zrobić, tylko jeszcze nie wiedział co. Może powinien dotrzeć do letniego domku, choć nie miał pojęcia, co ma zrobić, kiedy już tam dotrze. Potrzebuje tylko jakiegoś celu. Musi przebrnąć jakoś przez tę noc.

Zebrawszy się w garść, wysliznął się z samochodu, kolanem i stopą przenikając bez trudu przez obramowanie drzwi. Poszedł jeszcze raz spojrzeć na swoje ciało, ale już go tam nie było.

Jak gdyby nie miał dość mocnych wrażeń tej nocy! Gapił się bez końca na wilgotne wgniecenie na trawie.

Jego ciała już tam nie było.

Rozdział dziesiąty

Richard pożegnał się tak szybko, jak pozwalało mu na to dobre wychowanie.

Powiedział dziękuję bardzo i cóż za wspaniałe wieczór i że niech Reg koniecznie da jemu, Richardowi, znać, jeśli kiedyś znajdzie się w Londynie, oraz czy mógłby jakoś pomóc w sprawie tego konia. Nie? No to w porządku, jeśli jest pan pewien, jeszcze raz ogromnie dziękuję.

Stał zamyślony jeszcze chwilę po zamknięciu drzwi.

W ciągu kilku sekund, kiedy światło z mieszkania Rega oświetliło klatkę schodową, zauważył, że na drewnianej podłodze podestu nie ma żadnych śladów konia. Wydało mu się dziwne, że koń porysował podłogę tylko w mieszkaniu Rega.

No cóż, właściwie wszystko to razem było strasznie dziwne i kropka - jeszcze jeden niezwykle fakt we wciąż narastającej stercie niezwykle faktów. I to miał być ten relaksujący wieczór z dala od pracy.

Wiedziony nagłym impulsem zastukał do drzwi mieszkania naprzeciwko. Tak długo nikt ich nie otwierał, że Richard dał już za wygraną i odwrócił się, by odejść, gdy nagle usłyszał skrzypnięcie.

Przeżył lekki szok, ujrawszy, że stoi twarzą w twarz z profesorem, który ma kil sportowego jachtu w miejsce nosa i który przygląda mu się ostro jak mały podejrzliwy ptak.

- Przepraszam bardzo... - odezwał się szybko Richard - ale czy nie widział pan lub nie słyszał, żeby po tych schodach wchodził dziś wieczorem jakiś koń?

Mężczyzna przestał obsesyjnie wykrzywiać własne palce. Ptasim gestem przechyliwszy głowę na bok, udał się na długą wędrówkę w głąb siebie na poszukiwanie własnego głosu, który, odnaleziony, okazał się bardzo cichutki i miękki. Powiedział:

- To pierwsze słowa, jakie do mnie powiedziano od siedemnastu lat, trzech miesięcy, dwu dni, pięciu minut i dwudziestu sekund. Liczyłem przez cały czas.

I delikatnie zamknął drzwi.

Richard dosłownie przebiegł przez drugi dziedziniec.

Kiedy dotarł do pierwszego, uspokoił się trochę i zwolnił kroku.

Chłodne nocne powietrze rzeziło mu w płucach, a na dodatek nie było sensu biec. Nie zdołał porozumieć się z Susan, bo telefon Rega nie działał, a była to następna sprawa, na temat której profesor stał się tajemniczy i nieskory do rozmów. To przynajmniej dało się racjonalnie wytłumaczyć. Najpewniej nie zapłacił rachunku.

Richard już miał wyjść na ulicę, kiedy nagle zdecydował, że zajrzy najpierw na portiernię, wciśniętą pod wielki łuk bramy wejściowej do kolegium. Była to mała chatynka pełna kluczy i pozostawionych wiadomości, z jednym grzejnikiem elektrycznym w środku. W tle gderało do siebie radio.

- Przepraszam - odezwał się do potężnego mężczyzny w czarnym garniturze, który stał z założonymi rękami za kontuarem. - Ja...

- Słucham, panie MacDuff, czym mogę panu służyć?

W obecnym stanie ducha Richard sam z trudem przypominałby sobie, jak się nazywa, z początku więc lekko się przestraszył. Jednakże uniwersyteccy portierzy przeszli już do legendy dzięki swej pamięci i dzięki upodobaniu do okazywania jej niezwykłych możliwości przy każdej nadarzającej się okazji.

- Czy na terenie kolegium - zaczął Richard - znajduje się jakiś koń? To znaczy, chciałem powiedzieć, że wiedziałby pan, gdyby na terenie kolegium znajdował się jakiś koń, prawda?

Portier nawet nie mrugnął.

- Nie, proszę pana. Tak, proszę pana. Czy jeszcze czymś mogę panu służyć, panie MacDuff?

- Nie... - odpowiedział Richard i zabębnił palcami o kontuar. - Nie. Dziękuję. Bardzo dziękuję za pomoc. Miło było znów pana widzieć, ee... Bob - zaryzykował. - No to do widzenia.

Wyszedł.

Portier zaś trwał z założonymi rękami, doskonale nieruchomy, i tylko leciutko, leciuteńko potrząsnął głową.

- Przyniosłem ci trochę kawy, Bill - odezwał się drugi portier, który z parującą filiżanką w ręku wychynął z maleńkiego zaplecza. - Zimniej dziś, co?

- Rzeczywiście, Fred, dzięki - odparł Bill, biorąc filiżankę. Pociągnął łyk. - Możesz sobie mówić o ludziach, co chcesz, ale nie można powiedzieć, żeby stawali się choć trochę mniej dziwni. Przed chwilą jeden gość pytał, czy nie mamy konia w kolegium.

- Taa? - Fred pociągnął długi łyk swojej kawy, aż para zaczęła szczypać go w oczy. - Miałem tu wcześniej jednego takiego. Coś jak zagraniczny ksiądz. Z początku słowa nie rozumiałem z tego, co mówił. Ale jemu chyba wystarczyło, że stoi przy grzejniku i słucha wiadomości z radia.

- Ech, ci cudzoziemcy.

- W końcu kazałem mu stąd strzelać. Kiedy tak stał przy tym grzejniku. A nagle on pyta, czy to właśnie powinien zrobić. A ja na to moim najlepszym Bogartem: „Lepiej daj temu wiarę, chłopie”.

- Coś ty? Dla mnie brzmiało bardziej jak Jimmy Cagney.

- Nie, to był mój Bogart. To jest mój Jimmy Cagney: „Lepiej daj temu wiarę, chłopie”.

Bill spojrział na niego z ukosa.

- To jest twój Jimmy Cagney? Zawsze myślałem, że to twój Kenneth McKellar.

- Nie słuchasz uważnie, Bill, nie masz za grosz słuchu. To jest mój Kenneth McKellar: „Ty pójdziesz górą, a ja doliną...”

- A, no tak. Ja myślałem o tym szkockim Kennecie McKellarze. No to co w końcu powiedział ten księżulo, Fred?

- Och, tylko spojrział mi prosto w oczy i powiedział tym swoim dziwnym...

- Daj spokój akcentom, Fred, i powiedz wreszcie, co mówił, jeśli w ogóle warto o tym słuchać.

- Powiedział tylko, że daje mi wiarę.

- No i? To niezbyt ciekawa historyjka, Fred.

- No cóż, możliwe. Wspominam o tym tylko dlatego, że tamten mówił, że zostawił konia w łazience, i prosił, żebym do niego zajrzał.

Rozdział jedenasty

Gordon Way unosił się żałośnie wzdłuż ciemnej szosy albo raczej próbował się unosić.

Był przekonany, że jako duch - bo do tej właśnie postaci zdołał się w końcu przed samym sobą przyznać - powinien umieć unosić się w powietrzu. Nie miał wielkiego pojęcia o duchach, ale czuł, że kiedy się już jest duchem, powinno się otrzymać jakąś rekompensatę za to, że nie trzeba już taszczyć ze sobą żadnego ciała; przede wszystkim powinno się otrzymać prostą umiejętność unoszenia się w powietrzu. Ale nie, wyglądało na to, że będzie musiał krok po kroku przebyć całą trasę na piechotę.

Za cel wyznaczył sobie dotarcie do domku. Nie miał pojęcia, co pocnie, kiedy już tam dotrze, ale nawet duchy muszą gdzieś przecież spędzić noc, a poza tym czuł, że przebywanie w znajomym

otoczeniu mogłoby mu pomóc. W czym - tego już nie wiedział. Ale przynajmniej wytyczył sobie jakiś cel, a kiedy dotrze na miejsce, będzie musiał po prostu wymyślić sobie nowy.

Przybity, dreptał od jednej latarni do drugiej, przystając przy każdej, żeby przyjrzeć się poszczególnym swoim częściom.

Zdecydowanie stawał się coraz bardziej widmowy.

Chwilami niemal zupełnie znikał i wyglądał wtedy jak igrający we mgle cień, jakiś sen o samym sobie, który może ulotnić się i przepaść na wieki. Innym znów razem wyglądał bardziej solidnie, niemal realnie. Raz czy drugi spróbował oprzeć się o słup lampy i przeleciałby pewnie na drugą stronę, gdyby nie miał się na baczności.

Aż w końcu, bardzo niechętnie, powrócił w myślach do tego, co się zdarzyło. Dziwna ta niechęć. Naprawdę nie chciał o tym myśleć. Psychologowie twierdzą, że ludzki umysł usiłuje zamazać wspomnienie o traumatycznych przeżyciach, i taka też, jak sądził, musiała być tej niechęci przyczyna. Koniec końców - co może być bardziej traumatycznym przeżyciem niż to, że ktoś został zastrzelony przez wyskakującą z jego własnego bagażnika nieznaną postać?

Znużony, dreptał dalej.

Oczyrna duszy usiłował ujrzeć na nowo tę postać, ale przypominało to trącanie językiem bolącego zęba, pomyślał więc o innych sprawach.

Na przykład, czy jego testament jest uaktualniony? Nie mógł sobie przypomnieć, więc zanotował sobie w pamięci, że musi zadzwonić jutro do swego adwokata, a potem ponownie zanotował sobie w pamięci, żeby przestał już notować sobie w pamięci takie rzeczy.

Czy firma zdoła bez niego przetrwać? Właściwie to nie podobała mu się żadna z dwu możliwych odpowiedzi.

A co z nekrologiem? Ta myśl zmroziła go do samych kości, gdziekolwiek się teraz podziewały. Czy będzie mógł zdobyć dla siebie jeden egzemplarz? Co w nim napiszą? Lepiej, żeby to było coś dobrego, dranie. Spójrzcie, czego dokonał. W pojedynkę ocalił brytyjski przemysł software'owy: eksport na wielką skalę, dotacje dobroczynne, fundowane stypendia, próba przepłynięcia Atlantyku łodzią podwodną na baterie słoneczne (nieudana, ale nie to się liczy) - najróżniejsze sprawy. I lepiej niech się nie babrzą znowu w tej historii z Pentagonem, bo naśle na nich swego adwokata. Zanotował sobie w pamięci, żeby zadzwonić do niego ra...

Nie.

A zresztą, czy nieżyjąca osoba może oskarżać kogoś o zniesławienie? Tylko jego adwokat mógłby to wiedzieć, ale Gordon raczej nie będzie w stanie rano do niego zadzwonić. Z dreszczem przerażenia zdał sobie sprawę, że ze wszystkich rzeczy, jakie pozostawił za sobą w świecie żywych, najbardziej brak mu będzie telefonu, po czym na powrót zwrócił myśli tam, dokąd nie miały ochoty się udawać.

Tamta postać.

Wydawało mu się, że postać ta wyglądała jak sama śmierć, ale może to tylko sztuczki jego

wyobraźni? Czy tylko sobie wyobraził, że była zakapturzona? I co właściwie mogłaby taka postać, zakapturzona czy nie, robić w bagażniku jego samochodu?

W tej właśnie chwili przemknął obok pędem jakiś samochód, a następnie zniknął w mroku nocy, zabierając ze sobą swą oazę światła. Pomyślał z tęsknotą o własnym, nagrzanym, obitym skórą, klimatyzowanym i superkomfortowym, porzuconym gdzieś na drodze aucie, a wtedy przyszedł mu do głowy nadzwyczajny pomysł.

Czy nie mógłby zatrzymać kogoś i poprosić o podwiezienie? Czy ktoś go w ogóle zobaczy? Jeśli tak, to jak zareaguje? No cóż, jest tylko jeden sposób, aby się o tym przekonać.

Usłyszał nadjeżdżający z tyłu kolejny samochód i szybko odwrócił się do niego twarzą. Z mgły wychynęły dwa bliźniacze kręgi światła, więc Gordon, zgrzytnąwszy widmowymi zębami, pomachał ku nim ręką.

Samochód minął go jak gdyby nigdy nic.

I nic.

Ze złością zrobił palcami nieprzyzwoity gest w kierunku znikających w dali czerwonych tylnych świateł, przy czym zdał sobie sprawę, spoglądając przez własne wzniesione ramię, że w tej chwili nie jest akurat szczególnie dobrze widoczny. Czy jest może jakiś sposób na to, żeby przy odrobinie wysiłku woli stał się trochę bardziej konkretny, jeśli tego zapragnie? Koncentrując się, zacisnął z wysiłku powieki, a potem uświadomił sobie, że musi mieć oczy otwarte, żeby ocenić efekt. Spróbował jeszcze raz, z całej mocy natężając umysł, lecz wynik daleki był od zadowalającego.

Choć zauważył pewną elementarną, pobłyskującą różnicę, nie był w stanie utrzymać jej dłużej - zbladła niemal natychmiast, nie zważając na jego psychiczny wysiłek. Będzie musiał precyzyjnie wyliczyć czas, jeśli ma dać komuś dojrzeć, a przynajmniej odczuć, swoją obecność.

Z tyłu zbliżał się kolejny samochód; jechał z dużą szybkością. Gordon odwrócił się, wyciągnął rękę, poczekał na odpowiednią chwilę i z całej siły zażyczył sobie być widocznym.

Samochód zatoczył się lekko, ale pognał dalej swoją drogą, tylko trochę wolniej. No, to już coś. Co by tu jeszcze zrobić? Pójdzie stanąć pod uliczną lampą i będzie próbował dalej. Z następnym samochodem na pewno mu się uda.

Rozdział dwunasty

-...więc jeśli zyczysz sobie zostawić wiadomość, przy najbliższej sposobności oddzwonię. Albo i nie.

Pibiip.

- A niech to cholera. A niech to wszyscy diabli. Czekaj chwilę. A żeby to... Słuchaj...

Klik.

Richard odłożył słuchawkę, wrzucił gwałtownie wsteczny bieg i przejechał na nim jakieś dwadzieścia jardów, żeby jeszcze raz zerknąć na drogowskaz przy skrzyżowaniu, które właśnie

minął, pędząc we mgle. Z sieci jednokierunkowych dróg Cambridge zdołał w końcu wyrwać się powszechnie przyjętą metodą, a mianowicie tak długo krążył po mieście z narastającą szybkością, aż osiągnął w końcu coś w rodzaju prędkości początkowej i wyfrunął po stycznej w pierwszym lepszym kierunku, który usiłował teraz zidentyfikować i skorygować.

Wróciwszy do skrzyżowania, spróbował porównać informacje zapisane na drogowskazie z informacją zawartą na mapie. Okazało się to niemożliwe. Skrzyżowanie owo z całym rozmysłem ulokowało się na granicy dwóch stron, drogowskaz zaś obracał się złośliwie na wietrze. Instynkt podpowiadał, że gna w złym kierunku, lecz za nic nie chciał wracać tą samą trasą z obawy, że wessie go z powrotem wir grawitacyjny uliczek Cambridge.

Skręcił więc w lewo w nadziei, że w tym kierunku lepiej mu się powiedzie, lecz po chwili stracił kontenans i skręcił, na domysł, w prawo, a potem jeszcze raz spróbował wybadać lewo i po kilku podobnych manewrach pogubił się z kretesem.

Zaklął pod nosem i włączył ogrzewanie. Gdyby skupił się na tym, dokąd jedzie, zamiast próbować jednocześnie nawigować i telefonować, wiedziałby przynajmniej, gdzie się znajduje. Właściwie nie lubił telefonu w aucie, ale Gordon bardzo nalegał, żeby sobie zainstalował, i w istocie za to zapłacił.

Westchnął poirytowany, cofnął trochę swego czarnego saaba i jeszcze raz zawrócił. W trakcie zawracania omal nie wpadł na kogoś, kto taszczył w pole jakieś ciało. Tak to przynajmniej wyglądało w oczach przemęczonego nadmiarem wrażeń Richarda. W rzeczywistości był to pewnie jakiś rolnik z workiem czegoś odżywczego, choć co też mógł z nim robić w noc taką jak ta, próżno by zgadywać. Kiedy reflektory zatoczyły krąg, uchwyciły na chwilę zarys sylwetki człowieka brnącego przez pole z workiem na plecach.

Nie chciałbym być na jego miejscu, pomyślał ponuro Richard i odjechał.

Po kilku minutach dotarł do skrzyżowania z czymś, co wyglądało jak główna droga, omal nie skręcił w prawo, lecz zamiast tego skręcił w lewo. Nie było tam żadnego drogowskazu.

Jeszcze raz zaczął przyciskać guziczki telefonu.

-...przy najbliższej sposobności oddzwonię. Albo i nie. Pibiip.

· Susan, tu Richard. Od czego tu zacząć? Ale bajzel. Słuchaj, jest mi przykro, strasznie przykro, okropnie przykro. Spieprzyłem wszystko paskudnie, to wyłącznie moja wina. Posłuchaj, zrobię, co tylko zechcesz, żeby ci to wynagrodzić, przyrzekam...

Miał niejasne poczucie, że nie jest to właściwy ton, jaki należałoby przybrać wobec automatycznej sekretarki, ale nie przerywał.

- Słowo honoru, możemy gdzieś wyjechać, wziąć tydzień urlopu, albo może w najbliższy weekend, jeśli wolisz. Naprawdę, w następny weekend. Pojedziemy w jakieś słoneczne miejsce. Nieważne, jaką presję próbuje wyrzucić na mnie Gordon, sama wiesz, na co stać go w tym względzie, w końcu jest twoim bratem. Będę tylko... hm, to chyba jednak będzie musiał być następny weekend. Szlag by to trafił. Chodzi o to, że naprawdę obiecałem - nie, słuchaj, to nie ma znaczenia. Zrobimy, jak mówię. Nie obchodzi mnie, czy skończę „Hymn” dla Comdeksu. To nie koniec świata. Po prostu wyjedziemy. Gordon będzie musiał wziąć rozpęd i skoczyć... Aaaaaaaach!

Richard zjechał gwałtownie na bok, żeby wyminąć ducha Gordona Waya, który wyłonił się nagle z mroku, wziął rozpęd i skoczył wprost na niego.

Richard wcisnął rozpaczliwie hamulce, wpadł w poślizg, próbował sobie przypomnieć, co należy zrobić, kiedy się wpadnie w poślizg, wiedział, że kiedyś widział to w jakimś programie dla kierowców... Co to był za program? Boże święty, nie może przypomnieć sobie nawet tytułu tamtego programu, co tu mówić... - ach, tak - mówili, żeby nie wciskać gwałtownie hamulców. Tak, to było to. Przyprawiając go o mdłości, świat dookoła rozhuśtał się z powolną i obrzydliwą siłą, kiedy samochód kręcił się na szosie, obracał się wokół własnej osi, grzmotnął o trawiaste pobocze, aż ślizgając się wężowym ruchem, zdołał w końcu wyhamować, choć tyłem do przodu. Richard, dysząc ciężko, opadł na kierownicę. Podniósł słuchawkę.

- Susan - wysapał - jeszcze zadzwonię - i odwiesił słuchawkę.

Podniósł wzrok.

Przed nim, w pełnym świetle reflektorów stała widmowa sylwetka Gordona Waya, która wpatrywała się w niego z upiornym przerażeniem w oczach, potem wolno uniosła rękę i wskazała na niego.

Nie miał pojęcia, ile czasu tak przesiedział. Widmo rozwiało się po kilku sekundach, ale Richard siedział dalej, roztrzęsiony, być może nie dłużej niż minutę, aż wreszcie ocknął się na nagły zgrzyt hamulców i blask reflektorów.

Potrząsnął głową. Zdał sobie sprawę, że stoi na drodze tyłem do przodu. Samochód, który zatrzymał się z gwałtownym wizgiem opon tuż przy jego zderzaku, okazał się policyjnym radiowozem. Richard wziął głęboki oddech, po czym, zeszywniały i roztrzęsiony, wykaraskał się z samochodu, żeby stawić czoło funkcjonariuszowi, który zbliżał się z wolna, rysując się ciemną sylwetką w płynącym z reflektorów świetle.

Funkcjonariusz zmierzył go wzrokiem.

- Bardzo mi przykro, panie władzo - odezwał się Richard z taką dozą spokoju, jaką tylko udało mu się wtłoczyć w swój głos. - Ja, tego... wpadłem w poślizg. Drogi są śliskie, więc ja, tego... wpadłem w poślizg. Jak pan widzi, stanąłem tyłem do przodu. - Gestem ukazał samochód oraz to, że stoi tyłem do przodu.

- Zechce mi pan w takim razie powiedzieć, dlaczego właściwie wpadł pan w poślizg? - Patrząc mu prosto w oczy, funkcjonariusz sięgnął po swój notatnik.

- No cóż, jak już mówiłem - wyjaśnił Richard - drogi są śliskie od mgły i, hm, żeby powiedzieć całą prawdę - nagle spostrzegł, że mówi coś, od czego z całej siły się powstrzymywał - jechałem sobie spokojnie, aż nagle widzę mojego pracodawcę, jak rzuca się wprost pod mój samochód.

Funkcjonariusz przyglądał mu się beznamiętnie.

- Zwyczajne poczucie winy - dodał Richard z przelotnym uśmiechem. - Wie pan, jak to jest. Zastanawiałem się właśnie, czy nie wziąć wolnego weekendu.

Policjant zawahał się, balansował na ostrzu noża pomiędzy podejrzliwością a sympatią. Jego oczy

zweżyły się lekko, ale nie ustąpił.

- Czy pan coś pił?

- Tak - odparł Richard z lekkim westchnieniem. - Najwyżej dwa kieliszki wina. Ee... i małą szklaneczkę porto. Nic poza tym. To był tylko chwilowy zanik koncentracji. Teraz już wszystko w porządku.

- Nazwisko?

Richard podał mu swoje nazwisko i adres. Policjant zapisał je starannie i schludnie w notesie, potem przyjrzał się numerom rejestracyjnym wozu i także je zapisał.

- No to kto jest pańskim pracodawcą?

- Nazywa się Way. Gordon Way.

- O - powiedział policjant, unosząc brwi. - To ten pan od komputerów.

- A tak, zgadza się. Projektuję programy dla jego firmy. WayForward Technologies II.

- Mamy na posterunku jeden z waszych komputerów - oznajmił policjant. - Za żadną cholerę nie mogę go uruchomić.

- Ach tak - rzekł Richard, znużony. - A który to model?

- Nazywa się chyba Kwark II.

- O, to bardzo proste - odparł z ulgą Richard. - On w ogóle nie działa. Nigdy. To jedna wielka kupa łajna.

- Wie pan, to zabawne, ale sam to zawsze mówiłem - powiedział policjant. - Chociaż niektórzy chłopcy są innego zdania.

- Miał pan absolutną rację, panie władzo. Jest beznadziejny. To właśnie przez niego zbankrutowała pierwsza firma szefa. Proponuję zrobić z niego duży przycisk do papierów.

- Hm, tego wolałbym raczej nie robić, proszę pana - sprzeciwił się policjant. - Drzwi będą się stale otwierać.

- Co pan przez to rozumie?

- Używamy go do podpierania drzwi. O tej porze roku na posterunku mamy okropne przeciągi. W lecie, rozumie się, bijemy nim po głowie podejrzanych.

Policjant zamknął swój notes i wepchnął do kieszeni.

- Radzę panu, żeby pan powolutku i spokojnie pojechał do domu, zamknął samochód w garażu i spędził miły weekend, zalewając się w pestkę. Myślę, że to jedyne wyjście. I niech pan uważa, jak pan jedzie.

Wrócił do radiowozu, opuścił szybę w oknie i obserwował, jak Richard manewruje samochodem i

odjeżdża w noc, zanim sam ruszył z kopyta.

Richard wziął głęboki oddech, dojechał spokojnie do Londynu, wkroczył spokojnie do własnego mieszkania, przebrnął, gramoląc się spokojnie, przez kanapę, usiadł, sztywno nalał sobie szklaneczkę brandy, a następnie poważnie się rozdygotał.

Trząśł się z trzech powodów.

Po pierwsze, z powodu zwykłego fizycznego szoku po swoim prawie-wypadku, bo takie rzeczy zwykle przemiela człowieka bardziej, niż mógłby się spodziewać. Całe ciało zalewa potop adrenaliny, która potem godzinami krąży po organizmie i kwaśnieje.

Po drugie, przyczyna tego poślizgu - owo zdumiewające widmo Gordona, które rzuciło się na maskę jego samochodu. O rany, o rany boskie. Richard pociągnął spory łyk brandy i przepłukał sobie usta. Odstawił szklanekę.

Powszechnie wiadomo było, że Gordon stanowi najbogatsze w świecie źródło poczucia winy, że może codziennie rano dostarczać je tonami pod drzwi, lecz Richard nie zdawał sobie sprawy, że tamten osiągnął już tak diabelski stopień doskonałości.

Znowu wziął w dłonie szklanekę, poszedł na górę i otworzył drzwi swojej pracowni, co wymagało odsunięcia sterty magazynów „BYTE”, które oparły się o nie od wewnątrz. Odepchnął je nogą i udał się pod przeciwległą ścianę wielkiego pomieszczenia. Wielka ilość szkła, jaką tam zainstalowano, oferowała widok na sporą część północnego Londynu, znad której podnosiła się teraz mgła. Daleko w mroku połyskiwała kopuła katedry Świętego Pawła, której przyglądał się przez chwilę, lecz nie wykrył w jej zachowaniu nic szczególnego. Po wszystkich wydarzeniach tego wieczoru odebrał to jako dość sympatyczną niespodziankę.

Po drugiej stronie pokoju stało kilka długich stołów, na których tłoczyło się, według ostatnich obliczeń, sześć komputerów Macintosh. Na środku stał Mac II, na którym wirował od niechcenia czerwony siatkowy model jego kanapy w środku niebieskiego siatkowego modelu jego wąskiej klatki schodowej razem z poręczą, grzejnikiem, bezpiecznikami oraz naturalnie z tym niewygodnym zakrętem w połowie schodów.

Kanapa zaczynała się kręcić w jednym kierunku, napotykała przeszkodę, przechodziła w inną płaszczyznę, napotykała następną przeszkodę, obracała się wokół jeszcze innej osi, dopóki znów jej coś nie zatrzymało, po czym powtarzała ten cykl w innej kolejności. Nie trzeba było nawet długo się przyglądać, żeby sobie uzmysłowić, że ta sekwencja powtarza się wciąż od nowa.

Było jasne, że mebel utknął na amen.

Trzy inne komputery były połączone długą plątaniną kabli z niezbyt porządnym konglomeratem syntezatorów - emulator II+ sampler HD, półka pełna modułów TX, Prophet VS, Roland JX10, Korg DW8000, Octapad, leworęczny kontroler gitarowy Synth-Axe MIDI, a nawet stara elektroniczna perkusja, wepchnięta w kąt, pokryta zwałami kurzu - tak przedstawiał się zasadniczy zrab. Stał tam także niewielki i rzadko używany magnetofon kasetowy; muzyka zasadniczo przechowywana była w plikach sekwencyjnych komputera, a nie na taśmach.

Wcisnął się w fotel przed jednym z monitorów, żeby zobaczyć, czym, jeśli w ogóle, się teraz zajmuje.

Monitor pokazywał rozwinięty, czysty jeszcze arkusz Excela, a Richard nie miał pojęcia dlaczego.

Zachował go i sprawdził, czy nie zostawił dla siebie jakichś notatek; szybko odkrył, że arkusz zawiera dane, które wyszukał i skopiował z dostępnych w sieci baz danych „World Reporter” i „Knowledge”, a które zawierały zestaw podstawowych wiadomości na temat jaskółek.

Znalazł się w posiadaniu liczb, które określały ich zwyczaje migracyjne, kształty skrzydeł, ich profil aerodynamiczny i cechy wytwarzanego oporu powietrza oraz rodzaj podstawowego zestawu cyfr dotyczącego układów, jakie stado przyjmuje w locie, ale jak dotąd miał jedynie bardzo nikłe pojęcie o tym, w jaki sposób ma je z sobą zsintetyzować.

Ponieważ dzisiejszego wieczoru był zbyt zmęczony, by myśleć w jakiś szczególnie konstruktywny sposób, w sposób dziki i zupełnie przypadkowy skopiował z arkusza całą połączoną bazę danych, wepchnął je do stworzonego przez siebie programu konwersyjnego, który zeskalował, przefiltrował i przetasował dane według swoich własnych, eksperymentalnych algorytmów, załadował skonwersowany plik do Performera, potężnego programu tworzącego częstotliwości, i puścił to wszystko przez dowolny kanał MIDI na tym syntetyzatorze, który akurat był włączony.

W rezultacie otrzymał krótki wybuch najobrzydliwszej kakofonii, którą natychmiast wyłączył.

Jeszcze raz włączył program konwersyjny, tym razem nakazując mu utrzymać tylko dźwięki w tonacji g-moll. Była to aplikacja, której właściwie miał się pozbyć, ponieważ uznawał to za oszustwo. Jeśli ma jakieś podstawy przypuszczać, że rytmy i harmonie muzyczne, które uznałby za najbardziej satysfakcjonujące, można odnaleźć, a przynajmniej wywieść z rytmów i harmonii występujących wśród naturalnych zjawisk przyrodniczych, to satysfakcjonujące formy modalności i intonacji powinny wynikać z nich samoistnie, a nie na siłę.

Tym razem jednak spróbował na siłę.

W rezultacie otrzymał krótki wybuch najobrzydliwszej kakofonii w tonacji g-moll.

To tyle, jeśli chodzi o przypadkowe skróty myślowe.

Pierwsze zadanie było relatywnie proste, bo polegało na skonstruowaniu fali opisanej przez skrzydło jaskółki w trakcie lotu, a potem na syntetyzacji tej fali. W ten sposób dojdzie w końcu do pojedynczego tonu, co stanowi dobry początek i nie powinno zająć więcej niż jeden weekend.

Pominąwszy, rzecz jasna, fakt, że nie miał na to wolnego weekendu, ponieważ musiał jakimś cudem dopracować „Hymn” w wersji 2.0 gdzieś w połowie przyszłego roku, czy też „miesiąca”, jak to nazywał Gordon.

Co nieuchronnie doprowadziło Richarda do trzeciej sprawy, z powodu której się trząsł.

Było absolutnie niemożliwe, aby mógł dostać wolny weekend, ten czy nawet następny, żeby spełnić obietnicę daną automatycznej sekretarce Susan. A to, jeśli nie zdołał tego jeszcze dokonać kataklizm dzisiejszego wieczoru, będzie oznaczało absolutny koniec.

I tyle. Dokonało się. Nie można nic zrobić z wiadomością, którą nagrało się na cudzej automatycznej sekretarce - można tylko pozwolić sprawom płynąć właściwym im kursem. Dokonało się.

Nieodwracalnie.

Niespodziewanie wpadła mu do głowy dziwna myśl.

Wzięła go przez zupełne zaskoczenie, ale właściwie nie widział w niej nic złego.

Rozdział trzynasty

Pewna lornetka przepatruje właśnie profil Londynu na tle nocnego nieba - od niechcienia, choć z zaciekawieniem, podgląda cudze sprawy. Troszkę tu, troszkę tam, żeby sprawdzić, czy nie dzieje się coś ciekawego, coś, na czym można by skorzystać.

Lornetka zatrzymała się na tyłach pewnego szczególnego domu, przyciągnięta jakimś leciutkim poruszeniem. To była jedna z tych wiktoriańskich willi, teraz zapewne przerobiona na mieszkania. Mnóstwo czarnych, żelaznych rynien. Zielone plastikowe kontenery na śmieci. Ale poza tym ciemno. Nie, nic.

Lornetka już ma ruszyć dalej, kiedy nagle łapie w blasku księżycy jeszcze jedno nieznaczne drgnienie. Lornetka ostrożnie nastawia ostrość, próbuje znaleźć jakiś szczegół, jakąś wyraźną krawędź, jakiś leciuteńki kontrast między odcieniami mroku. Mgła podniosła się już i ciemność stała się połyskliwa. Lornetka jeszcze trochę podkręca ostrość.

O, jest. Z całą pewnością coś się tam dzieje. Tylko że tym razem nieco wyżej. Lornetka ustawia się w tym miejscu, rozluźnia się - tkwi w miejscu pewnie, szuka krawędzi, szuka szczegółu. O, tam. Lornetka znów usadawia się wygodnie - znalazła już swój ślad, rozkraczony między parapetem a rynną.

To jakaś ciemna postać, rozciągnięta płasko na murze, zerkająca w dół, szukająca oparcia dla stopy; zerkająca w górę w poszukiwaniu kolejnego uchwytu dla rąk, w poszukiwaniu jakiegoś występu w ścianie. Lornetka przypatruje się bardzo uważnie.

Ta postać to wysoki, szczupły mężczyzna. Ma na sobie idealne do takiej roboty ciemne spodnie i sweter, ale porusza się kanciasto i niezgrabnie. Nerwowo.

Interesujące. Lornetka czeka i rozważa, rozważa i ocenia.

Ten facet to kompletny amator.

Patrzcie, jak się grzebie. Patrzcie, jaki niezgraba. Stopy wciąż ześlizgują się po rynnie, dłonie nie mogą dosięgnąć występu. Już prawie spada. Czeka, żeby odzyskać oddech. Przez chwilę próbuje schodzić z powrotem, ale odkrywa, że to jeszcze gorsze.

Jeszcze raz rzuca się w stronę występu i tym razem udaje mu się go dosięgnąć. Odruchowo wysuwa stopę, żeby się podeprzeć, i o mały włos, a nie trafiłby nią z powrotem na rynnę. Mogło się paskudnie skończyć, naprawdę bardzo paskudnie.

Ale teraz droga staje się łatwiejsza, więc idzie mu znacznie lepiej. Przechodzi do następnej rynny, dociera do występu okiennego na trzecim piętrze, flirtuje przelotnie ze śmiercią, próbując mozolnie nań wpełznąć, ale kiedy już mu się to udaje, popełnia kardynalny błąd: patrzy w dół. Chwieje się przez moment, po czym opada ciężko na parapet. Osłania oczy dłonią i próbuje zajrzeć do środka,

żeby sprawdzić, czy w pokoju jest ciemno, a w końcu zabiera się do otwierania okna.

Jedno, co zwykle odróżnia amatora od profesjonalisty, to moment, w którym ten pierwszy zaczyna myśleć, że przydałoby się wziąć ze sobą coś do podważenia okna. Szczęściem dla tego amatora właściciel mieszkania także jest amatorem, więc okiennica niechętnie, ale wędruje do góry. Miłośnik wspinaczek z niejaką ulgą pakuje się do środka.

Powinno się go zamknąć, dla jego własnego bezpieczeństwa, myśli lornetka. Czyjaś dłoń rusza w kierunku telefonu. Twarz tamtego jeszcze raz pojawia się przy oknie, oświetlona na moment blaskiem księżycy, po czym znika w środku, żeby zająć się własnymi sprawami.

Dłoń przez chwilę krąży niepewnie wokół telefonu, podczas gdy lornetka czeka i rozważa, rozważa i ocenia. Dłoń wyrusza w końcu po szczegółowy plan Londynu.

Po czym następuje długa, pracowita pauza, jeszcze odrobina pilnej obserwacji, aż na koniec dłoń ponownie sięga do telefonu, podnosi słuchawkę i wykręca numer.

Rozdział czternasty

Mieszkanie Susan było niewielkie, lecz sprawiało wrażenie przestronnego, której to sztuczki - jak zauważył w napięciu Richard, kiedy już włączył światło - potrafią dokonać tylko i wyłącznie kobiety.

Rzecz jasna, to nie ów wniosek spowodował u niego napięcie - myślał o tym już wcześniej, wiele razy. Dokładnie rzecz ujmując, za każdym razem, kiedy znalazł się w jej mieszkaniu. Zdumiewało go to nieodmiennie - zwykle dlatego, że przychodził tu z własnego mieszkania, które było cztery razy większe i okropnie zagracone. Tym razem też przyszedł tu prosto z własnego mieszkania, tyle że niecodzienną trasą i to właśnie stanowiło powód napięcia.

Pomimo nocnego chłodu był cały spocony.

Jeszcze raz spojrzął przez okno, odwrócił się i na palcach przeszedł przez pokój w kierunku stoliczka, na którym stał telefon i automatyczna sekretarka.

Nie ma sensu chodzić na palcach, powiedział sobie. Susan tu nie ma. Bardzo chciałby wiedzieć, gdzie się właściwie podziewa (podobnie jak ona, upomniał się natychmiast, miała pewnie ochotę wiedzieć, gdzie on się podziewał na początku tego wieczoru).

Zdał sobie sprawę, że nadal chodzi na palcach. Uderzył się po nodze, żeby zmusić się do zaprzestania tej śmiesznej czynności, lecz mimo wszystko ciągnął ją dalej.

Wspinaczka po zewnętrznej ścianie domu to było coś potwornego.

Otarł czoło rękawem swego najstarszego i najbrudniejszego swetra. Był taki jeden paskudny moment, kiedy przed oczyma przeleciało mu całe życie, ale był zbyt zajęty spadaniem i przeoczył wszystkie najlepsze kawałki. Zdał sobie sprawę, że większość z tych najlepszych kawałków wiązała się z Susan. Z Susan albo z komputerami. Nigdy z Susan i z komputerami - to były na ogół najgorsze fragmenty. I to właśnie jest powód, dla którego się tu znalazł, rzekł do siebie. Nie zabrzmiało to odpowiednio przekonująco, powtórzył więc sobie jeszcze raz.

Spojrzął na zegarek. Jedenasta czterdzieści pięć.

Przyszło mu na myśl, że powinien najpierw umyć mokre i brudne dłonie, zanim zacznie tu czegokolwiek dotykać. Nie obawiał się policji, tylko tej przerażającej sprzątaczkii Susan. Ona wiedziałaby na pewno.

Poszedł do łazienki, włączył światło, wytarł przełącznik, a potem, kiedy puścił wodę i zanurzył w niej ręce, zapatrzył się we własną przerażoną twarz, widoczną w otoczonym świetlówką lustrze. Przez chwilę myślał o roztańczonym, ciepłym blasku świec na kolacji ku czci Coleridge'a i tamte obrazy wypłynęły gdzieś z zamierzchłej przeszłości wczesnego wieczoru. Życie wtedy wydawało się nieskomplikowane i beztroskie. Wino, gwar rozmów, proste sztuczki magiczne. Zobaczył w myślach okrągłą, bladą twarz Sary, wytrzeszczone ze zdumienia oczka. Umył twarz.

Pomyślał:

Jakże ten człowiek patrzy - tłum by wołał. - Blask w oku, włos na wietrze!

Przyczesał włosy. Pomyślał też o obrazach wiszących wysoko nad głowami, wśród mroku. Umył zęby. Ciche buczenie świetlówki przywróciło mu poczucie rzeczywistości i nagle przypomniał sobie z niesmakiem, że przebywa tutaj w charakterze włamywacza.

Coś nakazało mu spojrzeć sobie prosto w widzianą w lustrze twarz, potem potrząsnął głową, próbując rozjaśnić myśli.

Kiedy wróci Susan? To, rzecz jasna, zależy od tego, czym się obecnie zajmuje. Szybko wytarł ręce i wrócił do automatycznej sekretarki. Przycisnął kilka guziczków, a w odpowiedzi jego samego przycisnęło sumienie. Taśma przewijała się, jak się zdawało, w nieskończoność, zorientował się więc z nagłym dreszczem, że prawdopodobnie przed nim przelewał tu swoje myśli Gordon.

No tak, zapomniał, że na taśmie będą też inne wiadomości i że słuchanie cudzych przekazów telefonicznych jest równoznaczne z otwieraniem cudzej korespondencji.

Wyjaśnił sobie zatem, że próbuje tylko naprawić błąd, jaki popełnił, zanim powstaną dalsze szkody. Będzie puszczał tylko maleńkie urywki, dopóki nie natrafi na własny głos. Nie będzie w tym nic złego, przecież nie rozpozna nawet, o czym była mowa.

Jęknął w duchu, zazgrzytał zębami i dźgnął „play” tak gwałtownie, że nie trafił, i zamiast włączyć, wyrzucił kasetę na zewnątrz. Włożył ją z powrotem i przycisnął guzik znacznie ostrożniej.

Pibiip.

- Susan, cześć, tu Gordon - powiedziała automatyczna sekretarka. - Jadę właśnie do letniego domku. Jest, hm... - Richard przez kilka sekund przewijał taśmę. -...chcę tylko mieć pewność, że Richard nad tym siedzi.

Richard ponuro zacisnął usta i jeszcze raz dziabnął guzik przewijania. Nie znosił, kiedy Gordon próbował wywierać na niego presję za pośrednictwem Susan, czego zresztą zawsze twardo się wypierał. W takich okolicznościach Richard naprawdę nie mógł mieć Susan za złe, że czasem irytuje ją jego praca.

Klik.

...palnej”. Zrób, proszę, notatkę dla Susan, żeby załatwiła mi tablicę „Uwaga! Korzystamy z broni palnej!” na zaostrzonym palu o takiej wysokości, żeby króliki mogły dojrzeć napis.

- Co takiego?! - mruknął do siebie Richard, a jego palec zawahał się nad przyciskiem przewijania. Miał poczucie, że Gordon rozpaczliwie pragnie być taki jak Howard Hughes, a ponieważ nawet w najśmielszych snach nie mógł marzyć, że będzie tak samo bogaty, mógł przynajmniej spróbować być dwa razy bardziej ekscentryczny. To gra. Widoczna gołym okiem gra.

- To znaczy, Susan z biura, a nie ty - ciągnął głos Gordona z sekretarki. -...O czym to ja?... Ach tak. O Richardzie i „Hymnie” 2.0. Susan, to musi przejść wszystkie testy najdalej za dwa... - Richard zacisnął usta i znów dźgnął palcem przycisk przewijania.

-...ecz w tym, że istnieje tylko jedna osoba, która jest w stanie się dowiedzieć, czy on rzeczywiście wykonuje jakąś istotną robotę, czy tylko sobie marzy, a tą osobą jest... - Jeszcze raz dziabnął wściekle przycisk. Przyrzekł sobie, że niczego nie będzie słuchał, a teraz co, wścieka się o to, co odsłuchał. Naprawdę powinien przestać. No dobra, ostatnia próba.

Kiedy włączył, usłyszał dźwięki muzyki. Dziwne. Przewinął jeszcze kawałek taśmy i znów usłyszał muzykę. Po co ktoś miałby dzwonić i nagrywać muzykę na automatyczną sekretarkę? - zastanawiał się w duchu.

Zadzwonił telefon.

Richard zatrzymał taśmę i podniósł słuchawkę, po czym omal nie upuścił jej jak elektrycznego węgorza, kiedy zdał sobie sprawę, co robi. Nie śmiał odetchnąć głębiej, trzymał słuchawkę przy uchu.

- Pierwsza zasada włamywacza - odezwał się czyjś głos - w trakcie roboty nigdy nie odbierać telefonów. Za kogo chcesz się podawać, na litość boską?

Richard zamarł. Upłynęła długa chwila, zanim zdołał się zorientować, gdzie się podział jego głos.

- Kto mówi? - zapytał w końcu szeptem.

- Zasada druga - mówił dalej głos - przygotowanie. Weź ze sobą narzędzia. Weź ze sobą rękawiczki. Spróbuj mieć choć odległy błysk bladego pojęcia, co właściwie zamierzasz, zanim zaczniesz dyndać z parapetów w środku nocy. Zasada trzecia: nigdy nie zapominaj o zasadzie drugiej.

- Kto mówi?! - wykrzyknął tym razem Richard.

Głos nie przejął się zbytnio.

- Obserwator z sąsiedztwa - oznajmił. - Wyrzyj przez okno od podwórza, a zobaczysz...

Wlokąc za sobą kabel telefonu, Richard pospiesznie ruszył do okna i wyrzał. Zaskoczył go odległy błysk flesza.

- Zasada czwarta: nigdy nie stawaj tam, gdzie mogą cię sfotografować. Zasada piąta... Słuchasz mnie, MacDuff?

- Co? Tak... - odparł doszczętnie skołowany. - Skąd pan mnie zna?

- Zasada piąta: nigdy nie przyznawaj się do swego nazwiska. Richard stał w milczeniu, oddychając ciężko.

- Prowadzę krótki kurs - powiedział głos - jeśli byłbyś zainteresowany...

Richard nie odpowiedział.

- Uczysz się - ciągnął głos - powoli, ale się uczysz. Gdybyś uczył się prędko, już dawno odłożyłbyś słuchawkę. Ale jesteś ciekaw - i mało kompetentny - więc nie odkładasz. Tak się składa, że nie prowadzę kursu dla początkujących włamywaczy, choć pomysł jest kuszący. Pewien jestem, że nie musiałbym się martwić o finansowanie działalności. Jeśli już muszą być, to niech przynajmniej będą fachowcami. Jednakże, gdybym rzeczywiście prowadził taki kurs, pozwoliłbym ci uczęszczać za darmo, bo ja także jestem ciekaw. Ciekaw jestem, dlaczego pan Richard MacDuff, który, jak mniemam, jest obecnie człowiekiem młodym, lecz zamożnym, szyszką w przemyśle komputerowym, jak mi się zdaje, nagle musi się przerzucić na włamanie.

- Kim...

- Tak więc przeprowadziłem niewielkie śledztwo, zadzwoniłem do informacji i odkryłem, że mieszkanie, do którego aktualnie się włamuje, należy do niejkiej panny S. Way. Wiem, że pracodawcą pana MacDuffa jest sławny pan G. Way, i zastanawiam się, czy tych dwoje nie jest przypadkiem krewnymi.

- Kim...

- Rozmawiasz ze Svladem, powszechnie znanym jako Dirk Cjelli, aktualnie występującym pod nazwiskiem Gently z przyczyn, których nie trzeba w tej chwili wspominać. Życzę miłego wieczoru. Jeśli chcesz dowiedzieć się czegoś więcej, będę za dziesięć minut w Pizza Express na Upper Street. Weź pieniądze.

- Dirk? - wykrzyknął Richard. - To ty... Chcesz mnie szantażować?

- Na pizzę, głupku.

Richard usłyszał szcęk odkładanej słuchawki.

Przez chwilę stał oniemiały, potem otarł czoło i delikatnie odwiesił słuchawkę, jakby to był ranny chomik. Jego mózg zaczął delikatnie buczeć, ssąc własny kciuk. Gdzieś pod korą mózgową setki małych synaps wzięły się za ręce i zaczęły tańczyć w kółeczko, śpiewając przedszkolne piosenki. Potrząsnął głową, próbując je powstrzymać, a potem szybko usiadł obok automatycznej sekretarki.

Toczył wewnętrzną walkę o to, czy jeszcze raz przycisnąć guzik „play”, a potem i tak to zrobił, zanim jeszcze zdążył się zdecydować. Minęły zaledwie cztery kojące sekundy lekkiej muzyki orkiestrowej, kiedy z przedpokojku doszedł go zgrzyt przekręcanego w zamku klucza.

Spanikowany, Richard trzasnął w guzik „eject”, kasetka wyskoczyła, a on wcisnął ją do kieszeni dzinsów i zastąpił inną, wziętą ze stosu leżących obok nie nagranych kaset. Przy jego własnej automatycznej sekretarce tkwiła taka sama sterta. Dostarczała ich Susan z biura - biedna, sponiewierana Susan z biura. Musi pamiętać, żeby pomyśleć o niej ze współczuciem jutro rano, jeśli

będzie miał czas i będzie należycie skupiony.

Nagle, nieomal nie łapiąc się na tym, co robi, zmienił zamiar. Błyskawicznie wyjął z sekretarki czystą kasetę, włożył z powrotem tę, którą ukradł, trzasnął w przycisk przewijania i rzucił się w stronę kanapy, na której w ciągu paru sekund dzielących go od otwarcia drzwi próbował ułożyć się w nonszalanckiej pozie zdobywcy. Wiedziony impulsem, schował lewą rękę za plecy, gdzie mogła przydać się później.

I właśnie próbował ułożyć rysy twarzy w wyraz złożony ze skruchy, niefrasobliwości i erotycznej ponęty, kiedy drzwi otworzyły się i do środka wszedł Michael Wenton-Weakes.

Świat znieruchomiał.

Za oknem ustał wiatr. Sowy zastygły w locie. No dobra, zastygły czy nie, w każdym razie centralne ogrzewanie na pewno wybrało sobie ten akurat moment, żeby przestać działać, gdyż chyba nie mogło sobie poradzić z powiewem nadprzyrodzonego chłodu, który nagle przeleciał po pokoju.

- Co ty tu robisz, Wednesday? - zapytał ostro Richard. Uniósł się z kanapy, jakby lewitował ze złości.

Michael Wenton-Weakes, potężny mężczyzna o smutnej twarzy, znany powszechnie jako Michael Wednesday-Week*, ponieważ w takim terminie zwykle obiecywał skończyć robotę. Miał na sobie garnitur, który był niewątpliwie doskonale wprost skrojony, kiedy jego ojciec, świętej pamięci lord Magna, kupował go sobie jakieś czterdzieści lat wcześniej.

Michael Wenton-Weakes plasował się bardzo wysoko na krótkiej, starannie wyselekcjonowanej liście ludzi, których Richard dogłębnie nie znosił.

Nie znosił, ponieważ myślał, że ktoś nie tylko należy do klasy uprzywilejowanej, ale na dodatek jeszcze uważa się nad sobą, bo sądzi, że świat nie rozumie problemów ludzi uprzywilejowanych, wydawała mu się obrzydliwa. Michael zaś nie lubił Richarda z tej prostej przyczyny, iż ten wcale nie krył się ze swoimi odczuciami.

Michael rzucił powolnym, ponurym spojrzeniem w kierunku przedpokoju, skąd nadchodziła właśnie Susan. Kiedy zobaczyła Richarda, zatrzymała się. Odłożyła torebkę, rozwiązała szal, rozpięła płaszcz, zsunęła go z ramion, wręczyła Michaelowi, podeszła do Richarda i trzasnęła go w twarz.

- Trzymałam to dla ciebie przez cały wieczór - rzuciła wściekle. - I nie próbuj nawet udawać, że chowasz za plecami bukiet kwiatów, którego zapomniałeś przynieść. Tę sztuczkę wykorzystałeś już poprzednim razem. - Odwróciła się i odmaszerowała.

- Tym razem zapomniałem bombonierki - odparł smętnie Richard i wyciągnął pustą rękę w kierunku jej oddalających się pleców. - Wspiąłem się bez niej po zewnętrznej ścianie. Ale mi było głupio, kiedy już wszedłem.

Wednesday-Week - ang. odpowiednik polskiego „za tydzień w środę”.

- To niezbyt zabawne - oznajmiła Susan. Zamaszyście przeniosła się do kuchni, skąd zaczęły dobiegać takie dźwięki, jakby usiłowała zemleć kawę gołymi rękoma. Jak na kogoś, kto zawsze

wyglądał tak schludnie, miło i delikatnie, przejawiała zadziwiający temperament.

- To prawda - odparł Richard, nie zwracając najmniejszej uwagi na Michaela. - Omal się nie zabiłem.

- Nie mam zamiaru na to odpowiadać - odpaliła Susan z kuchni. - Jeśli masz ochotę oberwać czymś wielkim i ostrym, to dlaczego nie przyjdiesz pożartować tutaj?

- Podejrzewam, że nie ma w tej chwili sensu opowiadać, jak bardzo jest mi przykro? - zawołał Richard.

- Daję głowę - odpaliła Susan, zamasyście powracając z kuchni. Popatrzyła na niego błyszczącymi z gniewu oczyma i tupnęła nogą. - Doprawdy, Richardzie - rzuciła. - Masz zamiar po prostu powiedzieć, że znowu zapomniałeś. I jeszcze masz czelność stać tu - dwie nogi, dwie ręce i głowa - jak jakaś ludzka istota? Takiego zachowania wstydziliby się nawet atak czerwonki pełzakowej. Założę się, że nawet najprymitywniejszy pełzak ameba jest w stanie wpaść po swoją dziewczynę, żeby od czasu do czasu zabrać ją na krótki kłus wokół ścianki żołądka. Mam przynajmniej nadzieję, że miałeś beznadziejny wieczór.

- Miałem - przyznał Richard. - Nie podobałoby ci się. Był koń w łazience, a sama wiesz, jak nie znosisz takich historii.

- Och, Michael - rzuciła Susan obcesowo - nie stój tak jak jakiś opadnięty suflet. Dziękuję ci bardzo za kolację i koncert, jesteś miłutki i naprawdę miło mi się słuchało przez cały wieczór o twoich problemach, bo to sympatyczna odmiana wobec własnych. Ale najlepiej chyba będzie, jeśli znajdę tę twoją książkę i wypchnę cię za drzwi. Będę się tu dość ostro miotać i ciskać, a wiem, że takie rzeczy mogą mocno nadszarpnąć twoją wrażliwość.

Odebrała od niego płaszcz i powiesiła na wieszaku. Michael, póki go trzymał, wydawał się całkowicie pochłonięty swym zadaniem i obojętny na wszystko inne. Nagle go pozbawiony, poczuł się nagi i trochę zagubiony, był więc zmuszony powrócić do realnego życia. Zwrócił swe wielkie, ciężkie oczy na Richarda.

- Richardzie - odezwał się - czytałem... ee... twój kawałek w... w „Sążniu”. O muzyce i ee...

- Krajobrazach fraktalnych - uciął Richard krótko. Nie miał ochoty na rozmowy z Michaeliem, a już z całą pewnością nie miał ochoty dać się wciągnąć w rozmówki o nieszczęsnym magazynie Michaela. Albo raczej o magazynie, który niegdyś należał do Michaela.

To był dokładnie ten aspekt rozmowy, w który Richard nie miał ochoty dać się wciągnąć.

- A, tak. Bardzo interesujący, oczywiście - mówił Michael swoim jedwabnym, okrągłym głosikiem. - Kształty gór i kształty drzew, i tego rodzaju sprawy. Recyklowane algi.

- Rekursywne algorytmy.

- No tak, jasne. Bardzo interesujące. Ale takie nieodpowiednie, tak okropnie nieodpowiednie. To znaczy, jak dla tego magazynu. To miał być w końcu przegląd artystyczny. Ja, oczywiście, nigdy nie pozwoliłbym na coś podobnego. Ross zrujnował to pismo. Do cna zrujnował. Będzie musiał odejść.

Z całą pewnością. Nie ma krzty artystycznej wrażliwości i jest złodziejem.

- Nie jest żadnym złodziejem, Wednesday, nie opowiadaj bzdur - warknął Richard, który natychmiast dał się wciągnąć wbrew wszystkim swoim postanowieniom. - Nie miał nic wspólnego z tym, że ty dostałeś kopa. To tylko twoje własne idiotyczne błędy, a ty sam...

Tu nastąpił gwałtowny wdech.

- Richardzie - powiedział Michael swoim najniższym i najcichszym z głosów; kłótnia z nim przypominała zmagania człowieka zaplątanego w jedwabny spadochron - sędzę, iż nie zdajesz sobie sprawy, jak ważne jest...

- Michael - odezwała się Susan delikatnie, acz stanowczo, stojąc przy otwartych na oścież drzwiach. Michael Wenton-Weakes skinął słabo głową i przez chwilę wyglądał, jakby uszło zeń powietrze.

- Twoja książka - dodała Susan, wyciągając do niego rękę z niedużym i nienowym tomikiem o architekturze sakralnej w hrabstwie Kent. Wziął książkę, wymamrotał niewyraźne podziękowanie, rozejrzał się dookoła, jakby nagle odkrył coś bardzo dziwnego, po czym pozbierał się, skinął na pożegnanie głową i wyszedł.

Richard nie bardzo zdawał sobie sprawę, jak bardzo jest spięty, dopóki wyjście Michaela nie wywołało w nim uczucia gwałtownej ulgi. Zawsze miał Susan za złe pobłażliwą słabość, jaką żywiła dla Michaela, mimo że zawsze starała się ją ukryć, traktując go wyjątkowo niegrzecznie. A może właśnie dlatego.

- Susan, cóż mogę powiedzieć? - zaczął nieco kulawo.

- Na początek mógłbyś powiedzieć chociaż: „Auć!” Nie dałeś mi nawet tej odrobiny satysfakcji, kiedy cię uderzyłam, a sądziłam, że robię to dość mocno. Mój Boże, ależ tu zimno! Dlaczego okno jest otwarte na oścież?

Podeszła do okna, żeby je zamknąć.

- Już ci mówiłem. Tamtędy wszedłem.

Zabrzmiało to na tyle przekonująco, że spojrzała się na niego, zaskoczona.

- Naprawdę - dorzucił. - Tak jak w reklamach czekoladek, tylko że ja zapomniałem swojej bombonierki... - Zakłopotany, wzruszył ramionami.

Susan zapatrzyła się weń osłupiała.

- Na litość boską, co cię opętało, żeby zrobić coś podobnego?

- odezwała się. Wystawiła głowę za okno i spojrzała w dół. - Mogłeś się zabić - dodała, odwracając się do niego.

- No cóż, hm, istotnie... - odpowiedział. - Wydawało mi się, że to jedyny sposób, żeby... sam nie wiem. - Zebrał się w sobie.

- Zabrałaś mi klucz, pamiętasz?

- Tak. Miałam dość tego, że wpadasz i wyjadasz mi wszystko z kredensu, za każdym razem, kiedy nie chciało ci się zrobić zakupów. Richard, czy ty naprawdę wspiąłeś się po murze?

- Chciałem tu być, kiedy będziesz wchodziła. Potrząsnęła głową w zadziwieniu.

- Byłoby o niebo lepiej, gdybyś tu był, kiedy wychodziłam. Czy to dlatego masz na sobie te brudne ciuchy?

- Tak. Chyba nie sądzisz, że poszedłbym tak na kolację w kolegium?

- No, nie wiem. Nie mam pojęcia, jakie postępowanie uznajesz teraz za racjonalne. - Westchnęła i zaczęła szukać czegoś w małej szufladce. - Proszę - powiedziała w końcu - jeśli to ma uratować ci życie - i wręczyła mu pęk kluczy na kółku. - Jestem zbyt zmęczona, żeby się dłużej złościć. Wieczór z jednoosobowym lobby Michaela zupełnie mnie wyczerpał.

- Nigdy nie zrozumiem, dlaczego go tolerujesz - odezwał się Richard, zmierzając do kuchni po kawę.

- Wiem, że go nie lubisz, ale on naprawdę jest miłutki i na swój smutny sposób potrafi nawet być czarujący. Przebywanie z kimś, kto jest całkowicie pochłonięty sobą, zwykle bywa bardzo odprężające, bo ktoś taki niczego od ciebie nie żąda. Ale on jest obsesyjnie przekonany, że mogę coś wskórać w sprawie jego gazety. Rzecz jasna, nic nie mogę. Chociaż naprawdę mi go żal.

- Mnie nie. Wszystko w życiu przychodziło mu bardzo, bardzo łatwo. I nadal przychodzi. Po prostu odebrano mu jedną z zabawek. Trudno byłoby uznać, że to niesprawiedliwe.

- Nie chodzi o to, czy to sprawiedliwe czy nie. Żal mi go, bo jest nieszczęśliwy.

- No jasne, że jest nieszczęśliwy. Al Ross zrobił z „Sąznia” naprawdę dobre, inteligentne pismo, które raptem każdy chce czytać. Przedtem to był stek nadętych bzdur. Miało na celu jedynie dawać Michaelowi pretekst do zapraszania na lunch i podlizywania się komu tylko chciał, pod płaszczykiem starania się o nowe teksty. Rzadko kiedy w ogóle wypuszczał nowy numer. To była jedna wielka blaga. Pieścił się sam ze sobą. Jakoś nie uważam tego za czarujące albo zajmujące. Och, przepraszam, że tak się o tym rozgadałem, wcale nie miałem zamiaru.

Susan niespokojnie wzruszyła ramionami.

- Myślę, że trochę przesadzasz - powiedziała - chociaż z drugiej strony będę chyba musiała go spławić, jeśli nadal będzie mnie zamęczał, żebym zrobiła coś, czego absolutnie nie mogę zrobić. To się staje zbyt wyczerpujące. W każdym razie... Słuchaj, naprawdę się cieszę, że miałeś paskudny wieczór. Chcę z tobą porozmawiać na temat tego, co będziemy robić w ten weekend.

- Och - odezwał się Richard - no cóż...

- Albo może najpierw przesłucham wiadomości.

Przeszła obok niego, kierując się ku automatycznej sekretarce, puściła kilka pierwszych sekund monologu Gordona i niespodziewanie wyjęła kasetę.

- Nie mam na to siły - oświadczyła, podając mu ją. - Czy mógłbyś oddać to rano Susan do biura? Oszczędzisz jej drogi. Jeśli jest tutaj coś ważnego, niech mi powie.

Richard zamrugał i rzekł: - E... tak - po czym szybko schował kasetę do kieszeni. Po szoku, wywołanym nagłym ulaskawieniem, czuł mrowienie na całym ciele.

- A jeśli chodzi o ten weekend... - zaczęła Susan, sadowiąc się na kanapie.

Richard otarł rękawem brew.

- Susan, ja...

-...to obawiam się, że muszę popracować. Nicola jest chora i muszę ją zastąpić w Wigamore, w następny piątek. Jest tam trochę Vivaldiego i trochę Mozarta, których nie znam zbyt dobrze, a to oznacza wiele godzin dodatkowych ćwiczeń w czasie weekendu. Przykro mi.

- Hm, prawdę mówiąc - odrzekł Richard - ja też muszę popracować.

Usiadł przy niej.

- Wiem. Gordon ciągle naciska, żebym cię ponagliła. Wolałabym, żeby tego nie robił. To nie moja sprawa, a poza tym stawia mnie w obrzydliwej sytuacji. Dość mam tego, że ludzie ciągle próbują wywierać na mnie presję. Dobrze, że przynajmniej ty tego nie robisz.

Pociągnęła łyk kawy.

- Ale mam pewność - dodała - że gdzieś musi istnieć jakaś szara strefa między wywieraniem presji a kompletnym zapomnieniem, którą naprawdę chętnie bym zbadała. Przytul mnie.

Przytulił ją, czując, że jest potwornym i zupełnie na to nie zasługującym szczęściarzem. Kiedy po godzinie wyszedł, przekonał się, że Pizza Express jest już zamknięta.

W tym czasie Michael Wenton-Weakes udawał się właśnie do swego domu w Chelsea. Siedział na tylnym siedzeniu taksówki, wpatrywał się pustym wzrokiem w mijane ulice i, zamyślony, wybijał palcami o szybę powolny rytm.

Ram pam pam pamparam ram pam.

Należał do tych niebezpiecznych, miękkich, podobnych do ośmiornicy ludzi, którzy z charakteru przypominają krowę, pod warunkiem, że mają wszystko, czego chcą. A ponieważ Michael dotąd zawsze miał wszystko, czego chciał, i na pozór łatwo się tym zadowalał, nikomu na myśl nie przyszło, że może przedstawiać się inaczej niż tylko w swej miękkiej, ośmiornicowatej i krowiej postaci. Trzeba było przepchnąć się przez wiele miękkich i ośmiornicowatych warstw, żeby w końcu natrafić na cząstkę, która nie podda się naciskowi ręki. Wszystkie miękkie, ośmiornicowate warstwy miały za zadanie chronić tę właśnie cząstkę.

Michael Wenton-Weakes był młodszym synem lorda Magna, wydawcy, właściciela kilku gazet i zanadto pobłażliwego ojca, pod którego opiekuńczymi skrzydłami spodobało się Michaelowi prowadzić swój własny niewielki magazyn, przynoszący znaczne straty. Lord Magna sprawował pieczę nad stopniowym, lecz dostojnym i ogólnie poważanym upadkiem imperium wydawniczego, założonego niegdyś przez jego ojca, pierwszego lorda Magna.

Michael nieprzerwanie bębnił leciutko o szybę.

Ram pam pam param.

Przypomniawszy sobie ten ohydny, straszny dzień, kiedy ojciec w trakcie wymieniania wtyczki doznał śmiertelnego porażenia prądem, a jego matka - jego matka! - przejęła po nim interes. Nie tylko przejęła, ale zaczęła prowadzić go z całkowicie nieoczekiwaną werwą i determinacją. Baczno przyjrzała się, jak prowadzona - albo jak sama twierdziła: wleczone - była firma, aż w końcu natrafiła na sprawozdania i rachunki z pisma Michaela.

Ram pam pam.

Michael znał się na interesach akurat na tyle, żeby wiedzieć, jak powinny przedstawiać się liczby w sprawozdaniach, zapewniał więc ojca po prostu, że tak się właśnie przedstawiają.

- Nie mogę pozwolić na to, żeby ta praca była dla ciebie zwykłą synekurą, musisz to zrozumieć, bracie, musisz na siebie zarobić, bo inaczej, jak by to wyglądało, jak by to w ogóle było? - zwykł mawiać jego ojciec, a Michael kiwał wtedy poważnie głową i zaczynał wymyślać kwoty na następny miesiąc, czy na kiedy tam udawało mu się poskładać kolejny numer.

Jego matka nie była pobłażliwa. W najmniejszym stopniu.

Michael zawsze określał ją mianem „starego topora wojennego”, lecz jeśli uczciwie przyrównywać ją do topora wojennego, to tylko do wykonanego z najwyższym kunsztem, doskonale wyważonego topora z eleganckim minimum delikatnej w rysunku rzeźby, która kończyłaby się tuż przy błyszczącym, ostrym jak brzytwa ostrzu. Jeden zamach takim instrumentem i człowiek nie wiedziałby nawet, że dostał, dopóki zerkając na zegarek, nie odkryłby, że brakuje mu ręki.

Przez cały ten czas czekała cierpliwie - przynajmniej na pozór cierpliwie - na tyłach, pełniąc rolę oddanej żony, zaślepionej, lecz wymagającej matki. A teraz ktoś wyjął ją - żeby zmienić nieco metaforę - z pochwy i wszyscy pierzchają w popłochu.

Nie wyłączając Michaela.

Wierzyła mocno, że Michael, którego w głębi duszy uwielbiała, został rozpieszczony w najgłębszym i najgorszym sensie tego słowa, postanowiła zatem, nieco poniewczasie, położyć temu kres.

Wystarczyło jej kilka minut, by się zorientować, że co miesiąc po prostu wymyśla wszystkie liczby, a magazyn w jego rękach to jeden wielki pieniężny krwotok, na który składały się potężne rachunki za służbowe lunche i taksówki oraz koszty własne, które dla zabawy odliczał od nie istniejących podatków. A wszystko to razem ginęło jakoś wśród gargantuicznych rachunków Domu Wydawniczego Magna.

A potem wezwała do siebie Michaela.

Ram pam pam para ram pam.

- Jak mam cię traktować? - zapytała. - Jak swojego syna czy jak naczelnego redaktora jednego z moich pism? Z radością się dostosuję.

- Twoich pism? No cóż, jestem twoim synem, ale doprawdy nie...

- W porządku. Michaelu, chciałabym, abyś przyjrzał się tym liczbom - rzekła dziarsko, wręczając mu wydruk z komputera. - Te po lewej pokazują rzeczywiste przychody i wydatki „Sążnia”, te po prawej to twoje własne rozliczenia. Czy coś nie uderzyło cię w tym widoku?

- Mamo, mogę wszystko wyjaśnić, ja...

- To dobrze - oznajmiła czarującym głosem lady Magna. - Bardzo mnie to cieszy. - Wzięła z powrotem swój arkusz. - Do rzeczy. Czy masz jakiś pomysł na to, jak należy poprowadzić w przyszłości to pismo?

- Tak, oczywiście. Bardzo konkretny. Ja...

- To dobrze - odparła lady Magna z olśniewającym uśmiechem. - W takim razie wszystko jest w jak najlepszym porządku.

- Nie chcesz nawet posłuchać?...

- Nie, wszystko jest w porządku, skarbie. Zupełnie wystarczy mi świadomość, że masz do powiedzenia coś, co pomoże wyjaśnić tę całą sprawę. Jestem pewna, że nowy właściciel „Sążnia” z radością wysłucha tego, co będziesz miał mu do powiedzenia.

- Co takiego? - wyjąkał oszołomiony Michael. - Chcesz powiedzieć, że masz zamiar sprzedać „Sążeń”?

- Nie. Chcę powiedzieć, że już go sprzedałam. Niestety, nie dostałam za niego zbyt wiele. Jednego funta i obietnicę, że zatrzymają cię jako naczelnego przez następne trzy numery, a potem wszystko zależeć będzie od uznania nowego właściciela.

Michael wpatrywał się w nią wytrzeszczonymi oczyma.

- No, dajmy już spokój - odezwała się rozsądnie jego matka. - Trudno byłoby nam ciągnąć dalej na dotychczasowych zasadach, prawda? Zawsze zgadzałeś się z ojcem, że ta posada to nie ma być tylko synekura. A ponieważ ja sama miałabym ogromne trudności zarówno z uwierzeniem, jak i z odrzuceniem twoich historyjek, pomyślałam sobie, że lepiej będzie przekazać ten problem komuś, kto miałby do niego bardziej obiektywny stosunek. Ale teraz mam już następne spotkanie, Michaelu.

- No, ale... komu go sprzedałaś? - wybełkotał Michael.

- Gordonowi Wayowi.

- Gordonowi Wayowi! Ależ na litość boską, mamo, on jest...

- Jest bardzo zainteresowany wspieraniem sztuki. I mam na myśli prawdziwe wspieranie sztuki. Pewna jestem, że się doskonale dogadacie, skarbie. A teraz, jeśli nie masz nic przeciwko temu...

Michael nie zamierzał się poddać.

- W życiu nie słyszałem nic równie oburzającego! Ja...

- A wiesz, to samo powiedział pan Way, kiedy pokazałam mu te liczby, a potem zażądałam, żeby zatrzymał cię jeszcze przez trzy numery.

Michael sapał i poczerwieniał z oburzenia, potrząsał podniesionym palcem, ale nie miał pojęcia, co na to odpowiedzieć. Co najwyżej:

- Jaka byłaby różnica, gdybym kazał się traktować jako naczelny redaktor jednej z twoich gazet?

- No cóż, skarbie - powiedziała lady Magna z najczarowniejszym z uśmiechów - wtedy oczywiście zwracałabym się do ciebie per „panie Wenton-Weakes”. A teraz nie kazałabym ci poprawiać krawata - dodała, wykonując pod brodą leciutki gest.

Ram param papam pam pam.

- Panie szanowny, to miał być siedemnasty?

- E... co? - odezwał się Michael, potrząsając głową.

- Mówił pan, że to ma być siedemnasty numer, tak? - rzekł kierowca taksówki. - Bo jesteśmy na miejscu.

- Ach, tak. Tak, dziękuję.

Wysiadł i zaczął grzebać po kieszeniach w poszukiwaniu pieniędzy.

- Ram pam pam, co?

- Co takiego? - zdumiał się Michael, wręczając należną kwotę.

- Ram pam pam - odrzekł kierowca. - Przez całą cholerną drogę. Coś cię gryzie, chłopie.

- Nie pański zasrany interes - odszczeknął wściekle Michael.

- Jak tam sobie chcesz, koleś. Myślałem tylko, że może ci odbija albo co - odparł taksjusz i odjechał.

Michael otworzył drzwi mieszkania i poszedł przez wyziębiony hol do jadalni, włączył górne światło i nalał sobie z karafki trochę brandy. Zdjął płaszcz, rzucił go na wielki mahoniowy stół i przyciągnął krzesło pod okno, gdzie w końcu usiadł, pieszcząc się ze swoim drinkiem i swymi żałami.

- Ram pam pam - kontynuował o szybę. Naburmuszony, pozostał na stanowisku naczelnego przez owe zastrzeżone trzy numery, a potem bez specjalnych ceremonii został zwolniony. Znalaziono nowego naczelnego, niejakiego A.K. Rossa, który był młody, ambitny i żądny sukcesów, szybko więc zrobił z gazety głośny sukces. Michael zaś w tym czasie pozostał goły i zagubiony. Poza „Sążniem” nic nie miało dlań znaczenia.

Jeszcze raz zabębnił palcami o szybę i spojrzał, tak jak to mu się często zdarzało, na stojącą na parapecie lampkę. Była to dość brzydka, zwyczajna mała lampka. Przyciągała uwagę Michaela jedynie dlatego, że to ona właśnie pomogła jego ojcu zabić się prądem, dokładnie w miejscu, w którym on teraz siedział.

Jeśli chodzi o technikę, staruszek był kompletnym głupcem. Jakby go widział, wpatzonego z uwagą przez szkła okularów i ssącego węża, kiedy próbował rozgryźć głębokie tajemnice, jakie kryła w sobie trzynastoamperowa wtyczka. Wsadził ją, jak się wydaje, do kontaktu, nie zakręciwszy pokrywki, a potem próbował zmienić bezpiecznik. Poraziło go tak, że nie wytrzymało osłabione

serce.

Taka najzwyklejsza w świecie pomyłka, myślał Michael, każdemu mogłoby się zdarzyć, a tak katastrofalne miała następstwa. Dosłownie katastrofalne. Śmierć ojca, jego własna klęska, triumf znieprawionego Rossa i ten straszliwy sukces gazety i...

Ram pam pam.

Zerknął w okno, na własne odbicie, a potem na ciemne zarysy krzewów po drugiej stronie. Znów spojrzął na lampkę. Właśnie ten przedmiot i właśnie to miejsce, i taki prosty, banalny błąd. Łatwo go zrobić, łatwo mu zapobiec. Jedyne, co oddzielało go od tamtej chwili, to niewidzialna bariera tych kilku miesięcy, jakie od niej upłynęły.

Niespodziewanie spłynął nań wewnętrzny spokój, jak gdyby gdzieś w środku nieoczekiwanie znalazł jakieś wyjście.

Ram pam pam.

„Sążeń” należy do niego. Wcale nie miał odnosić sukcesów, był jego życiem. Odebrano mu całe jego życie, a to wymagało reakcji.

Ram pam pam - zgrzyt.

Zaskoczony odkrył, że przepchnął dłoń na wylot przez szybę, paskudnie się przy tym kalecząc.

Rozdział piętnasty

Gordon miał okazję odczuć kilka mniej przyjemnych aspektów życia po życiu, kiedy udało mu się stanąć wreszcie u wejścia do swego „letniego domku”.

W oczach innych był to całkiem spory dom, ale on zawsze marzył o letnim domku na wsi, a kiedy w końcu przyszło mu go kupić, okazało się, że ma do dyspozycji znacznie więcej pieniędzy, niż mu się kiedykolwiek śniło, zakupił więc wielką, starą plebanię i nazwał ją domkiem letnim, niepomny na siedem sypialni i cztery akry podmokłych gruntów w hrabstwie Cambridge. Nie można powiedzieć, żeby ułatwiało mu to kontakt z ludźmi, którzy mieli zwykłe letnie domki, lecz z drugiej strony, gdyby pozwolił na to, żeby rządziły nim mrzonki o ciepłych stosunkach międzyludzkich, nie byłby Gordonem Wayem.

Teraz, rzecz jasna, i tak nim nie był. Teraz był duchem Gordona Waya.

W kieszeni miał duchy kluczy Gordona Waya.

Uświadomiwszy sobie ten fakt, przystanął na chwilę w swej niewidzialnej wędrówce. Na samą myśl o przenikaniu przez ściany robiło mu się niedobrze. Przez całą dzisiejszą noc właśnie tego starał się za wszelką cenę uniknąć. Próbował za to ze wszystkich sił chwytać i szamotać się z każdym mijanym przedmiotem, ażeby sobie udowodnić, że są one, a zatem i on sam, materialne. Myśl o wchodzeniu do domu, do jego własnego domu, w jakikolwiek inny sposób niż otwierając drzwi kluczem i władczo wkraczając do przedpokoju, napełniało go niewymownym poczuciem straty.

Przypatrując się domowi, pożałował nagle, że to taki skrajny przykład wiktoriańskiego gotyku.

Wolałby też, żeby księżycowy blask nie igrał tak chłodno w szybach wąskich lukarn i na tych wszystkich zakazanych wieżyczkach. Kiedy go kupował, zażartował - jakże idiotycznie! - że dom z takim wyglądem wprost powinien być nawiedzony, nie zdając sobie sprawy, że pewnego dnia będzie - i to przez kogo!

Przeszył go duchowy dreszcz, kiedy wspinał się cicho po podjeździe otoczonym szpalerem drzew o wiele starszych niż sama plebania. Przyszła mu do głowy nieprzyjemna myśl, że ktoś inny mógłby się bać wchodzić w nocy podobnym podjazdem w obawie, że napotka coś takiego jak on.

Za zasłoną wiekowych drzew, w głębi po lewej, wznosiła się bryła starego kościoła, obecnie niszczonego i użytkowanego na przemian z innymi kościołami w okolicznych wioskach. Znajdował się on pod pieczę proboszcza, który przyjeżdżał, zawsze zdyszany, na rowerze i nieodmiennie wpadał w przygnębienie na widok nader szczupłej gromadki oczekujących go wiernych. Ponad iglicą strzelistej wieży zawisło zimne oko księżyca.

Przez chwilę zdawało mu się, że kątem oka dostrzega jakiś ruch, jakby w krzewach przy domu przesunęła się jakaś postać, ale był to tylko, jak sobie powiedział, wybryk jego wyobraźni, przeciążonej stresem wywołanym śmiercią. Czegóż miałby się teraz obawiać?

Szedł dalej; okrążył skrzydło plebanii, zmierzając w kierunku frontowych drzwi, ukrytych w głębi ponurej werandy spowitej szczelnie w bluszcz. Z dreszczem zaskoczenia zdał sobie sprawę, że z wnętrza domu wydobywa się światło. Elektryczne światło żarówki i mgliste migotanie ognia na kominku. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że przecież oczekiwano go tutaj dzisiejszego wieczoru, choć niekoniecznie w tej akurat postaci. Pani Bennet, starsza wiekiem gospodyni, przyszła dziś z pewnością, żeby przygotować mu łóżko, napalić w kominku i zostawić dla niego lekką kolację.

Telewizor także będzie włączony, specjalnie, żeby tuż po wejściu mógł go niecierpliwie wyłączyć.

Kiedy zbliżał się do werandy, jego kroki nie zazgrzytały na żwirze. I chociaż wiedział, że nigdy mu się to nie uda, musiał najpierw spróbować otworzyć drzwi, zanim ukryty w cieniu werandy zamknie oczy i zawstydzony prześliznie się przez nie. Wszedł po schodach werandy i zatrzymał się.

Drzwi były otwarte.

Zaledwie na pół cala, niemniej jednak były otwarte. Dusza zadrzepotała strachliwie z zaskoczenia. Jak to możliwe? Pani Bennet zawsze wykonywała wszystko bardzo sumiennie. Gordon przez chwilę stał niepewnie, a potem z mozołem począł napierać na drzwi. Pod tak nieznacznym naporem drzwi ustąpiły bardzo niechętnie i, piszcząc zawiasami w proteście, uchyliły się leciutko. Przekroczył próg i wśliznął się do wyłożonego kamiennymi płytami holu. Szerokie schody wiodły w mroki piętra, ale na dole wszystkie drzwi były zamknięte.

Najbliższe prowadziły do pracowni, w której płonął ogień na kominku i z której dochodziły stłumione odgłosy pościgu samochodowego w nocnym filmie. Przez chwilę szamotał się bezowocnie z błyszczącą mosiężną gałką, ale w końcu zmuszony był przyznać się do upokarzającej porażki: w nagłym ataku wściekłości rzucił się na drzwi - i przeleciał na drugą stronę.

Pokój po drugiej stronie stanowił obrazek pełen przyjemnego domowego ciepła. Gordon wpadł gwałtownie do środka i nie był w stanie się zatrzymać, przelatując najpierw przez nieduży stolik

zastawiony apetycznymi kanapkami i termosem pełnym gorącej kawy, potem przez potężny i przesadnie wypchany fotel, przez ogień na kominku, przez grubą warstwę gorących cegieł, by wylądować na koniec w zimnej, ciemnej jadalni.

Drzwi łączące jadalnię z gabinetem także były zamknięte. Gordon pomajstrował przy nich odrętwiałymi palcami, a potem, ustępując wobec tego, co nieuniknione, wziął się w garść i prześliznął się przez nie z powrotem, spokojnie, delikatnie, po raz pierwszy w życiu dostrzegając bogatą strukturę wewnętrzną drewna.

Ledwie mógł znieść przytulność własnego pokoju; snuł się po nim obłąkańczo, niezdolny spocząć ani na chwilę, pozwalając, by przepływało przez niego ciepłe światło ognia na kominku. Jego przecież nie mogło ogrzać.

Co duchy, zastanawiał się, robią przez całą noc?

Przysiadł niespokojnie i zaczął oglądać telewizję. Pościgi samochodowe jednak wkrótce dobiegły końca i na ekranie nie pozostało nic prócz szarego śnieżenia i brzęczącego szumu, którego nie był w stanie wyłączyć.

Dostrzegł, że zatopił się zbyt głęboko w fotelu i trochę się z nim przemieszał, kiedy starał się wytaszczyć z powrotem. Próbował się rozweselić, stając na środku stołu, ale niezbyt podniosło go to na duchu, który od stanu najczarniejszej rozpaczycy ciągle osuwał się w dół.

Może uda się zasnąć.

Być może.

Nie czuł zmęczenia ani senności, tylko rozpaczliwe pragnienie nieświadomości. Wrócił przez zamknięte drzwi na ciemny korytarz, z którego szerokie, ciężkie schody wiodły do ponurych sypialń na piętrze.

Wspiął się po nich beznamiętnie.

To wszystko na nic - wiedział. Jeśli ktoś nie potrafi otworzyć drzwi do sypialni, nie będzie w stanie spać w znajdującym się tam łóżku. Prześliznął się przez drzwi i ułożył na łóżku, o którym wiedział, choć tego nie czuł, że jest zimne. Księżyc najwyraźniej nie miał ochoty zostawić go w spokoju, oświetlając ze wszystkich sił, kiedy tak leżał z szeroko otwartymi oczyma i poczuciem pustki, już niepomny, co to sen i jak to się właściwie robi.

Spłynęło nań przerażenie próżnią, przerażenie bezkresną i wieczną bezsennością o czwartej nad ranem.

Nie miał dokąd pójść, a gdyby nawet gdzieś dotarł, nie miał tam nic do roboty, nie mógł nawet nikogo obudzić z obawy, że wzbudzi sobą potworny strach.

Najgorsze chwile przeżył, kiedy zobaczył na drodze Richarda, jego zastygłą w grozie twarz za szybą samochodu. Znow widział tamtą twarz i bladą postać na siedzeniu obok.

To właśnie wtedy opuściła go ostatnia krztyna ciepła, która ociągała się gdzieś w głębi umysłu, zapewniając go, że to zaledwie przejściowe problemy. W nocy wszystko wygląda strasznie, ale rano,

kiedy już spotka się z kim trzeba, sprawy się uporządkują i wszystko będzie w najlepszym porządku. Ciągłe obracał w myślach tamto wspomnienie, nie mógł się od niego oderwać.

Widział Richarda, a Richard - był o tym przekonany - widział jego.

Zwykle, kiedy cierpiał w nocy tego rodzaju rozterki, wpadał na dół do kuchni, żeby zobaczyć, co jest w lodówce, zatem to samo zrobił i teraz. Na pewno będzie tam weselej niż w zalanej księżycowym blaskiem sypialni.

Ześliznął się po - częściowo na wskroś - poręczy, bez zmrżenia oka przesunął się przez kuchenne drzwi, a potem przez kilka minut poświęcał całą swoją koncentrację i energię, żeby zapalić światło.

Doznał przy tym uczucia, że naprawdę udało mu się coś osiągnąć, postanowił więc uczcić to piwem.

Po długiej chwili naprzemiennego żonglowania i upuszczania puszkii fostera dał sobie spokój. Nie miał żadnego pomysłu na to, jak sobie poradzić z kółkiem, za które należało pociągnąć, a poza tym cała zawartość i tak już jest za bardzo wzburzona - a poza tym co właściwie miał z nią zrobić, nawet gdyby udało mu się otworzyć puszkę?

Przecież nie miał ciała, w które mógłby ją wlać. Cisnął puszkę w kąt, aż potoczyła się pod kuchenną szafkę.

Zaczynał zauważać u siebie pewne prawidłowości. Zdolność do chwytania przedmiotów, na przykład, wzrastała i opadała w jakimś powolnym rytmie, podobnie jak widzialność.

W rytmie tym dawała się jednakże zauważyć pewna nieregularność, a może tylko efekty były chwilami bardziej namacalne. I tu różnice zdawały się występować w pewnym powolnym rytmie. W tej chwili wydawało mu się, że jego moc ciągle wzrasta.

W nagłym przystępie gorączkowej aktywności zaczął próbować, które ze znajdujących się w kuchni przedmiotów uda mu się włączyć, użyć lub choćby poruszyć.

Otwierał drzwiczki szafek, wysuwał gwałtownie szuflady, rozsypując po podłodze sztucce. Na mgnienie oka włączył kuchenny robot, przewrócił elektryczny młynek do kawy, ale nie udało mu się go włączyć, odkręcił gaz na kuchence, lecz zapalić go już nie dał rady. Zmasakrował kozikiem bochenek chleba i próbował wepchnąć sobie do ust jego kawałki, ale przelatywały mu przez szczękę i spadały na podłogę. W kuchni pojawiła się mysz, lecz natychmiast umknęła z najeżonym ze strachu futerkiem.

W końcu dał spokój i usiadł przy kuchennym stole; emocjonalnie był wyczerpany, lecz fizycznie nic nie czuł.

Zastanawiał się: jak ludzie zareagują na jego śmierć?

Komu będzie najbardziej przykro?

Przeżyją krótki szok, potem smutek, aż wreszcie przywykną, a on sam stanie się tylko blaknącym wspomnieniem, podczas gdy ludzie będą sobie radzić w życiu bez niego, przekonani, że odszedł tam, gdzie w takich wypadkach się odchodzi. Ta myśl napełniła go potwornym, lodowatym przerażeniem.

Przecież nie odszedł. Ciągle jeszcze tu był.

Siedział twarzą do jedynej szafki, której nie udało mu się otworzyć, bo klamka ciężko chodziła, co go zresztą mocno irytowało. Złapał niezgrabnie puszkę pomidorów, jeszcze raz podszedł do wysokiej szafki i ponownie zaatakował klamkę. Drzwi otworzyły się raptownie na oścież, a ze środka wypadło jego własne, zaginione, zakrwawione ciało.

Aż do tej chwili Gordon nie zdawał sobie sprawy, że duch jest w stanie zemdleć.

Teraz zdał sobie sprawę i zemdlał.

Ocknął się kilka godzin później na dźwięk wybuchającej kuchenki gazowej.

Rozdział szesnasty

Następnego ranka Richard budził się dwa razy.

Za pierwszym razem założył, że to jakaś pomyłka, i przewrócił się na drugi bok, żeby dospać kilka kapryśnych chwil. Za drugim razem zerwał się z podskokiem, gdyż wydarzenia ostatniej nocy wdarły mu się już w świadomość.

Zszedł na dół i zjadł niewesołe, niespokojne śniadanie, podczas którego nic nie szło tak jak trzeba. Spalił grzanki, rozlał kawę i przypomniał sobie, że miał wczoraj kupić marmoladę, a nie kupił. Przyjrzał się swym wątlym próbom nakarmienia organizmu i pomyślał, że może uda mu się znaleźć przynajmniej tyle czasu, żeby zaprosić Susan na jakąś wystawną kolację jako zadośćuczynienie za wczorajszy wieczór.

Jeśli uda mu się ją namówić.

Była taka restauracja, nad którą Gordon ostatnio rozwodził się entuzjastycznie i bardzo ich namawiał, żeby się do niej wybrali. Gordon znał się na restauracjach - z pewnością spędzał w nich sporo czasu.

Richard usiadł i przez kilka minut stukał ołówkiem o zęby, po czym przeszedł do pracowni i spod sterty pism komputerowych wyszarpnął książkę telefoniczną.

L'Esprit d'Escalier.

Zadzwoił do tej restauracji i próbował zamówić stolik, lecz kiedy wyjaśnił, o co dokładnie mu chodzi, wyraźnie wywołał niejaki rozbawienie.

- Ach, non, monsieur - odpowiedział mu szef sali. - Przykro mi, ale to niemożliwe. W tej chwili rezerwacji trzeba dokonywać z trzytygodniowym wyprzedzeniem. Pardon, monsieur.

Richard zdumiał się głośno na myśl, że istnieją ludzie, którzy z trzytygodniowym wyprzedzeniem wiedzą, na co będą mieli ochotę, podziękował szefowi sali i odwiesił słuchawkę. No cóż, może w takim razie po raz kolejny pizza. To z kolei przywiodło jego myśli do spotkania, na które wczoraj nie zdążył. Po chwili ciekawość zwyciężyła i jeszcze raz sięgnął po książkę telefoniczną.

Gentleman...

Gentles...

Gentry.

Nie ma żadnego Gently'ego. Ani jednego. Znalazł inne książki, z wyjątkiem zeszytu S-Z, który jego gosposia stale wyrzucała z przyczyn, jakich dotąd nie zdołał zgłębić.

Z całą pewnością nie było też w nich Cjelli ani nic w tym rodzaju. Nie było też Jently ani Dgently, ani Djently, ani Dzently - nic o choćby zbliżonym brzmieniu. Zastanawiał się przez chwilę nad Tjently, Tsentli lub Tzentli i spróbował dodzwonić się do informacji, ale była nieczynna. Usiadł i ponownie postukał ołówkiem o zęby, wpatrzony w kanapę obracającą się z wolna na ekranie komputera.

To bardzo szczególne, że zaledwie kilka godzin wcześniej Reg tak uporczywie dopytywał się o Dirka.

Jeśli naprawdę chce się kogoś znaleźć, to jak należy się do tego zabrać, co należy zrobić?

Zadzwoił na policję, ale tam też nikt się nie zgłaszał. No to koniec. Wyczerpał wszystkie możliwości z wyjątkiem zatrudnienia prywatnego detektywa, a zna przecież lepsze sposoby marnowania czasu i pieniędzy. Po prostu wpadnie gdzieś znów na Dirka, tak jak im się to zdarza co kilka lat.

W gruncie rzeczy nie bardzo wierzył, że w ogóle istnieją tacy ludzie jak prywatni detektywi.

Co to właściwie za ludzie? Jak wyglądają, gdzie pracują?

Jaki krawat trzeba nosić, kiedy jest się prywatnym detektywem? Najpewniej taki, o jaki ludzie w życiu nie podejrzewaliby prywatnego detektywa... Wyobraźmy sobie: mieć do rozwiązania podobny problem, kiedy dopiero co się wstało.

Złapał się na tym, że przerzuca w książce telefonicznej strony „Usługi” - z czystej ciekawości oraz dlatego, że jedyną alternatywą byłoby zasiąść nad kodowaniem „Hymnu”.

„Prywatni detektywi - patrz: Agencje detektywistyczne”.

Słowa te zabrzmiały dziwnie w tym rzetelnym i rzeczowym kontekście. Wrócił bliżej początku „Usług”.

W tej chwili zadzwonił telefon, więc odebrał go, odrobinę szorstko. Nie chciał, żeby mu przeszkadzano.

- Coś nie tak, Richardzie?

- Och, cześć, Kate, przepraszam. Po prostu byłem... zamyśliłem się.

Kate Anselm była drugą gwiazdą oprogramowania w WayForward Technologies. Pracowała nad długoterminowym projektem tyczącym sztucznej inteligencji, który brzmiał jak najbardziej absurdałne mrzonki, dopóki człowiek nie usłyszał, jak ona o tym mówi. Gordon dość regularnie życzył sobie, żeby z nim o tym mówiła, częściowo dlatego, że martwił się o pieniądze, jakie w to wkłada, częściowo zaś dlatego, że i tak lubił słuchać Kate.

- Nie chciałam ci przeszkodzić - powiedziała. - Tylko że próbowałam skontaktować się z Gordonem

i nie udało mi się. Telefon nie odpowiada ani w Londynie, ani w letnim domku, ani w samochodzie, ani na przywołanie. Chodzi o to, że jak na kogoś z obsesją na punkcie kontaktów, to trochę dziwne, nie uważasz? Słyszałeś, że kazał sobie zainstalować telefon nawet w ustronnym miejscu? Serio.

- Nie rozmawiałem z nim od wczoraj - odparł Richard. Nagle przypomniał sobie taśmę, którą wziął od Susan, i w Bogu pokładał nadzieję, że nie było na niej nic ważniejszego niż bredzenie o królikach. Powiedział: - Wiem, że miał jechać do domku. Nie wiem, gdzie może być. A próbowałaś... - nie przyszło mu do głowy nic, czego można by jeszcze spróbować -...ee... Dobry Boże!

- Richardzie?

- Co za niezwykły...

- Richard, o co chodzi?

- Nic takiego, Kate, po prostu przeczytałem coś naprawdę zdumiewającego.

- Naprawdę? A co takiego czytasz?

- No cóż, prawdę mówiąc, książkę telefoniczną...

- Naprawdę? Zaraz pędzę sobie kupić. Czy ktoś wykupił już prawa do filmu?

- Słuchaj, Kate, przepraszam, czy mogę oddzwonić później? Nie mam pojęcia, gdzie się teraz podziewa Gordon, a...

- Nie przejmuj się, wiem, jak to jest, kiedy nie można się doczekać, żeby przewrócić kartkę. Nigdy nie dają zgadnąć aż do ostatniej strony, co? Na pewno winny jest Zbigniew. Miłego weekendu. - Odwiesiła słuchawkę.

Richard odwiesił swoją i siedział, gapiąc się na ramkę z reklamą, która leżała przed nim na otwartej stronie „Usług”.

HOLISTYCZNA AGENCJA DETEKTYWISTYCZNA DIRKA GENTLY’EGO

W CAŁOŚCI rozwiązujemy zagadki kryminalne

W CAŁOŚCI odnajdujemy zaginione osoby

Aby otrzymać CAŁOŚCIOWE rozwiązanie twoich problemów

- zadzwoń jeszcze dziś!

(Specjalność: zaginione koty i skomplikowane rozwody) 33a Peckender St., Londyn NI 01-354 9112

Peckender Street to tylko kilka minut marszu. Richard zapisał pospiesznie adres, wciągnął płaszcz i podreptał schodami na dół, zatrzymując się po drodze na krótką inspekcję kanapy. W tym musi być, pomyślał, coś niesłychanie oczywistego, co umyka jego uwagi.

Kanapa utknęła w miejscu, gdzie wąska klatka schodowa bierze lekki zakręt. W tym też miejscu zaczyna się rozległy podest, na tym samym poziomie co apartamenty, które znajdowały się tuż pod mieszkaniem Richarda. Niemniej inspekcja i tym razem nic nie dała, żadnych nowych koncepcji,

przelazł więc przez mebel i wyszedł na ulicę.

Na Islington praktycznie trudno byłoby rzucić cegłą, żeby nie trafić przy tym w trzy antykwariaty, agencję nieruchomości i księgarnię. A nawet gdyby człowiek nie trafił, to z całą pewnością włączyłby ich alarmy anty włamaniowe, których nikt potem nie wyłączyłby do końca weekendu. Na Upper Street jakiś wóz patrolowy jak zwykle zabawiał się w uniki i zatrzymał się z piskiem tuż przy Richardzie. Ten przeszedł przez ulicę za jego bagażnikiem.

Dzień był chłodny i słoneczny; lubił to. Przeszedł szczytem Islington Green, gdzie bija się pijaczków, obok spalonej siedziby Collins Music Hall, potem przez Camden Passage, gdzie obdziera się ze skóry amerykańskich turystów. Powąłęsał się chwilę leniwie wśród antyków i przyjrzał się parze kolczyków, o których sądził, że mogłyby spodobać się Susan, ale nie był pewien. Potem przestał być pewien, czy jemu samemu się podobają, wpadł w konsternację i dał spokój. Zajrzał do księgarni i pod wpływem nagłego impulsu kupił tomik wierszy Coleridge'a, który leżał akurat na ladzie.

Od tego miejsca począł kluczyć krętymi uliczkami, przeszedł obok budynków należących do rady miejskiej, ciągnących się wzdłuż kanału, potem przez kilka coraz mniejszych placików, aż w końcu dotarł do Peckender Street, która ostatecznie okazała się o wiele bardziej odległa, niż mu się początkowo zdawało.

Należała do ulic, po których w czasie weekendów wielkimi jaguarami jeżdżą, śliniąc się, właściciele firm budowlanych. Pełno tu było podrzędnych sklepików, wiktoriańskich zabudowań przemysłowych oraz stał jeden krótki, rozpadający się georgiański szeregowiec - wszystko aż prosiło się o wyburzenie, tak żeby na ich miejscu mogły wykiełkować młode, krzepkie betonowe pudła. Po całej okolicy włączyły się wygłodniałe hordy agentów od nieruchomości, trzymając w pogotowiu notesy i bacznie na siebie nawzajem zezując.

Numer 33, który Richard odnalazł wreszcie wtłoczony gładko między 37 a 45, był w dosyć kiepskim stanie technicznym, lecz nie gorszym niż cała reszta. Na parterze mieściło się zakurzone biuro podróży z pękniętą szybą w oknie i wyblakłymi plakatami BOAC, które teraz pewnie osiągały już niemałą wartość. Kolejne drzwi pomalowane były na jaskrawoczerwony kolor, niezbyt starannie, ale też i niezbyt dawno.

Przycisk znajdującego się obok dzwonka miał starannie wykaligrafowany napis: „Dominique, Lekcje francuskiego, 3. piętro”.

Jednakże najbardziej uderzającą cechą owych drzwi była przytwierdzona na samiuteńkim środku śmiała, mosiężna tabliczka, na której wygrawerowano napis: „Holistyczna Agencja Detektywistyczna Dirka Gently'ego”.

I to wszystko. Tabliczka wyglądała na nowiutką - błyszczwały nawet utrzymujące ją na miejscu śrubki.

Drzwi ustąpiły, kiedy Richard je pchnął, zajrzał więc do środka. Zobaczył płytką i zatęchłą sien, w której znajdowało się niewiele więcej poza wiodącymi w górę schodami. Drzwi na drugim jej końcu wyglądały, jakby nie otwierano ich od dobrych kilku lat; przywalone były stertami metalowych rusztowań od półek, starym akwariem i szczątkami roweru. Wszystko inne - ściany, podłogę i tę część drzwi od podwórza, jaką udało mu się dostrzec - pomalowano niegdyś na szaro, żeby tanim kosztem zadać szyku, ale teraz farba paskudnie popękała, a z wilgotnej plamy w okolicach sufitu

zerkały banieczki grzyba.

Dotarły do niego czyjeś gniewne głosy, ale kiedy wspinał się po schodach, nie był w stanie rozróżnić splątanych odgłosów dwóch różnych, lecz jednakowo gorących sprzeczek, które toczyły się gdzieś powyżej.

Jedna z nich skończyła się widać raptownie - a przynajmniej w połowie - ponieważ jakiś otły mężczyzna zbiegł z łoskotem po schodach, stawiając po drodze kołnierz prochowca. Druga połowa sprzeczek spływała z góry wartkim strumieniem urażonej francuszczyzny. Mężczyzna przepchnął się obok Richarda, rzucając: - Oszczędź sobie wydatku, bracie, to zupełna nędza - i zniknął wśród chłodu poranka.

Odgłosy drugiej sprzeczek były bardziej stłumione. Kiedy Richard dotarł na pierwsze piętro, gdzieś trzasnęły drzwi i zakończyły także i tę drugą. Richard zajrzał za pierwsze uchylone drzwi.

Za nimi znajdowało się niewielkie biuro. Drugie drzwi, wiodące w głąb pomieszczeń, były zdecydowanie zamknięte. Młodziutka, odziana w tani niebieski prochowiec dziewczyna o pызatej twarzy wyciągała z szuflad biurka najróżniejsze kosmetyki oraz pudełka chusteczek higienicznych i wrzucała je z rozmachem do torebki.

- Czy to agencja detektywistyczna? - zapytał ostrożnie Richard.

Dziewczyna kiwnęła głową, przygryzając wargi i nie podnosząc wzroku.

- A czy pan Gently jest u siebie?

- Może jest - odparła, dumnym gestem odrzucając włosy do tyłu, co nieszczególnie jej wyszło, bo miała na to zbyt gęste loki - a może nie jest. Nie jestem w stanie panu powiedzieć. Jego aktualna lokalizacja to już nie moja sprawa. Teraz lokalizacja pana Gently'ego to wyłącznie jego sprawa.

Odzyskała już ostatnią buteleczkę lakieru do paznokci i usiłowała teraz zatrzasnąć szufladę. W szufladzie stanęła na sztorc jakaś gruba książka, przez którą nie dało się jej zamknąć. Dziewczyna spróbowała powtórnie, lecz bez większych sukcesów. Wyjęła książkę, wydarła z niej garść kartek i odłożyła na miejsce. Tym razem mogła trzasnąć szufladą bez trudu.

- Czy pani jest jego sekretarką? - zapytał Richard.

- Jestem jego byłą sekretarką i taką mam zamiar pozostać - odparła dziewczyna, z mocą zatrzasnąwszy torebkę. - Jeśli on, zamiast mi zapłacić, woli wydawać pieniądze na jakieś durne i drogie mosiężne plakietki, to proszę bardzo. Ale ja nie mam zamiaru dłużej tego znosić, o nie. „Dla dobra firmy” - co jeszcze wymyśli? Właściwie odbieranie telefonów też jest dla dobra firmy, a chciałabym zobaczyć, jak sobie z tym poradzi ta jego śliczna nowa tabliczka! A teraz, jeśli pan pozwoli, chciałabym wypaść stąd jak burza.

Richard usunął się na bok, a ona wypadła stamtąd jak burza.

- Krzyżyk na drogę! - krzyknął czyjś głos z głębi biura. Zadzwoił telefon i został natychmiast odebrany.

- Tak? - rzucił cierpko głos z głębi biura. Dziewczyna wpadła jeszcze na sekundę po swój szalik, ale

cichutko, żeby nie usłyszał jej pracodawca. Wreszcie zniknęła na dobre.

- Tak, tu Holistyczna Agencja Detektywistyczna Dirka Gently'ego. W czym możemy pomóc?

Strumień francuskiego z górnego piętra urwał się. Głos z wnętrza powiedział:

- Zgadza się, pani Sunderland, skomplikowane rozwody są naszą specjalnością.

Nastąpiła chwila ciszy.

- Tak, dziękuję bardzo, pani Sunderland, ale raczej nie aż tak skomplikowane. - Słuchawka powędrowała na widełki, a natychmiast zaczął dzwonić drugi telefon.

Richard rozejrzał się po niewesołym i niezbyt przestronnym biurze. Nie było tu wiele do oglądania. Zniszczone biurko z lakierowanej płyty wiórowej, stara, popielata szafka do akt i ciemnozielony blaszany kosz do papierów. Na ścianie wisiał plakat Duran Duran, na którym ktoś nabazgrał grubym czerwonym flamastrem: „Proszę to zdjąć”.

Pod spodem innym charakterem pisma nagryzmołono: „Nie”.

Pod spodem tym pierwszym charakterem pisma dopisano: „Nalegam, żeby pani to zdjęła”.

Pod spodem drugi charakter pisma dopisał: „Nie zdejmę!”

A pod spodem: „Zwalniam panią!”

A pod spodem: „I dobrze!”

I na tym, jak się wydaje, sprawę zakończono.

Richard zapukał do drugich drzwi, ale nikt nie odpowiedział. Zamiast tego głos mówił:

- Cieszę się, że pani o to pyta, pani Rawlinson. Termin „holistyczna” odzwierciedla moje głębokie przekonanie, że to, na co powinniśmy zwrócić szczególną uwagę, to wzajemna łączność między wszystkim, co istnieje. Nie zajmuję się takimi drobiazgamami jak proszek do zdejmowania odcisków palców, fantazmatyczne klaczkę z czyichś kieszeni czy wreszcie te idiotyczne ślady stóp. Przez rozwiązanie każdego problemu rozumiem wytopienie właściwego wzorca w sieci wzajemnych powiązań. Związki pomiędzy przyczyną a skutkiem są często o wiele bardziej subtelne i złożone, niż moglibyśmy się spodziewać przy naszym tradycyjnym i prostackim rozumieniu zjawisk świata fizycznego, pani Rawlinson. Pozwoli pani, że podam przykład. Jeśli idzie pani do lekarza leczącego akupunkturą i skarży się na ból zęba, on wbija pani igłę w udo. Czy wie pani dlaczego, pani Rawlinson? Nie? Ja też nie wiem, droga pani Rawlinson, ale tego się właśnie mamy zamiar dowiedzieć. Miło było z panią rozmawiać, pani Rawlinson. Do widzenia.

Kiedy odłożył słuchawkę, natychmiast rozdzwonił się następny telefon.

Richard uchylił drzwi i zajrzał do środka.

Był tam ten sam Svlad - lub też Dirk - Cjelli. Trochę okrągłyjszy w okolicach środka, a trochę bardziej porozciągany i czerwony w okolicach oczu i karku, ale w zasadzie była to ta sama twarz, którą żywo pamiętał okraszona ponurym uśmiechem, kiedy jej właściciel gramolił się na tylne

siedzenie radiowozu należącego do komendy policji hrabstwa Cambridge, osiem lat temu.

Miał na sobie stary, ciężki, jasnobrązowy garnitur, który wyglądał, jakby w odległej i lepszej przeszłości brał udział w wielu ekspedycjach połączonych z przedzieraniem się przez jeżyny. Do tego czerwoną koszulę w kratkę, która żadnym sposobem nie harmonizowała z ubraniem, oraz zielony krawat w prążki, który nie chciał nawet gadać z tamtą dwójką. Nosił także grube szkła w metalowych oprawkach, które być może ponosiły choć częściową odpowiedzialność za jego strój.

- Ach, pani Bluthall, telefon od pani zawsze bardzo podnosi człowieka na duchu - mówił. - Szczególnie teraz, kiedy tak ogromnie zasmuciła mnie wieść, że odeszła od nas panna Tiddles. To naprawdę przygnębiająca wieść. Ale mimo wszystko... Czy powinniśmy pozwolić, aby czarna rozpacz przesłoniła nam światło, w którego blasku pani błogosławiona kicia zamieszkuje teraz na wieki? Sądzę, że nie. Proszę uważnie posłuchać. Wydaje mi się, że wciąż jeszcze słyszę jej miauczenie. Woła do pani, pani Bluthall. Mówi, że jest zadowolona, że jest spokojna. Mówi, że byłaby jeszcze bardziej spokojna, gdyby pani popłaciła co poniektóre rachunki. Czy to pani o czymś nie przypomina, pani Bluthall? Skoro już o tym mowa, sam wysłałem pani jeden, niecałe trzy miesiące temu. Zastanawiam się, czy to aby nie ten zakłóca jej wieczny odpoczynek.

Dirk szybkim gestem nakazał Richardowi, by wszedł do środka, a potem, innym gestem, nakazał przysunąć sobie zmiętą paczkę francuskich papierosów, które leżały poza jego zasięgiem.

- W takim razie do niedzielnego wieczoru, pani Bluthall, o ósmej trzydzieści. Zna pani adres. Tak, jestem pewien, że panna Tiddles się pojawi, podobnie jak pani książeczka czekowa. Zatem do zobaczenia, pani Bluthall, do zobaczenia.

Ledwo zdołał się pozbyć pani Bluthall, rozdzwonił się znowu telefon. Dirk złapał słuchawkę, próbując jednocześnie zapalić wymiętoszonego papierosa.

- A, pani Sauskind - powiedział do słuchawki - nasza najstarsza i, jeśli wolno tak to ująć, najszacowniejsza klientka. Życzę miłego dnia, pani Sauskind. Niestety, jak się obawiam, na razie nie ma śladu po naszym młodym Roderyku, lecz poszukiwania nabierają rozpędu, zbliżając się, jak ufam, do fazy końcowej, co pozwala mi żywić nadzieję, iż w przeciągu kilku zaledwie dni młody łobuziak na stałe powróci w pani objęcia, miauczając wdzięcznie, ach tak, rachunek, zastanawiałem się, czy doszedł.

Wymięty papieros okazał się za bardzo zmięty, żeby mógł się zapalić, Dirk zawiesił więc słuchawkę na ramieniu i poszperał w paczce w poszukiwaniu następnego, lecz nic w niej nie znalazł.

Pobuszował po biurku w poszukiwaniu kawałka papieru i ogryzka ołówka, po czym naskrobał notatkę i popchnął ją w stronę Richarda.

- Tak, pani Sauskind - zapewnił słuchawkę - słucham z najwyższą uwagą.

Notatka głosiła: „Kaź sekretarce skoczyć po fajki”.

- Tak - ciągnął Dirk do telefonu - ale jak to stale usiłuję pani wytłumaczyć, pani Sauskind, przez całe siedem lat naszej znajomości, w tej materii skłonny jestem stosować się do zasad mechaniki kwantowej. Według mojej teorii pani kot nie zginął, lecz jego postać falowa uległa chwilowemu załamaniu i powinna zostać odtworzona. Schrödinger*. Planck**. I tak dalej.

Richard dopisał na notatce: „Nie masz sekretarki”, i pchnął ją w stronę Dirka.

Dirk rozważał to przez chwilę, po czym napisał: „A niech to jasny szlag trafi”, i pchnął kartkę do Richarda.

- Przyznaję pani całkowitą rację, pani Sauskind - ciągnął pogodnie - że dziewiętnaście lat to, powiedzmy sobie, piękny wiek, jak na kota, ale czyż wolno nam zakładać, że kot taki jak Roderyk nie mógł dożyć podobnego wieku? I czy powinniśmy teraz, w jesieni jego życia, porzucić go na łaskę losu? Teraz właśnie powinniśmy podwoić nasze wysiłki, i za pozwoleniem, pani Sauskind, tak właśnie mam zamiar postąpić. Proszę tylko pomyśleć, pani Sauskind, czy mogłaby pani spojrzeć mu w oczy, gdyby nie zrobiła dla niego choć takiej drobnostki?

Richard poobracał kartkę w palcach, wzruszył ramionami, napisał: „Sam skoczę”, i pchnął ją z powrotem.

Dirk z naganą potrząsnął głową, a potem dopisał: „Ależ nie śmiałybym prosić, bardzo to miło z twojej strony”. Kiedy tylko Richard przeczytał, Dirk wziął kartkę z powrotem i dopisał: „Weź pieniądze od sekretarki”.

Richard przyjrzał się kartce uważnie, wziął ołówek i zrobił ptaszka obok miejsca, gdzie wcześniej napisał: „Nie masz sekretarki”. Popchnął kartkę w stronę Dirka, który zaledwie rzucił na nią okiem i postawił ptaszka przy: „Ależ nie śmiałybym prosić, bardzo to miło z twojej strony”.

- No cóż, być może - mówił dalej do pani Sauskind - moglibyśmy jeszcze raz przejrzeć te rejony rachunku, które sprawiają pani najwięcej trudności. Tak z grubsza.

Richard sam trafił do wyjścia.

Zbiegając po schodach, minął młodego naiwnego w dżinsowej

Erwin Schrödinger (1887-1961), austriacki fizyk teoretyk, laureat Nagrody Nobla (1933). położył ogromne zasługi w rozwoju mechaniki kwantowej.

** Max Karl Ernst Planck (1858-1937), fizyk niemiecki, laureat Nagrody Nobla (1918): prawo Plancka odegrało dużą rolę w rozwoju fizyki jako jedna z podstaw mechaniki kwantowej.

kurtce i z włosami na zapałkę, który spoglądał niespokojnie w górę klatki schodowej.

- Jak było, koleś? - zagadnął Richarda.

- Niesamowicie - wymamrotał Richard. - Po prostu niesamowicie.

Znalazł kiosk i kupił dwie paczki disque bleu dla Dirka, a dla siebie najnowszy numer „Personal Computer World”, na którego okładce widniało zdjęcie Gordona Waya.

- Szkoda faceta, co? - rzucił kioskarz.

- Co? Ach, tak... tak - odparł Richard. Często sam odnosił takie wrażenie, lecz poczuł się zaskoczony, że jego opinie znajdują aż tak szeroki oddźwięk. Wziął jeszcze „Guardiana”, zapłacił i wyszedł.

Kiedy wrócił do biura, Dirk nadal tkwił przy telefonie, z nogami wyłożonymi na biurko, i było

zupełnie jasne, że jego negocjacje mają teraz znacznie łatwiejszy przebieg.

- No tak, wydatki na wyspach Bahama były, hm, wydatne, ponieważ leży to w samej naturze tamtejszych wydatków. Stąd zresztą ich nazwa. - Wziął papierosy, okazał nieznaczne rozczarowanie faktem, iż jest ich tylko tyle, lecz uniósł szybko brwi na znak, że docenia uprzejmość, jaką wyświadczył mu Richard, po czym machnął ręką w kierunku krzesła.

Z górnego piętra nadpłynęły odgłosy kłótni, prowadzonej częściowo po francusku.

- Oczywiście, że mogę jeszcze raz wyjaśnić pani, dlaczego wyjazd na wyspy Bahama był tak nieodzownie potrzebny - mówił kojącym tonem Dirk Gently. - Nic nie mogłoby sprawić mi większej przyjemności. Jak pani wiadomo, pani Sauskind, wierzę w fundamentalną wzajemną łączność między wszystkim, co istnieje. Co więcej, musiałem określić i zmierzyć za pomocą triangulacji jej wektory, które zawiodły mnie wprost na plażę na Bahamach, stało się więc konieczne, żebym w trakcie poszukiwań od czasu do czasu na tę plażę zaglądał. Sam wolałbym, żeby sprawy miały się inaczej, gdyż jestem, niestety, uczulony zarówno na słońce, jak i na rumowe poncze, ale w końcu każdy z nas dźwiga swój krzyż, nieprawdaż, pani Sauskind?

W słuchawce nastąpił wybuch paplaniny.

- Zasmuca mnie pani, pani Sauskind. Z całego serca pragnąłbym móc pani powiedzieć, że pani sceptycyzm napełnia mnie otuchą i wigorem, lecz Bóg mi świadkiem - mimo najszczęśliwszych chęci nie mogę. On mnie drenuje z sił, pani Sauskind, dosłownie drenuje. Sądzę, że znajdzie pani na rachunku odbicie tego stanu rzeczy. Przyjrzyjmy się.

Wziął z biurka lichą, wykonaną przez kalkę kopię.

- „Wykrycie i wymierzenie za pomocą triangulacji wektorów wzajemnej łączności między wszystkim, co istnieje - sto pięćdziesiąt funtów”. To już omawialiśmy. „Podążanie za tymi ostatnimi na plażę na Bahamach, opłaty za przejazd, zakwaterowanie i wyżywienie”. Głupie piętnaście setek. Zakwaterowanie i wyżywienie były, rzecz jasna, przygnębiająco skromne. A, jest. „Drenaż w obliczu oschłego sceptycyzmu ze strony klientki: drinki - trzysta dwadzieścia siedem funtów pięćdziesiąt”. Nie byłbym poniósł tych wszystkich wydatków, gdyby wciąż nie zmuszały mnie do tego okoliczności. Niewiara w moje metody tylko utrudnia mi pracę, a co za tym idzie, niestety, pomnaża koszty.

Odgłosy kłótni na górze stawały się coraz gorętsze. Francuski głos zdawał się balansować na granicy hysterii.

- Ależ przyznaję, droga pani Sauskind - ciągnął Dirk - że koszty śledztwa wykroczyły nieco poza pierwotne szacunki, lecz pewien jestem, że i pani z kolei przyzna, iż praca, której wykonanie zajmuje mi siedem lat, musi być z całą pewnością trudniejsza od tej, którą można załatwić w jedno popołudnie, dlatego też opłata musi być odpowiednio wyższa. Zmuszony jestem nieustannie rewidować poglądy na temat stopnia trudności tego zlecenia w świetle tego, jak trudne okazało się ono do tej pory.

Paplanina w słuchawce dochodziła do stadium białej gorączki.

- Droga pani Sauskind... A może mógłbym zwracać się do pani per Joyce? No dobrze, w takim razie, droga pani Sauskind, pozwoli pani, że coś jej powiem. Niech pani nie martwi się o ten rachunek,

niech się pani nie stresuje ani nie lęka. Błagam, niech pani nie pozwoli, by stał się on dla pani źródłem niepokojów. Niech pani po prostu zaciśnie zęby i go zapłaci.

Zdjął nogi z biurka i pochylił się nad blatem, powoli, lecz nieubłaganie kierując słuchawkę w stronę widełek.

- Jak zwykle, rozmowa z panią sprawiła mi wiele przyjemności, droga pani Sauskind. A tymczasem żegnam.

W końcu odłożył słuchawkę, by za moment podnieść ją z powrotem i upuścić do kosza na papiery.

- Drogi Richardzie MacDuff - powiedział, wyciągając spod biurka wielkie płaskie pudełko i popychając je w jego stronę - oto twoja pizza.

Richard odsunął się, zaskoczony.

- Nie, dziękuję - odparł. - Już jadłem śniadanie. Proszę, ty ją zjedz.

Dirk wzruszył ramionami.

- Powiedziałem im, że zajrzysz i uregulujesz wszystko w czasie weekendu - oświadczył. - A przy okazji, witam w moim biurze.

Zatoczył ręką bliżej nieokreślony krąg obejmujący całość zapyziałego otoczenia.

- Światło działa - mówił, ręką wskazując okno. - Siła ciężenia też - dodał, upuszczając na ziemię ołówek. - Cała reszta stanowi niejakię ryzyko.

Richard odchrząknął.

- Co to właściwie jest?

- Co właściwie jest co?

- To! - wykrzyknął Richard. - To wszystko! Wygląda na to, że masz tu jakąś holistyczną agencję detektywistyczną, a ja nawet nie wiem, co to takiego.

- Świadczę unikatowe usługi - odpowiedział Dirk. - Termin „holistyczna” odzwierciedla moje przekonanie, że tym, co należy rozpatrywać przede wszystkim, jest fundamentalna wzajemna łączność między wszystkim, co istnieje...

- Tak, ten kawałek słyszałem już wcześniej - odparł Richard. - Muszę przyznać, że dla mnie brzmiało to jak dobry pretekst do naciągania łatwowiernych starszych pań.

- Naciągania? - zdumiał się Dirk. - No dobrze, przypuszczam, że mogłoby to tak wyglądać, gdyby ktoś choć raz mi zapłacił, ale zapewniam cię, drogi Richardzie, że w tym względzie nie istnieje nawet cień zagrożenia. Żyję, jak to się mówi, nadziejami. Ja mam nadzieję na jakiś fascynujący i popłatny przypadek, moja sekretarka ma nadzieję, że jej zapłacę, jej gospodarz ma nadzieję, że otrzyma jakieś komorne, zakład energetyczny ma nadzieję, że on ureguluję rachunek za energię elektryczną i tak dalej. Dla mnie to cudownie optymistyczny tryb życia. A tymczasem daję wielu czarującym, niemądrym starszym paniom trochę przyjemnych powodów do złości, gwarantując

jednocześnie ich kotom prawdziwą wolność. Czy zdarza się w tym - uprzedzę twoje pytanie, bo wiesz, jak nie znoszę, kiedy mi się przerywa - czy zdarza się w tym wszystkim choć jeden przypadek, który wymagałby zaangażowania choć minimalnej cząstki z możliwości mego intelektu, które, nie muszę ci chyba przypominać, są kolosalne? Nie. Ale czy ja rozpaczam? Czy chodzę przybity? Tak. Aż do dziś - dodał.

- No cóż, cieszy mnie to - odrzekł Richard. - Ale co ma do rzeczy ta cała gadanina o kotach i mechanice kwantowej?

Westchnąwszy ciężko, Dirk jednym pstryknięciem wprawnych palców otworzył pokrywkę kartonu z pizzą. Z niejakim smutkiem zlustrował wystygły dysk i oderwał spory kawał. Na biurko posypały się kawałeczki pepperoni i anchois.

- Pewien jestem, Richardzie - rzekł - iż znane ci jest pojęcie „kot Schrödingera” - i wepchnął większą część kawałka pizzy do ust.

- Jasne - odparł Richard. - W każdym razie mniej więcej.

- No to o co chodzi? - wymamrotał Dirk z ustami pełnymi pizzy.

Richard poprawił się, poirytowany, w swoim krześle.

- Jest to ilustracja - odpowiedział - zasady mówiącej, że na poziomie kwantowym wszystkimi zdarzeniami rządzą prawdopodobieństwa...

- Na poziomie kwantowym, a więc i na wszystkich poziomach - wtrącił Dirk. - Choć na każdym poziomie innym niż subatomowy skumulowany efekt tych prawdopodobieństw, przy normalnym trybie występowania zdarzeń, nie da się odróżnić od zwykłych, twardych praw fizyki. Proszę dalej.

Wepchnął do ust następny kawał zimnej pizzy.

Richard pomyślał, że Dirk wygląda, jakby czynność tę wykonywał zbyt często. A że do tego gadał niemal bez ustanku, jego usta wciąż były w ruchu. Uszy natomiast pozostawały prawie nie używane. Przyszło mu też do głowy, że jeśli Lamarck* [* Jean Baptiste Lamarck (1744-1829), biolog francuski, twórca pierwszej teorii ewolucji organizmów, reformator układu systematycznego zwierząt; głosił m.in., iż w zależności od potrzeb i używania jedne organy zanikają, inne zaś wzmacniają się i rozwijają.] ma rację, to takie postępowanie - gdyby potrwało przez pokolenia - musiałyby spowodować dość radykalne przemeblowanie we wnętrzu czaszki.

- Nie chodzi tylko o to - ciągnął - że na poziomie kwantowym zdarzeniami rządzą prawdopodobieństwa, ale i o to, że owe prawdopodobieństwa nie przekształcają się w rzeczywiste zdarzenia, dopóki nie zostaną zmierzone. Albo też, żeby użyć frazy, którą usłyszałem tu w dość niespodziewanym kontekście, dokonanie pomiaru załamuje postać falową prawdopodobieństwa. Nic nie jest ściśle określone. Dopóki nie zostanie zmierzone.

- Mniej więcej - pokiwał głową Dirk, odgryzając następny kęs. - Ale co z kotem?

Richard doszedł do wniosku, że tylko wtedy nie będzie musiał patrzeć na to, jak Dirk pożera resztę pizzy, kiedy zje ją sam. Zwinął pozostałą część placka i uszczknął na próbę niewielki kęs. Nie była

taka zła. Ugryzł solidniejszy kęs.

Dirk przyglądał się temu z dreszczem konsternacji.

- Tak więc - mówił Richard - w doświadczeniu z kotem Schrödingera chodziło o to, aby wyobrazić sobie, w jaki sposób efekt zachowań probabilistycznych na poziomie kwantowym może być brany pod uwagę na poziomie makroskopowym. Inaczej mówiąc: na poziomie życia codziennego.

- Inaczej mówiąc, tak - potwierdził Dirk, odprowadzając resztkę pizzy spojrzeniem pełnym żalu. Richard odgryzł kolejny kęs i ciągnął radośnie:

- Zatem wyobrażamy sobie, że bierzemy kota i umieszczamy go w szczelnie zamkniętym pudle. W tym samym pudle umieszczamy też bryłkę materiału radioaktywnego i fiolkę z trującym gazem. Ustawiamy to wszystko tak, że istnieje pięćdziesięcioprocentowa szansa na to, że w radioaktywnej bryłce rozpadnie się atom i wyemituje elektron. Jeśli rzeczywiście się rozpadnie, wywoła uwolnienie gazu z fiolki i zabije kota. Jeśli nie, kot będzie żywy. Fifty-fifty. Wszystko zależy od tego, czy atom się rozpadnie czy nie. Jak mi się wydaje, chodzi o to, że skoro rozpad pojedynczego atomu na poziomie kwantowym jest wydarzeniem, którego nie da się określić, dopóki się go nie zaobserwuje, i skoro nie dokonamy tej obserwacji, dopóki nie otworzymy pudła i nie przekonamy się, czy kot jest żywy czy martwy, to wynika nam z tego dość niezwykły wniosek. Dopóki nie otworzymy pudła, kot jako taki istnieje w stanie nieokreślonym. Możliwość, że jest martwy, i możliwość, że jest żywy, to dwie różne postacie falowe prawdopodobieństwa, które nakładają się na siebie we wnętrzu pudła. Schrödinger wykorzystał ten pomysł, żeby zilustrować to, co w teorii kwantowej uznał za absurdalne.

Dirk wstał i podreptał do okna, prawdopodobnie nie dla nędznego widoku, jaki oferowało - stary magazyn, na który jakiś alternatywny komik wydawał swe ogromne gaże z reklam piwa, chcąc przeistoczyć go w luksusowe apartamenty - co raczej dla braku widoku, jaki oferowało - braku widoku niknącego ostatniego kawałka pizzy.

- No właśnie - powiedział. - Brawo!

- Ale co to ma wspólnego z tą... z tą agencją detektywistyczną?

- A, o to ci chodzi. Otóż kiedyś pewni naukowcy przeprowadzali taki właśnie eksperyment, ale kiedy otworzyli pudło, kot nie był ani żywy, ani martwy, bo w ogóle go w środku nie było, więc wezwali mnie, żebym zbadał tę sprawę. Z mojej dedukcji wynikało, że nie wydarzyło się tam nic szczególnie dramatycznego. Kot miał po prostu dość tego, że go ciągle wsadzają do pudła i od czasu do czasu traktują gazem, skorzystał więc z pierwszej nadarzającej się okazji i wybył przez okno. Cała robota nie zajęła mi więcej niż chwilę. Postawiłem przy oknie spodeczek mleka i zawołałem nęcąco: „Bernice!” - bo kot, rozumiesz, wabił się Bernice...

- Zaraz, czekaj chwilę... - próbował wtrącić się Richard.

-...i kot wkrótce się odnalazł. Sprawa dość prosta, ale jak się wydaje, w pewnych kręgach wywarła spore wrażenie i tak od zdarzenia do zdarzenia zaowocowała świetlaną karierą, której jesteś świadkiem.

- Czekaj no, czekaj no - nie ustępował Richard, uderzając dłonią o blat biurka.

- Coś nie tak? - zdziwił się niewinnie Dirk.

- Dirk, o czym ty właściwie gadasz, co?

- Coś ci się nie spodobało w tym, co mówiłem?

- Właściwie to sam nie wiem, od czego zacząć - protestował Richard. - No dobra. Powiedziałeś, że jacyś ludzie wykonywali ten eksperyment. To bzdury. Kot Schrödingera to nie jest prawdziwy eksperyment. To tylko ilustracja mająca służyć jako argument w dyskusji. Tego się nie robi naprawdę.

Dirk przyglądał mu się z niespodziewaną uwagą.

- Tak powiadasz? - odezwał się w końcu. - A dlaczego nie?

- No jak to, przecież nie ma tam nic do sprawdzania. Chodzi tu tylko o to, aby zastanowić się nad tym, co się zdarzy, zanim dokona się obserwacji. Bez zaglądania nie wiesz, co się dzieje we wnętrzu pudła, a w momencie, gdy tam zaglądasz, pakiet fal załamuje się i prawdopodobieństwa się urzeczywistniają.

- Ze swojego punktu widzenia masz oczywiście absolutną rację - odparł Dirk, wracając na swoje krzesło. Wyciągnął z paczki papierosa, kilka razy stuknął nim w blat biurka, potem przechylił się i wycelował filtrem w Richarda.

- Ale pomyśl o tym w ten sposób - ciągnął. - Załóżmy, że wprowadzą do eksperymentu medium, kogoś ze zdolnością do jasnowidzenia - kogoś, kto będzie w stanie przeczuć, jaki jest stan zdrowia kota bez otwierania pudła. Kogoś, kto ma niezwykły dar empatii w stosunku do kotów. Co wtedy? Czy to nie jest możliwość uzyskania dodatkowego wglądu w problemy fizyki kwantowej?

- Czy to właśnie chcieli uzyskać?

- To właśnie uzyskali.

- Dirk, to są kompletne bzdury! Dirk wyzywająco uniósł brwi.

- No dobra. No dobra - powiedział Richard, w geście asekuracji unosząc w górę dłonie. - Przyjrzyjmy się temu dokładniej. Nawet gdybym przyjął - a nie przyjmuję nawet na sekundę - że istnieją jakieś podstawy do wiary w jasnowidzenie, nie zmienia to w żadnym razie fundamentalnego faktu, a mianowicie, że ten eksperyment jest niewykonalny. Jak już mówiłem, liczy się tu tylko i wyłącznie to, co dzieje się w pudle, zanim dokonamy obserwacji. I nie ma najmniejszego znaczenia, czy tej obserwacji dokonujemy za pomocą wzroku czy - no cóż, jeśli się upierasz - umysłu. Jeżeli jasnowidzenie rzeczywiście działa, to jest tylko innym sposobem zajrzenia do pudła, a jeśli nie, to w ogóle nie ma o czym mówić.

- Zależy, rzecz jasna, z jakiej strony popatrzeć na jasnowidzenie...

- Doprawdy? A z jakiej strony ty patrzysz? Znając twoją historię, bardzo byłbym ciekaw.

Dirk jeszcze raz postukał papierosem w biurko i spojrzał z ukosa na Richarda.

Nastąpiła przedłużająca się chwila ciszy, zakłócona tylko odległymi odgłosami francuskiego płaczu.

- Patrzę na to tak samo jak zawsze - odpowiedział w końcu Dirk.

- To znaczy?

- Nie jestem jasnowidzącym.

- Naprawdę? - zdziwił się Richard. - A co z tymi pytaniami na egzamin?

Na tę wzmiankę oczy Dirka nieco pociemniały.

- Zbieg okoliczności - powiedział cicho, lecz gwałtownym tonem. - Dziwny i zatrważający, ale mimo wszystko zbieg okoliczności. Taki, należałoby dodać, który kosztował mnie dość długi pobyt w więzieniu. Zbiegi okoliczności potrafią być naprawdę przerażające i niebezpieczne.

Dirk obrzucił Richarda długim, taksującym spojrzeniem.

- Obserwowałem cię uważnie - rzekł. - Wydajesz się bardzo wyluzowany, jak na człowieka w twojej sytuacji.

Uwaga ta zdała się Richardowi dość szczególna i przez moment próbował wyłowić z niej jakiś sens. W końcu coś zaczęło mu świtać, lecz nie było to specjalnie przyjemne światło.

- Dobry Boże - rzekł. - Chyba mi nie powiesz, że ciebie też dopadł?

Ta uwaga z kolei zadziwiła Dirka.

- Kto mnie dopadł? - spytał.

- Gordon. Nie, oczywiście, że nie. Gordon Way. Ma taki zwyczaj, że próbuje przez różnych ludzi wywierać na mnie presję, ażeby siedział nad tym, co on uznaje za ważną robotę. Przez chwilę wydawało mi się... Nieważne. A co ty w takim razie miałeś na myśli?

- A... Gordon Way ma taki zwyczaj, czy tak?

- Tak. Nie lubię tego. A co?

Dirk długo i twardo wpatrywał się w Richarda, stukając lekko ołówkiem w biurko.

Potem odchylił się na krześle i oświadczył, co następuje:

- Dziś, tuż przed świtem, znaleziono zwłoki Gordona Waya. Został zastrzelony, uduszony, a potem podpalono mu dom. Policja jest zdania, że nie został zastrzelony w domu, ponieważ poza śrutem tkwiącym w jego ciele nie znaleziono tam żadnych śladów wystrzału. Śrut odnaleziono jednakże w pobliżu samochodu marki Mercedes 500 SEC, należącego do pana Waya, a porzuconego w odległości trzech mil od jego domu. Sugeruje to, że ciało zostało po śmierci przemieszczone. Co więcej, lekarz, który badał zwłoki, twierdzi, że pan Way został uduszony dopiero po zastrzeleniu, co wskazuje na swego rodzaju pomieszczenie w umyśle zbrojcy. Zaskakującym zbiegiem okoliczności okazało się, że policja ubiegłej nocy miała okazję przesłuchać pewnego na pierwszy rzut oka bardzo zmieszanego pana, który twierdził, że męczy go poczucie winy, ponieważ właśnie przejechał swego pracodawcę. Mężczyzną tym był niejaki Richard MacDuff, jego pracodawcą zaś okazał się denat, pan

Gordon Way. Sugeruje się, że pan Richard MacDuff jest jednym z dwojga ludzi, którzy najprawdopodobniej skorzystają na śmierci pana Waya, ponieważ WayForward Technologies niemal na pewno przejdą częściowo w jego ręce. Drugą z tych osób jest jedyna żyjąca krewna denata, panna Susan Way, do której mieszkania, jak zaobserwowano, włamał się wczorajszej nocy pan Richard MacDuff. O tym, rzecz jasna, policja nie ma pojęcia. I jeśli to będzie od nas zależało, nie będzie miała. Niemniej z całą pewnością zbada dokładnie wszelkie związki pomiędzy tymi dwiema osobami. We wszystkich serwisach radiowych powtarzany jest komunikat, iż pan Richard MacDuff jest pilnie poszukiwany w celu złożenia wyjaśnień, ale z tonu głosu wynika niezbicie, że jest winny jak wszyscy diabli.

Moja taryfa opłat przedstawia się następująco: dwieście funtów dziennie plus wydatki. Wydatki nie podlegają dyskusji i tym, którzy się na tym nie znają, mogą czasem wydać się niezbyt mocno związane z przedmiotem sprawy. Są jednak niezbędne i jak już mówiłem, nie podlegają dyskusji. Czy mam tę robotę?

- Przepraszam - odparł Richard z lekkim skinieniem głowy. - Czy mógłbyś zacząć jeszcze raz od początku?

Rozdział siedemnasty

Elektryczny mnich już sam nie wiedział, w co wierzyć.

W ciągu ostatnich kilku godzin przeszedł przez oszalamiającą różnorodność wierzeń, jednak większość z nich nie zdołała zapewnić mu tej długotrwałej duchowej pociechy, do której wieczyście dążyć nakazywało mu jego własne oprogramowanie.

Miał tego szczerze dość. Był zmęczony. I bardzo zniechęcony.

Co więcej - a było to dlań zupełną niespodzianką - tęsknił za swoim koniem. Było to tępe i czysto fizyczne zwierzę, to jasne, i jako takie niewarte, by zajmować myśli komuś, kto umysł swój na wieki poświęcił wyższemu celom, niepojętym dla prostego konia - niemniej mnich za nim tęsknił.

Chciał na nim siedzieć. Chciał go poklepać. Chciał poczuć, że tamten nic nie rozumie.

Zastanawiał się, gdzie też może się on podziewać.

Niepocieszony, zwiesił nogę z konara drzewa, na którym spędził noc. Wspiął się na nie w pogoni za jakimś najdzikszym urojeniem, utknął i musiał zostać tu do rana.

Nawet teraz, w świetle poranka, nie był pewien, czy uda mu się stąd zejść. Przez chwilę balansował niebezpiecznie na krawędzi wiary w to, że potrafi latać, lecz włączył się przyśpieszony program wykrywania błędów i kazał mu się nie wygłupiać.

Niemniej problem pozostał.

I czegokolwiek by dotyczył ten buchający płomień wiary, który pogał go w górę, uskrzydłonego nadzieją, po tych konarach w magicznej godzinie nocy, nie pozostawił mu, niestety, żadnych instrukcji w kwestii zejścia na dół, kiedy, jak tyle innych nocnych wierzeń, zniknął o poranku.

A skoro już mowa - a raczej myśl - o buchających płomieniach, to niedaleko stąd coś tam buchało

dość sporym płomieniem tuż przed samym świtem.

Buchało mniej więcej w miejscu, z którego on sam przybył, wleczony głębokim duchowym przymusem, do tego niebezpiecznie wysokiego, lecz pod każdym innym względem przygnębiająco zwyczajnego drzewa. Jakże pragnął pobiec, by czcić święty płomień, polecieć się na wieki boskiemu blaskowi - ale kiedy miotał się beznadziejnie, próbując znaleźć wśród konarów jakąś drogę w dół, przyjechały wozy strażackie i położyły kres niebiańskiej jasności, a jemu przyszło wyrzucić za okno kolejne credo.

Słońce świeciło już od kilku godzin i choć zapełniał sobie czas najlepiej, jak mógł, wierząc w chmury, wierząc w drobne gałązki, wierząc w pewną szczególną postać latającego chrząszcza, wierzył też, że ma już tego wszystkiego kompletnie dość, i był dogłębnie przekonany, że chce mu się jeść.

Żałował, że nie był na tyle przezorny, żeby wziąć ze sobą coś do jedzenia z tamtej sadyby, którą odwiedził w nocy i do której zaniósł swoje uświęcone brzemie, aby pogrzebać je w świętej szafce na szczotki, ale opuścił to miejsce tknięty nagłym porywem pasji, wierząc, że tak doczesne sprawy jak pożywienie nie będą mu doskwierać, gdyż drzewo zapewni mu wszystko.

Właściwie zapewniło.

Zapewniło mnóstwo drobnych gałązek.

Mnichy nie jadają gałązek.

Prawdę mówiąc, gnębiło go kilka wątpliwości względem tego, w co wierzył wczorajszej nocy, a kilka wynikłych z tej wiary konsekwencji przyprawiało go o lekką konsternację. Całkiem wyraźnie nakazano mu, aby „strzelał”, a on czuł głęboki wewnętrzny przymus, aby rozkaz ten wypełnić, ale może popełnił błąd, reagując tak pochopnie na polecenie wydane w języku, którego tylko co się nauczył. Z całą zaś pewnością reakcja osoby, do której strzelił, wydała mu się nieco ekstremalna.

W jego świecie ludzie, do których w ten sposób strzelano, powracali po tygodniu, by wziąć udział w następnym epizodzie, ale ta osoba nie sprawiała wrażenia, jakby miała postąpić w ten utarty sposób.

Przez drzewo przeleciał podmuch wiatru i sprawił, że zachwiało się niepokojąco. Mnich zszedł trochę niżej. Z początku szło mu łatwo, gdyż gałęzie rosły dość blisko siebie. To właśnie ostatni odcinek wydawał się przeszkodą nie do przebycia - oznaczał po prostu upadek, który kosztowałby go poważne uszkodzenie mechanizmu lub przebicie, co z kolei mogłoby sprawić, że zacząłby wierzyć w naprawdę dziwne rzeczy.

Nagle jego uwagę przyciągnęły dobiegające z przeciwległego krańca łąki ludzkie głosy. Przy skraju drogi przystanęła ciężarówka. Przez chwilę przyglądał się jej uważnie, lecz nie dostrzegł nic na tyle ciekawego, by można zacząć w to wierzyć, powrócił zatem do swej introspekcji.

Pamiętał, że poprzedniego wieczoru dała o sobie znać jakaś dziwna funkcja, z którą nie zetknął się nigdy wcześniej, ale miał poczucie, że to mogło być coś, co, jak słyszał, nazywają wyrzutami sumienia. Wcale nie czuł się dobrze, widząc, jak osoba, do której właśnie strzelił, tak leży i leży, więc oddaliwszy się najpierw, wkrótce wrócił, żeby jeszcze raz rzucić na nią okiem. Wyraz jej twarzy zdecydowanie wskazywał na to, że coś jest nie tak, że to, co się stało, wykraczało poza

ogólnie przyjęty schemat wydarzeń. Mnich martwił się, że mógł temu komuś paskudnie zepsuć wieczór.

Najważniejsze jednak, aby robić to, co człowiek uznaje za słuszne.

Następnie więc uznał za słuszne, że skoro już zepsuł tamtej osobie wieczór, powinien przynajmniej odtransportować ją do domu. Przeszukawszy błyskawicznie jej kieszenie, odnalazł adres, jakieś mapy i jakieś klucze. Wyprawa była dość mozolna, lecz wiara dodawała mu sił.

Niespodziewanie nad łąką przepłynęło słowo „łazienka”.

Ponownie przeniósł wzrok na stojącą w oddali ciężarówkę. Stał tam jakiś mężczyzna w niebieskim mundurze, który wyjaśniał coś innemu mężczyźnie w kombinezonie roboczym, który z kolei wydawał się z czegoś wyraźnie niezadowolony. Z wiatrem nadpłynęły słowa „dopóki nie znajdziemy właściciela” oraz „kompletnie stuknięty, to jasne”. Człowiek w roboczym kombinezonie najwyraźniej przystał na całą tę sytuację, ale nie był nią specjalnie zachwycony.

Kilka chwil później z ciężarówki wyprowadzono na łąkę konia. Mnich zamrugał, zaskoczony. Jego obwody zdrząły w przyływie radosnego zdumienia. W końcu zdarzyło się coś, w co warto uwierzyć, najprawdziwszy cud, długo oczekiwana nagroda za jego bezgraniczną, choć może i chaotyczną wiarę.

Koń cierpliwie i bez narzekań szedł stępą. Od dawna przywykł pozostawać tam, gdzie mu nakazano, ale przynajmniej tym razem to mu nie przeszkadzało. Oto mamy, myślał, przyjemną łąkę. Oto mamy trawę. Oto mamy żywopłot, któremu można się przyglądać. Jest tu wystarczająco dużo przestrzeni, żeby można było przejść w lekki kłus, jeśli poczuje się taką potrzebę. Istoty ludzkie odjechały, pozostawiając go samemu sobie, z czego był raczej zadowolony. Koń przebiegł lekkim truchtem po łące, a potem, dla czystej przyjemności, stanął. Mógł robić, co mu się żywnie podoba.

Co za rozkosz.

Ogromna rozkosz, do jakiej nie nawykł.

Niespiesznie zlustrował wzrokiem całą przestrzeń, a potem postanowił zaplanować sobie miły, relaksujący dzień. Niedługi kłus, pomyślał, nieco później, może w okolicach trzeciej. Potem trochę sobie poleżymy gdzieś po wschodniej stronie łąki, gdzie trawa jest gęstsza. Miejsce wyglądało na odpowiednie, żeby pomyśleć tam o kolacji.

Lunch można by spożyć na południowym krańcu łąki, gdzie przepływał niewielki strumień. Lunch przy strumieniu, wielkie nieba! Toż to ekstaza.

Spodobał mu się też pomysł, aby spędzić pół godziny, spacerując na przemian najpierw na lewo, a potem na prawo, bez wyraźnego powodu. Nie wiedział jeszcze, czy czas pomiędzy drugą a trzecią spędzi na machaniu ogonem czy na przemyśliwaniu tego i owego.

Rzecz jasna, zawsze może robić obie te rzeczy naraz, jeśli taką będzie miał ochotę, a pokłusować sobie trochę później. Wypatrzył właśnie kawałek żywopłotu, bardzo dogodny do obserwacji, a to obiecywało miłe zajęcie na przedobiednią godzinkę.

Dobra.

Cudowny plan.

A najlepsze w nim jest to, że teraz, kiedy już był gotowy, koń mógł go kompletnie zignorować. Zamiast tego poszedł postać sobie leniwie pod jedynym drzewem, jak tu rosło.

A spomiędzy gałęzi tego drzewa spadł na jego grzbiet elektryczny mnich, z okrzykiem, który podejrzenie przypominał „Geronimo!”

Rozdział osiemnasty

Dirk Gently jeszcze raz omówił wszystkie najważniejsze szczegóły, podczas gdy świat Richarda MacDuffa z wolna i w milczeniu zapadał się w głąb ciemnego i lodowatego morza, którego istnienia nawet nie podejrzewał, a które czekało cierpliwie tuż pod jego stopami. Kiedy Dirk skończył po raz wtóry, pokój pogrążył się w ciszy. Richard wpatrywał się nieporuszenie w twarz kolegi.

- Gdzie to słyszałeś? - wykrztusił w końcu.

- W radiu - odparł Dirk z lekkim wzruszeniem ramion. - W każdym razie najważniejsze punkty. Rzecz jasna, podają to we wszystkich wiadomościach. A szczegóły? No cóż, kilka dyskretnych pytań tu i ówdzie, parę kontaktów. Znam tego czy owego na posterunku w Cambridge, z przyczyn, których nie muszę ci chyba wyjaśniać.

- Sam już nie wiem, czy powinienem ci wierzyć - powiedział cicho Richard. - Czy mogę skorzystać z telefonu?

Dirk uprzejmie wyjął słuchawkę z kosza na papiery i wręczył ją Richardowi. Ten wykręcił numer Susan.

Telefon odebrano niemal natychmiast i przestraszony głos powiedział:

· Halo?

· Susan, tu Ri...

- Richard! Gdzie jesteś? Gdzie jesteś, na miłość boską!? Czy nic ci nie jest?

- Nie mów jej, gdzie jesteś - odezwał się Dirk.

- Susan, co się stało?

- To ty nic...

- Ktoś mi mówił, że coś się przydarzyło Gordonowi, ale...

- Coś się przydarzyło? On nie żyje, Richardzie, został zamordowany...

- Odłóż słuchawkę - powiedział Dirk.

- Susan, posłuchaj, ja...

- Odłóż słuchawkę - powtórzył Dirk, po czym pochylił się i przycisnął widełki telefonu.
 - Policja najprawdopodobniej sprawdzała już linię - wyjaśnił. Zdjął słuchawkę z widełek i znów wrzucił ją do kosza.
 - Ależ ja muszę pójść na policję! - wykrzyknął Richard.
 - Pójść na policję?
 - A cóż innego mógłbym zrobić? Muszę pójść na policję i powiedzieć, że to nie ja.
 - Powiedz im, że to nie ty? - powtórzył z niedowierzaniem Dirk. - No cóż, myślę, że to powinno wszystko załatwić. Szkoda, że doktor Crippen nie wpadł na ten pomysł. Oszczędziłby sobie kłopotów.
 - Ależ on był winny!
 - Tak, tak to przynajmniej wyglądało. Tak też na razie wygląda w twoim przypadku.
 - Ależ na litość boską, ja tego nie zrobiłem!
 - Pamiętaj, że rozmawiasz właśnie z kimś, kto przesiedział jakiś czas w więzieniu za coś, czego nie zrobił. Powiedziałem ci już, że zbiegi okoliczności potrafią być dziwne i niebezpieczne. Wierz mi, o wiele lepiej będzie znaleźć żelazny dowód na to, że jesteś niewinny, niż gnić w celi, łudząc się nadzieją, że znajdzie go policja, która już uznała cię za winnego.
 - Nie potrafię zebrać myśli - powiedział Richard, przykładając dłoń do czoła. - Zamilknij na chwilę i pozwól mi przemyśleć to wszystko...
 - Jeśli mógłbym...
 - Daj pomyśleć!
- Dirk wzruszył ramionami i całą uwagę skierował na papierosa, który z niewiadomych powodów najwyraźniej go martwił.
- Nic z tego - oświadczył po długim namyśle Richard, potrząsając głową. - Nic do mnie nie dociera. To tak, jakby robić zadanie z trygonometrii, kiedy ktoś kopie cię w głowę. OK, powiedz, co według ciebie powinienem zrobić.
 - Hipnozę.
 - Co?!
 - Nic dziwnego, że w tych okolicznościach nie jesteś w stanie zebrać myśli. Jest jednakże sprawą najwyższej wagi, aby zostały one zebrane. Będzie więc znacznie prościej dla nas obu, jeśli pozwolisz mi się zahipnotyzować. Żywię silne podejrzenie, że w twojej głowie aż roi się od informacji, które nie zdołają wyjść na światło dzienne, jeśli nie przestaniesz nią potrząsać - które nigdy nie zdołają wyjść na światło dzienne, ponieważ nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo są istotne. Z twoim pozwoleniem moglibyśmy przejść przez to wszystko na skróty.

- No cóż, w takim razie postanowione - oznajmił Richard, podnosząc się z krzesła. - Idę na policję.

- Świetnie - rzucił Dirk, odchylając się do tyłu i opierając dłonie na blacie biurka. - Życzę najlepszego ze szczęść. Może byłbyś uprzejmy powiedzieć po drodze mojej sekretarce, żeby podrzuciła mi jakieś zapalki.

- Nie masz sekretarki - odpowiedział Richard i wyszedł. Dirk siedział i rozmyślał nad czymś przez kilka sekund, dokonał dzielnej, lecz bezowocnej próby wepchnięcia do kosza smętnie pustego kartonu po pizzy, po czym ruszył w stronę szafki na poszukiwanie metronomu.

Richard wyszedł, mrugając, na światło dzienne. Przez chwilę stał, kiwając się lekko, na najwyższym stopniu schodów, po czym zanurzył się w ruch uliczny dziwnym, jakby tanecznym krokiem, który odzwierciedlał płas jego myśli. Z jednej strony nie mógł uwierzyć, że dowody nie wskażą jasno i wyraźnie, iż nie on popełnił to morderstwo - z drugiej zaś nie mógł nie przyznać, że wszystko to razem wygląda dosyć szczególnie.

Przekonał się, że nie potrafi myśleć jasno ani racjonalnie. Umysł ciągle świdrowała mu myśl, że Gordon został zamordowany, wprawiając tym samym wszystkie inne myśli w stan kompletnego bezładu i rozproszenia.

Przemknęło mu przez głowę, że ten, kto to zrobił, musiał być cholernie szybkim strzelcem, skoro zdążył nacisnąć spust, zanim dotarła do niego fala poczucia winy, ale natychmiast pożałował tej myśli.

Prawdę mówiąc, nie był zachwycony tym, co mu przychodziło do głowy. Wydawało się nie na miejscu, niegodne i w większości dotyczyło tego, jak teraz będą się przedstawiać jego perspektywy w firmie.

Szukał w sobie jakiegoś poczucia żalu czy głębokiego smutku, bo zakładał, że gdzieś przecież musi tam być, ukryte pewnie za wielką ścianą szoku.

Dotarł już w okolice, skąd widać było Isligton Green, prawie nie zauważywszy odległości, jaką przebył. Niespodziewany widok policyjnego radiowozu zaparkowanego przed jego własnym domem zdzielił go jak obuchem w głowę. Obrócił się na pięcie i z rozpaczliwym skupieniem zapatrzył się w menu, wystawione w oknie greckiej restauracji.

Dolmady - myślał gorączkowo.

Souvlaki - myślał.

Małe, pikantne greckie kiełbaski - przebiegło mu pospiesznie przez myśl. Oczyma duszy próbował zrekonstruować sytuację, żeby nie musieć się odwracać. Stał tam jakiś policjant, który obserwował ulicę, a w dodatku, o ile sobie przypominał, boczne drzwi wejściowe, które prowadziły do jego mieszkania, stały teraz otworem.

W jego mieszkaniu była policja. W jego mieszkaniu! Fassolia plaki! Pożywna miseczka gotowanej fasoli w pomidorowo-warzywnym sosie!

Zezował skrycie na wszystkie strony, żeby dojrzeć coś przez ramię. Policjant patrzył wprost na niego.

Przerzucił wzrok z powrotem na menu i próbował wypełnić myśli drobno zmielonym mięsem z dodatkiem ziemniaka, tartej bułki, cebuli i przypraw ziołowych, utoczonym w nieduże kulki i usmażonym. Policjant z pewnością go rozpoznał i gna teraz przez ulicę, żeby złapać go za ramiona i powlec Bóg wie dokąd w radiowozie, tak jak zrobili to z Dirkiem dawno temu w Cambridge.

Przygotował ramiona na wstrząs, lecz nie pojawiła się żadna ręka, która miałaby za nie złapać. Jeszcze raz zerknął za siebie, ale policjant patrzył obojętnie w drugą stronę. Stifado.

Dla Richarda było zupełnie jasne, że raczej nie zachowuje się jak ktoś, kto przyszedł oddać się w ręce policji.

Ale cóż innego mógł zrobić?

Czyniąc sztywne i niezgrabne próby, by poruszać się naturalnie, oderwał się od okna, spięty przeszedł kawałek w dół ulicy, po czym forsownym marszem i z zadyszką wskoczył błyskawicznie z powrotem w Camden Passage. Gdzie mógłby pójść? Do Susan? Nie - dom jest pełen policji albo pod obserwacją. Do biura WFT na Primrose Hill? Nie - z tych samych przyczyn. Dlaczego, na litość boską - wrzasnął na siebie bezgłośnie - zaczął się nagle zachowywać jak zbieg?

Upierał się przed sobą, tak jak przedtem upierał się przed Dirkiem, że nie powinien uciekać przed policją. Policja - powtarzał sobie, jak uczono go w dzieciństwie - jest po to, żeby pomagać słabszym i bronić niewinnych. Ta myśl popchnęła go do szaleńczego biegu, w związku z czym omal nie zderzył się z dumnym właścicielem nowo zakupionej brzydkiej edwardiańskiej lampy stojącej.

- Przepraszam - rzucił - bardzo przepraszam. - Zdumiał się, że ktoś mógł coś takiego zechcieć, po czym zwolnił kroku, rzucając na boki ukradkowe spojrzenia ściganej zwierzyny. Znajome sklepy, pełne starego polerowanego brązu, starego polerowanego drewna i obrazków z japońskimi rybkami, nagle wydały mu się agresywne i groźne.

Któż mógłby chcieć zabić Gordona? Ta myśl spadła nań jak grom, kiedy skręcał w Charlton Place. Do tej pory obchodził go tylko fakt, że to nie był on.

No to kto?

To było coś nowego.

Wielu ludzi nie przepadało za Gordonem, ale jest ogromna różnica między tym, że się kogoś nie lubi - może nawet nie znosi - a tym, że się do niego strzela, potem go dusi, a potem wlecze przez pola i podpala mu dom. Dzięki tej różnicy ogromna większość ludzi może przeżyć każdy kolejny dzień.

Czy to był zwykły rabunek? Dirk nie wspominał, żeby cokolwiek zginęło, ale z drugiej strony wcale go o to nie pytał.

Dirk. Obraz jego absurdalnej, lecz dziwnie władczej postaci, rozpartej jak wielka ropucha w nędznym biurze, uparcie wkładał się w myśli Richarda. Zdał sobie sprawę, że wraca po własnych śladach, i z rozmysłem nakazał sobie skręcić w prawo zamiast w lewo.

Tędy droga do szaleństwa.

Potrzebował trochę przestrzeni, odrobiny czasu, żeby poukładać i pozbierać myśli.

W porządku - no to gdzie teraz idzie? Zatrzymał się na chwilę, zawrócił, a potem znów się zatrzymał. Myśl o dolmadach wydała mu się nagle nader atrakcyjna; niewykluczone, że najbardziej spokojnym, opanowanym i sensownym działaniem byłoby wrócić się i je zjeść. Tym samym pokazałby Losowi, kto tu jest szefem.

Ale Los zaangażował się teraz w dokładnie to samo działanie. To znaczy - nie siedział może w greckiej knajpce i nie zjadał dolmadów, ale równie dobrze mógłby tak zrobić, bo najwyraźniej on tu rządził. Nogi nieugięte powiodły Richarda z powrotem przez kręte uliczki nad kanałem.

Zatrzymał się na krótko przed narożnym sklepem, przemknął pospiesznie obok bloków komunalnych, przez okolice potencjalnego rozwoju budowlanego, aż stanął ponownie przed numerem 33 Peckender Street. I w tym samym mniej więcej czasie, kiedy Los nalewałby sobie reszkę retsiny, ocierał usta i zastanawiał się, czy zostało mu jeszcze trochę miejsca na baklavas, Richard gapił się w górę na wysoką, czerwonawą, wiktoriańską kamienicę, na pociemniałe od sadzy cegły i ciężkie, posępne okna. Przez ulicę przeleciał powiew wiatru, a na Richarda wpadł jakiś mały chłopiec.

- Odpieprz się - zaćwierkał chłopiec, potem zatrzymał się na chwilę i spojrzał na niego uważniej.

- Ej, panie - dodał - mogę wziąć pana kurtkę?

- Nie - odparł Richard.

- Dlaczego? - spytał chłopiec.

- Bo mi się podoba.

- Nie wiem czemu - mruknął chłopiec. - Odpieprz się. - Przygarbiony, powlókł się melancholijnie ulicą, po drodze kopnąwszy kamień w stronę kota.

Richard po raz drugi tego dnia wszedł do środka, niespokojnie wspiał się po schodach i zajrzał do biura.

Przy biurku siedziała sekretarka Dirka z opuszczoną głową i założonymi ramionami.

- Mnie tu nie ma - powiedziała.

- Rozumiem - odrzekł Richard.

- Wróciłam tylko po to - mówiła, nie podnosząc wzroku, który utkwiała gniewnie w jakimś punkcie na blacie biurka - żeby się upewnić, iż on zauważy, że mnie nie ma. W przeciwnym razie mógłby po prostu zapomnieć.

- Czy jest u siebie?

- A kto to wie? A kogo to obchodzi? Lepiej niech pan zapyta kogoś, kto dla niego pracuje, bo ja już przestałam.

- Wprowadź go! - zahuczał głos Dirka.

Spojrzała groźnie, podniosła się, podeszła do drugich drzwi, otworzyła je jednym szarpnięciem, rzuciła do środka:

- Sam go sobie wprowadź! - Zatrzasnęła drzwi z powrotem i usiadła na swoim miejscu.

- A gdybym tak sam się wprowadził? - zasugerował Richard.

- Ja pana nie słyszę - oznajmiła eks-sekretarka Dirka, stanowczo wpatrując się w blat biurka. - Jak mam pana słyszeć, skoro mnie tu nie ma?

Richard wykonał pojednawczy gest, który jednak został zignorowany, a następnie przeszedł obok eks-sekretarki i sam otworzył sobie drzwi do pokoju Dirka. Zaskoczony stwierdził, że pomieszczenie pogrążone jest w półmroku. W oknach zaciągnięto rolety, a Dirk siedzi rozparty w swoim krześle, z twarzą oświetloną przez dziwaczny zestaw przedmiotów, ustawionych przed nim na biurku. Na jednym z brzegów biurka stała stara szara lampa rowerowa, skierowana tak, by słaby strumień światła padał na metronom, który tykał miękko, kołysząc się w przód i w tył, a do metalowego pręta przywiązaną miał wypolerowaną do błysku srebrną łyżeczkę.

Richard cisnął na stół parę pudełek zapalek.

- Usiądź, rozluźnij się i patrz nieprzerwanie na łyżeczkę - powiedział Dirk. - Czujesz, że ogarnia cię senność...

Przed mieszkaniem Richarda zatrzymał się z wizgiem opon jeszcze jeden policyjny samochód i wysiadł z niego mężczyzna o posępnej twarzy, który następnie podszedł energicznym krokiem do posterunkowego pełniącego służbę na zewnątrz i błysnął ku niemu legitymacją.

- Detektyw-inspektor Mason z Urzędu Śledczego hrabstwa Cambridge - oznajmił. - Tu mieszka MacDuff?

Posterunkowy skinął głową i zaprowadził go do bocznego wejścia, które wiodło do długiej wąskiej klatki schodowej. Mason wpadł pośpiesznie do środka, zaraz też równie pośpiesznie stamtąd wypadł.

- W połowie schodów jest jakaś kanapa - oznajmił posterunkowemu. - Ruszcie ją stamtąd.

- Chłopcy już próbowali, panie inspektorze - odrzekł z wahaniem posterunkowy. - Wygląda na to, że utknęła na amen. Na razie każdy musi przełazić górą. Bardzo mi przykro, panie inspektorze.

Mason obrzucił go kolejnym ponurym spojrzeniem z bogatego repertuaru, jaki sobie wypracował, a jaki rozciągał się od doprawdy mrocznej posępności po zmęczoną rezygnację o lekko tylko ponurym zabarwieniu, którą rezerwował wyłącznie na urodziny własnych dzieci.

- Ruszcie ją stamtąd - powtórzył ponuro i ponuro wpadł pośpiesznie z powrotem, ponuro podciągając spodnie i płaszcz w przewidywaniu ponurej wspinaczki po schodach.

- Nie pokazał się jeszcze? - zapytał kierowca samochodu, podchodząc do posterunkowego. - Sierżant Gilks - przedstawił się. Wyglądał na zmęczonego.

- O ile mi wiadomo, nie - odparł posterunkowy - ale mnie się nigdy nic nie mówi.

- Wiem, jak to jest - przytaknął Gilks. - Kiedy tylko wmiesz się Scotland Yard, nie pozostaje człowiekowi nic innego, niż tylko wozić ich tam i z powrotem. A ja jedyne wiem, jak on wygląda.

Wczoraj w nocy zatrzymałem go na szosie. Jedziemy prosto z domu Waya. Straszny bajzel.

- Paskudna noc, co?

- Urozmaicona. Mieliśmy wszystko: od morderstwa po wyciąganie koni z łazienek. Czy wy też macie takie samochody? - dodał, wskazując na swój. - Ten przez całą drogę doprowadzał mnie do szału. Zimno, nawet kiedy ogrzewanie działa na pełny regulator, a radio bez przerwy włącza się i wyłącza.

Rozdział dziewiętnasty

Ten sam poranek zastał Michaela Wentona-Weakesa w dość szczególnym nastroju.

Trzeba by znać go dobrze, żeby wiedzieć, że jest w jakimś wyjątkowo szczególnym nastroju, ponieważ większość ludzi i tak uważała go za dość szczególną osobę. Niewielu znało go na tyle dobrze - może jego matka, ale był z nią aktualnie w stanie zimnej wojny i nie rozmawiali ze sobą już od wielu tygodni.

Miał także starszego brata, Petera, który zdążył zajść bardzo wysoko w marynarce wojennej. Pomijając pogrzeb ojca, Michael nie widział go od czasu, kiedy tamten wrócił z Falklandów, opromieniony chwałą i awansem i pełen pogardy dla młodszego brata.

Peter był zachwycony, że matka przejęła imperium Magna, i na tę okoliczność posłał nawet Michaelowi pułkową kartkę bożonarodzeniową. Jemu samemu nadal największą satysfakcję sprawiało rzucanie się w błotniste rowy i strzelanie co najmniej minutową serią z karabinu maszynowego, a nie sądził, by brytyjski przemysł wydawniczy i prasowy, nawet w jego obecnym stanie, mógł zapewnić mu tę przyjemność.

Michael wstał bardzo późno, po nocy strawionej na chłodnym bestialstwie, a później na pełnych udręki snach, które, mimo że był późny rano, nadal go niepokoiły.

Sny pełne były dobrze znanego poczucia straty, izolacji, winy i tak dalej, lecz wiązały się także w niewytłumaczalny sposób z całymi masami błota. Dzięki teleskopowej potędze nocy koszmar samotności i błota zdawał się trwać przez przerażające, niewyobrażalne połacie czasu, a zakończył się wraz z pojawieniem się śliskich stworów na nogach, które pełzły po śliskim morzu. Tego już było za wiele, więc obudził się nagle, zlany potem.

I choć cały ten interes z błotem wydał mu się dziwny, to poczucie straty, izolacji, a nade wszystko wielkiej krzywdy, chęć odwrócenia biegu wydarzeń - wszystko to znalazło łatwy dostęp do jego duszy.

Nawet te dziwne, śliskie stwory na nogach wydały mu się znajome i tykały irytująco gdzieś w zakamarkach umysłu, kiedy szykował sobie spóźnione śniadanie - kawałek grejpfruta i chińską herbatę. Pozwolił oczom spocząć na chwilę na poświęconych sztuce stronach „Daily Telegraph”, a potem dość niezręcznie zmienił opatrunek na skaleczonej ręce.

Dokonawszy tych wszystkich drobnych zadań, wahał się, co robić dalej.

Był w stanie przyjrzeć się wydarzeniom ostatniej nocy z chłodną obojętnością, której właściwie sam się po sobie nie spodziewał. Wszystko odbyło się jak należy - nie mogło być lepiej. Tylko że niczego

nie rozwiązało. To, co istotne, czekało jeszcze na wykonanie.

Co istotne? Zasepił się, zaniepokojony zanikaniem własnych myśli.

Normalnie wpadłby o tej porze do swojego klubu. Niegdyś czynił to z luksusowym uczuciem, że jest całe mnóstwo spraw, którymi raczej powinien się wtedy zajmować.

Teraz nie miał już nic innego do roboty, co sprawiało, że czas spędzany w klubie, jak i gdziekolwiek indziej, zaczął dłużyć mu się nieprzyjemnie.

Kiedy tam szedł, robił to, co zawsze - nad szklaneczką ginu z tonikiem wdawał się w nie zobowiązujące rozmowy, a potem przerzucał stronicę „Times Literary Supplement”, „Opery”, „The New Yorkera” czy cokolwiek akurat wpadło mu w ręce, ale nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że ostatnio robił to wszystko z jakby mniejszą werwą i upodobaniem.

A potem przyjdzie pora lunchu. Dziś nie umówił się z nikim na lunch - znowu! - musiałby więc zostać we własnym klubie, gdzie zjadłby delikatnie wysmażoną dowerską solę z ziemniakami garniowanymi natką pietruszki, a potem potężną porcją biskopta w winie z kremem. Kieliszek, może dwa sancerre. I kawa. A potem popołudnie i wszystko, co ze sobą przyniesie.

Dziś jednakże poczuł dziwny wewnętrzny nakaz, żeby od tego zwyczaju odstąpić. Napiął mięśnie skaleczonej dłoni, nalał sobie kolejną filiżankę herbaty, obrzucił beznamiętnym spojrzeniem wielki kuchenny nóż, który nadal leżał przy wykwinnym porcelanowym imbryku, i poczekał chwilę, żeby zobaczyć, co też będzie robił.

A następnie poszedł na górę.

Jego dom w swej formalnej perfekcyjności wywierał dość lodowate wrażenie, a wyglądał dokładnie tak, jak wymarzyli sobie ci, którzy kupują stylizowane meble. Pomijając, rzecz jasna, fakt, że tutaj wszystko było autentyczne - kryształ, mahoń i dywan z Wilton - a tylko wyglądało tak, jakby mogło być podrobione, bo nie miało w sobie za grosz życia.

Udał się do swojej pracowni, jedynej w tym domu pomieszczenia, które nie było w perfekcyjnym porządku, lecz bałagan wśród zgromadzonych tu książek i papierów był za to perfekcyjnie zaniebany. Wszystko pokrywała cienka warstwa kurzu. Michael nie zaglądał tu od kilku tygodni, sprzątaczką zaś miała ściśle przykazane, aby pozostawić pomieszczenie tak jak jest. Nie pracował tutaj od czasu, kiedy redagował ostatnie wydanie „Sążnia”. Oczywiście, nie ostatnie w ogóle, ale ostatnie właściwe. Ostatnie z jego punktu widzenia.

Postawił porcelanową filiżankę na warstwie delikatnego kurzu i poszedł przyjrzeć się swemu nie najmłodszemu gramofonowi. Znalazł na nim nie najnowsze nagranie koncertów na instrumenty dęte Vivaldiego, ustawił ramię i usiadł.

Znów poczekał chwilę, żeby się przekonać, co teraz robi, i nagle ku swemu zdumieniu odkrył, że już to robi, a robił mianowicie to:

słuchał muzyki.

Na twarz przekradł mu się z wolna wyraz sporego zaskoczenia, jako że zdał sobie sprawę, że nie

czynił tego nigdy przedtem. Słyszał muzykę wiele, wiele razy i sądził, że to bardzo przyjemny rodzaj dźwięku. W rzeczy samej uznawał, że stanowi bardzo przyjemne tło do dyskusji o sezonie koncertowym, ale nigdy przedtem nie przyszło mu do głowy, że jest tam czego słuchać.

Siedział porażony wzajemnym oddziaływaniem melodii i kontrapunktu, jakie nagle ujawniło mu się z wyrazistością, która nie mogła wiele zawdzięczać zakurzonej powierzchni płyty ani czternastoletniej igle gramofonu.

Lecz olśnienie wyparte zostało przez niemal natychmiastowe rozczarowanie, które skonsternowało go jeszcze bardziej. Muzyka, która tak nagle się przed nim odkryła, okazała się dziwnie niesatysfakcjonująca. Wyglądało to tak, jakby w jednej dramatycznej chwili jego zdolność pojmowania muzyki wzrosła tak bardzo, że przerosła zdolność muzyki do jej zaspokojenia.

Natęzał słuch, żeby uchwycić, czego mu w niej brakowało, i poczuł, że ta muzyka była jak bezskrzydły ptak, który sam nawet nie wie, jaką zdolność utracił. Szła całkiem nieźle, ale szła - tam gdzie powinna przesywać niebo; tam gdzie powinna pikować w dół; tam gdzie powinna się wznosić, piętrzyć i nurkować; szła tam, gdzie powinna drżeć od lotnego zawrotu głowy. Nigdy nie podnosiła wzroku.

Podniósł wzrok.

Po chwili dotarło do niego, że nie robi nic innego poza idiotycznym wgapieniem się w sufit. Potrząsnął głową i odkrył, że nadzwyczajna percepcja już zanikła, pozostawiając uczucie lekkiego zawrotu głowy i mdłości. Nie zanikła całkowicie, tylko ukryła się gdzieś głęboko w środku, za daleko, by mógł dosięgnąć.

Muzyka płynęła dalej. Była dość sympatycznym zestawem przyjemnych dźwięków w tle, lecz już go nie poruszała.

Potrzebował jakichś wskazówek na temat tego, czego przed chwilą doświadczył, gdy wtem w głębi umysłu zamigotała myśl, że wie, gdzie mógłby je znaleźć. Rozzłoszczony, dał jej zniknąć, ale ona znów po chwili zamigotała i nie dawała mu spokoju, dopóki nie wprowadził jej w czyn.

Wytaszczył spod biurka wielki blaszany kosz na śmieci. Ponieważ stanowczo zakazał sprzątacze tutaj nawet wchodzić, kosz pozostawał nie opróżniany, więc znalazł w nim bez trudu podarte strzępy tego, czego szukał, przysypane zawartością popielniczki.

Z ponurą determinacją pokonał niesmak i powoli roztrząsał na biurku strzępki znieawidzonego obiektu, niezgrabnie usiłując skleić je na powrót za pomocą taśmy, która ciągle mu się zwijała, łącząc niewłaściwe fragmenty, a właściwe przyklejając najpierw do jego pękających palców, następnie do blatu biurka - aż wreszcie znalazł się przed nim topornie poskładany egzemplarz „Sążnia”.

Wydany przez tę nienawistną kreaturę A.K. Rossa.

Obrzydliwość.

Przewracał poobklejane, ciężkawe strony, jakby podnosił podroby z kurczęcia. Nigdzie ani kreski rysunków Joan Sutherland albo Marilyn Horne. Ani jednej sylwetki któregoś z ważniejszych marchandów z Cork Street. Ani jednej.

Jego seria o Rossettich - brak kontynuacji.

„Plotki z zielonego pokoju” - brak kontynuacji.

Z niedowierzaniem potrząsnął głową, a potem odnalazł artykuł, o który mu chodziło.

„Muzyka i krajobrazy fraktalne” Richarda MacDuffa.

Przeleciał pobieżnie kilka pierwszych akapitów i zaczął czytać nieco dalej:

„Matematyczna analiza oraz modelowanie za pomocą komputera odsłaniają przed nami fakt, iż kształty i procesy, które spotykamy w naturze - sposób, w jaki wzrasta dana roślina, w jaki erodują góry albo płyną rzeki; sposób, w jaki wyspy albo płatki śniegu osiągają swoje kształty, w jaki światło igra na danej powierzchni; sposób, w jaki mleko zwija się i krąży w filiżance kawy, kiedy mieszać w niej łyżeczką; sposób, w jaki śmiech przepływa falą przez tłum ludzi - wszystko to w swej magicznej złożoności można opisać jako interakcję matematycznych procesów, które są, o ile to możliwe, jeszcze bardziej magiczne w swej prostocie.

Kształty, które zwykle uznajemy za dzieło przypadku, są w rzeczywistości produktami bardzo złożonych przesunięć w sieci cyfr, posłusznych bardzo prostym zasadom. Samo słowo <<naturalny>>, które odnosimy często do znaczenia <<niezłożony>>, opisuje w rzeczywistości kształty i procesy, które zdają się tak niewyobrażalnie skomplikowane, że świadomie nie jesteśmy w stanie obserwować działania nawet najprostszycy praw natury. Można je opisać za pomocą cyfr”.

Co dziwne, myśl ta nie wydała się teraz Michaelowi tak odrażająca, jak przy pierwszym pobieżnym czytaniu. Czytał z narastającą uwagą.

„Wiemy jednakże, że ludzki umysł jest w stanie pojmować wszystkie te sprawy w całej ich złożoności i całej ich prostocie. Przelatująca w powietrzu piłka działa zgodnie z siłą i kierunkiem nadanym jej przy rzucaniu, siłą grawitacji, oporem powietrza, który musi pokonywać kosztem utraty własnej energii, turbulencji powietrza wokół jej powierzchni oraz kierunku i częstotliwości własnych obrotów.

A mimo to ktoś, kto świadomie miałby trudności z określeniem, ile jest $3 \times 4 \times 5$, nie miałby żadnych kłopotów z dokonaniem rachunku różniczkowego i całej gamy pokrewnych obliczeń w tak niesłychanym tempie, że byłby w stanie schwytać piłkę w locie.

Ludzie, którzy nazywają to <<instynktem>>, ograniczają się do nazwania zjawiska, nie wyjaśniając przy tym niczego.

Sądzę, że dziedziną, w której ludzie zdołali najbardziej zbliżyć się do rozumienia i wyrażania tych zjawisk, jest muzyka. Jest to najbardziej abstrakcyjna ze sztuk - nie ma innego celu ani przesłania poza własnym istnieniem.

Każdy pojedynczy aspekt fragmentu utworu muzycznego da się przedstawić za pomocą cyfr. Od organizacji ruchów w całej symfonii aż do wzorów wysokości dźwięku i rytmu, które składają się na melodie i harmonie, barwy poszczególnych dźwięków, ich harmonii, sposobu, w jaki zmieniają się w czasie, słowem: wszystkie elementy dźwięku, które pozwalają nam odróżnić grę na piccolo od uderzania w kocioł - wszystkie te elementy dadzą się przedstawić za pomocą wzorów i hierarchii

liczb.

A z doświadczenia wiem, że im więcej jest wewnętrznych zależności między wzorami liczb na różnych poziomach hierarchii, im bardziej złożone i subtelne są owe relacje, tym bardziej satysfakcjonującą i tym bardziej całością - by tak rzec - wyda nam się ta muzyka.

W istocie im bardziej subtelne i złożone są owe związki i im bardziej znajdują się poza zasięgiem naszej świadomości, tym bardziej część podświadoma - to znaczy ta, która w tak niesłychanym tempie dokonuje rachunku różniczkowego, że ustawia nam rękę dokładnie w miejscu, gdzie uchwyci ona nadlatującą piłkę - tym bardziej ta część umysłu się nią delektuje.

Muzyka, która jest w pewien sposób złożona (a przecież nawet melodyjka <<Kurki trzy>> jest na swój sposób złożona, kiedy ktoś wykonuje ją na instrumencie, który posiada własną, odrębną barwę i brzmienie), przemyka za plecami świadomości, by paść w ramiona naszego prywatnego geniusza matematycznego, który zamieszkuje naszą podświadomość i reaguje na wszystkie wewnętrzne złożoności i proporcje, o których - według własnego mniemania - nie mamy najmniejszego pojęcia.

Niektórzy protestują przeciwko takiemu przedstawianiu muzyki, pytają, gdzie znajdzie się miejsce dla emocji, kiedy zredukujemy muzykę do matematyki? A ja twierdzę, że w tym właśnie kryją się największe emocje.

To, co porusza nasze emocje - kształt kwiatu albo urny greckiej; to, jak wzrasta dziecko; to, jak wiatr muska nam twarz; to, jak przesuwają się chmury, ich kształty; to, jak igra na wodzie światło lub chylą się na wietrze żonkile; to, jak ukochana osoba pochyła głowę, jak przy tym geście opadają jej włosy; krzywa zapisana przez zamierający dźwięk ostatniego akordu muzyki - wszystko to da się zapisać skomplikowanym strumieniem cyfr.

To nie redukowanie - w tym właśnie tkwi całe piękno.

Zapytajcie Newtona.

Zapytajcie Einsteina.

Zapytajcie poetę (Keatsa), który powiedział, że to, co wyobraźnia postrzega jako piękno, musi być prawdą. Który równie dobrze mógł powiedzieć, że to, co ręka chwyci jako piłkę, musi być prawdą, ale nie powiedział, ponieważ był poetą i wolał wałkonić się pod drzewem z butelką laudanum i notesem niż grać w krykieta - ale byłaby to ta sama prawda”.

Zdanie to przywołało pewną myśl z ciemnych zakamarków umysłu Michaela, lecz nie potrafił jej sprecyzować.

„Ponieważ tkwi w tym sedno relacji między naszym >>instynktownym<< pojmowaniem kształtów, formy, ruchu, światła - z jednej strony, a naszymi emocjonalnymi na nie reakcjami - z drugiej.

I właśnie dlatego sądzę, że w całą naturę wpisana jest immanentnie jakaś forma muzyki - w naturalnych obiektach, we wzorcach naturalnych procesów. Muzyka, która będzie źródłem tak samo głębokiej satysfakcji, jak każde inne naturalnie występujące piękno - a nasze emocje to przecież tylko jeszcze jedna forma naturalnie występującego piękna...”

Michael przestał czytać i pozwolił, by jego wzrok odpłynął z wolna znad stronicy.

Zastanawiał się, czy wie, jak brzmiałyby taka muzyka, i nawet ją szperać w ciemnych zakamarkach umysłu. Każdy z fragmentów pamięci, który penetrował, sprawiał wrażenie, jakby muzyka ta dźwięczała tam zaledwie kilka sekund wcześniej, a jedyne, co pozostało, to zamierające echo czegoś, czego nie był w stanie dosięgnąć i dosłyszeć. Osłabłą nagle ręką odłożył na bok gazetę.

Teraz przypomniał sobie, jakie wspomnienie wywołała w jego pamięci wzmianka o Keatsie.

Te śliskie stwory na nogach, stwory z jego snu.

Opanował go chłodny spokój, bo poczuł, że jest już bardzo blisko.

Coleridge. To ten facet.

Śliskie pełzły na nogach stwory

Po owym morzu śliskim..

Pieśń o starym żeglarzu* [* Samuel Taylor Coleridge, Pieśń o starym żeglarzu, tłum. Zygmunt Kubiak; w: Poezje wybrane. PIW, Warszawa 1987.].

Oszołomiony Michael podszedł do biblioteczki i wyjął z niej antologię Coleridge'a. Usiadł z powrotem w fotelu, po czym z niejakim lękiem zaczął wertować strony, aż znalazł początkowe wersy.

Stary ten żeglarz zatrzymuje

Jednego z trzech...

Słowa te były mu doskonale znane, a mimo to, kiedy je czytał, wzbudziły w nim zupełnie obce odczucia i przerażające wspomnienia, o których wiedział, że nie mogły należeć do niego. W środku szalało poczucie straty i osamotnienia o przerażającym wprost natężeniu, które - choć wiedział, że nie należą do niego - współgrały tak znakomicie z jego własnym poczuciem krzywdy, że nie mógł się oprzeć i poddał im się całkowicie.

A tysiąc śliskich stworów żyło.

Ja także żyć musiałem.

Rozdział dwudziesty

Roleta podskoczyła z suchym trzaskiem, aż Richard zamrugał.

- Zdaje się, że spędziłeś fascynujący wieczór - oznajmił Dirk Gently - choć wydaje mi się, że najbardziej interesujące aspekty zupełnie umknęły twojej ciekawości.

Wrócił na swój fotel, rozparł się wygodnie i złożył dłonie w daszek.

- Błagam - rzekł - nie rozczarowuj mnie, mówiąc: „Gdzie ja właściwie jestem?” Wystarczy jeden rzut oka.

Richard, zadziwiony, rozejrzył się powoli dookoła i poczuł się jak ktoś, kto powrócił nagle z długiego pobytu na planecie, gdzie wszystko było spokojem, światłem i muzyką, które miały trwać w nieskończoność. Czuł się tak zrelaksowany, że ledwie chciało mu się oddychać.

Drewniana końcówka sznurka od rolety zastukała kilka razy o szybę, ale poza tym panowała absolutna cisza. Metronom stał nieruchomo. Richard rzucił okiem na zegarek. Minęła zaledwie pierwsza.

- Byłeś w stanie hipnozy przez niecałą godzinę - oświadczył Dirk - a przez ten czas dowiedziałem się wielu interesujących rzeczy i zdziwiłem kilkoma innymi, o których chciałbym teraz z tobą pomówić. Odrobina świeżego powietrza dobrze ci robi, sugeruję więc ożywczy spacer wzdłuż kanału. Tam nikt nie będzie cię szukał. Janice!

Cisza.

Dla Richarda wiele spraw nadal pozostawało niejasnych, więc nachmurzył się lekko. Kiedy w chwilę później wróciła mu zwyczajna pamięć, odczuł to tak, jakby przez jakieś drzwi wtoczył się do jego świadomości słoń, zerwał się więc gwałtownie.

- Janice! - krzyknął powtórnie Dirk.- Panno Pearce! Przeklęta dziewczyna.

Wyłowił słuchawki telefonów z kosza na papiery i poodkładał je na miejsce. Obok biurka stała stara i zniszczona skórzana teczka, którą podniósł, a następnie zgarnął z podłogi kapelusz i stanął, absurdalnie wkręcając go sobie na głowę.

- Chodźmy - powiedział, ruszając posuwistym krokiem do pomieszczenia, w którym siedziała panna Janice Pearce, wpatrzona gniewnie w ołówek. - Czas iść. Porzućmy tę zakazaną czeluść piekielną. Wyobraźmy sobie niewyobrażalne, wykonajmy niewykonalne. Chwyćmy się za bary z niewymownym, bo może jednak da się w końcu wymówić. No dobrze. Janice...

- Zamknij się.

Dirk wzruszył ramionami, a potem wziął z jej biurka książkę, którą wcześniej tak drastycznie okroiła, aby móc trzasnąć szufladą. Przekartkował ją, nachmurzony, i odłożył z westchnieniem. Janice powróciła do swej poprzedniej czynności, to jest pisania ołówkiem jakiejś długiej notatki.

Richard przyglądał się temu wszystkiemu w milczeniu; nadal czuł się tylko w połowie obecny. Potrząsnął głową.

- Jak na razie, wszystkie wydarzenia mogą ci się zdawać skłębioną masą poplątania - mówił do niego Dirk. - Ale mimo wszystko widzę tam kilka interesujących nici, za które należałoby pociągnąć. Ze wszystkich rzeczy, które - jak mi powiedziałeś - tam się wydarzyły, tylko dwie są fizycznie niemożliwe. Richard odezwał się w końcu.

- Niemożliwe?

- Owszem - uśmiechnął się Dirk. - Całkowicie i kompletnie niemożliwe. Na szczęście - ciągnął - przyszedłeś ze swym problemem w najwłaściwsze miejsce, gdyż takiego słowa jak „niemożliwe” nie znajdziesz w moim słowniku. Prawdę mówiąc - dodał, wymachując nadwerężoną książką - wygląda

na to, że nie znajdziesz tu niczego od „marmolady” do „śledzia”. Dzięki, panno Pearce, po raz kolejny oddała mi pani bezcenną przysługę, za którą składam dzięki i obiecuję, że jeśli nasze obecne przedsięwzięcie zakończy się pomyślnie, będę się starał pani zapłacić. Ale tymczasem musimy przemyśleć mnóstwo spraw, pozostawiam więc biuro w pani kompetentnych rękach.

Zadzwonił telefon i Janice podniosła słuchawkę.

- Dzień dobry - powiedziała do słuchawki - tu Imperium Owocowe Wainwrighta. Pan Wainwright chwilowo nie może odbierać telefonów, ponieważ pomieszało mu się w głowie i myśli, że jest ogórkiem. Dziękuję za telefon.

Trzasnęła słuchawką o widełki. Kiedy podniosła wzrok, zobaczyła, jak za jej eks-pracodawcą i jego zamroczonym klientem cichutko zamykają się drzwi.

- Niemożliwe? - powtórzył zaskoczony Richard.

- Wszystko, co ich dotyczy - upierał się Dirk - jest całkowicie i kompletnie... hm, ujmijmy to tak: niewytłumaczalne. Nie ma sensu używać słowa „niemożliwe” na określenie czegoś, co się niewątpliwie wydarzyło. Ale nie da się tego wytłumaczyć za pomocą naszej dotychczasowej wiedzy.

Rześkie powietrze znad kanału Grand Union dotarło do zmysłów Richarda i na powrót je wyostrzyło. Przywróciło mu pełnię władz umysłowych i chociaż myśl o śmierci Gordona przyskakiwała do niego co kilka sekund, był wreszcie w stanie jasno ten fakt przemyśleć. Jednakże, co dziwne, najwyraźniej była to ostatnia sprawa, która trapiła teraz Dirka. Zamiast tego czepiał się różnych najoczywistszych szczegółów sekwencji niespotykanych wydarzeń z zeszłej nocy i nieustannie przepytywał Richarda.

Nadjeżdżający z jednej strony rowerzysta i nadbiegający z drugiej miłośnik joggingu zaczęli pokrzykiwać na siebie, żeby jeden drugiemu ustąpił z drogi, i w końcu obaj omal nie wylądowali w ciemnych, wolno płynących wodach kanału. Obserwowała ich uważnie bardzo powoli idąca starsza pani, która wlokła za sobą na smyczy jeszcze wolniej człapiącego starego psa.

Po drugiej stronie kanału stały rzędem zdziwione stare magazyny; w każdym potłuczonym oknie migwały odbłyśki światła. Przy dnie kołysała się żałośnie stara, spalona barka. Wokół niej w słonawej wodzie dryfowało kilka butelek po detergentach. Po pobliskim moście przejeżdżały z hukiem ciężko wylądowane ciężarówki, wstrząsając fundamentami okolicznych domów, wyrzucając z siebie chmury spalin i strasząc młodą matkę, która usiłowała przepchnąć wózek na drugą stronę ulicy.

Dirk i Richard wędrowali po obrzeżach South Hackney, z powrotem w kierunku serca Islington, gdzie, jak wiedział Dirk, znajdowały się najbliższe pasy ratunkowe.

- Ależ to była zwykła sztuczka magiczna - upierał się Richard. - Robi je bez przerwy. Zwykle hokus-pokus. Wygląda na niemożliwe, ale pewien jestem, że gdybyśmy zapytali jakiegoś magika, powiedziałby, że to proste, jeśli się wie, jak to robić. Raz na ulicy w Nowym Jorku widziałem faceta, który...

- Ja wiem, jak to się robi - odparł Dirk, wyciągając mu z nosa dwa zapalone papierosy i wielką, kandyzowaną figę. Cisnął figę wysoko w powietrze, z którego jednak nie zdołała spaść. - Zwinność, mylne pokierowanie uwagą, sugestia. Wszystkiego tego można się nauczyć, jeśli ma się chwilę czasu do stracenia. Wybacz pani - zwrócił się do wiekowej, powolnej właścicielki psa, którą akurat

mijali. Pochylił się w stronę psa i wyciągnął mu spod brzucha długi sznur różnokolorowych flag. - Sądzę, że teraz będzie mu się wygodniej szło - dodał, dotknął uprzejmie róna kapelusza i ruszył dalej.

- Jak widzisz - zwrócił się do zakłopotanego Richarda - to całkiem proste. Przepiłowanie jakiejś pani na pół też jest proste. Przepiłowanie pani na pół, a potem złożenie jej z powrotem jest nieco trudniejsze, ale można się tego nauczyć, dużo ćwicząc. Ale sztuczka, którą mi opisałeś - ta z dwustuletnią amforą i uniwersytecką solniczką jest... - tu przerwał dla większego efektu -...absolutnie i kompletnie niewytłumaczalna.

- No cóż, być może pominąłem jakiś szczegół, ale...

- Och, bez wątpienia. Ale z przesłuchiwania świadka pod hipnozą wynika ta mianowicie korzyść, że pozwala nam odtworzyć całą scenerię ze znacznie większą liczbą szczegółów, niż był on w stanie świadomie zauważyć. Na przykład ta dziewczynka, Sara. Przypominasz sobie, w co była ubrana?

- Nie bardzo - odparł Richard. - Chyba w jakąś sukienkę, jak mi się wydaje...

- W jakim kolorze? Z jakiego materiału?

- Nie pamiętam, było ciemno. Siedziała kilka krzeseł dalej. Ledwie rzuciłem na nią okiem.

- Miała na sobie ciemnoniebieską sukienkę z aksamitu, wmarszczoną w opuszczony stan. Sukienka miała raglanowe rękawy, zebrane w mankiety, z białym kołnierzykiem bebe i sześcioma perłowymi guzikami na przodzie - z trzeciego zwisała cieniutka nitka. Miała długie, ciemne włosy, związane z tyłu czerwoną kokardą.

- Jeśli masz zamiar mi wmawiać, że tak jak Sherlock Holmes dowiedziałeś się tego, patrząc na moje zdarte zelówki, to obawiam się, że nie uwierzę.

- Nie, nie - odparł Dirk. - To o wiele prostsze. Sam mi to powiedziałeś pod hipnozą.

Richard potrząsnął przecząco głową.

- Nieprawda - oznajmił. - Nawet nie wiem, co to kołnierzyk bebe.

- Ale ja wiem, a ty opisałeś mi go z perfekcyjną dokładnością. Tak samo jak tę magiczną sztuczkę. A sztuczka, w takiej formie, jak ją opisałeś, jest absolutnie niemożliwa. Wierz mi. Wiem, co mówię. Jest kilka rzeczy, których chciałbym się dowiedzieć o naszym profesorze - na przykład, kto napisał notatkę, którą odkryłeś na biurku, i ile naprawdę pytań zadał Jerzy III, ale...

- Co?

-...ale sądę, że lepiej będzie zapytać samego zainteresowanego. Z tym że... - Od głębokiego skupienia zmarszczył czoło. - Z tym że - powtórzył - w tych sprawach jestem trochę próżny i wolę znać odpowiedzi, zanim zadam pytania. A teraz nie znam. Zupełnie. - Zapatrzył się z roztargnieniem w dal i obliczył z grubszą, ile dzieli ich od najbliższego pasa ratunkowego.

- A druga niemożliwa sprawa - dodał, kiedy Richard miał właśnie wtrącić słowo - a przynajmniej kolejna kompletnie niewytłumaczalna sprawa, to oczywiście sprawa twojej kanapy.

- Dirk - wykrzyknął głęboko poirytowany Richard - pozwól, że ci przypomnę, że Gordon Way nie żyje i że najwyraźniej to mnie podejrzewa się o jego zamordowanie. A obie te sprawy nie mają z tym najmniejszego związku, więc...

- A ja żywię najgłębsze przekonanie, że mają.

- Ależ to absurd!

- Wierzę w fundamentalną wzajemną łączność...

- Tak, tak - przerwał mu Richard - między wszystkim, co istnieje. Słuchaj, Dirk, ja nie jestem łatwowierną starszą panią i mnie nie naciągniesz na wycieczkę na Bahamy. Jeśli masz zamiar mi pomóc, to trzymajmy się tematu.

Dirk przyhamował.

- Wierzę, że wszystko, co istnieje, łączy się ze sobą nawzajem, czemu nikt, kto podąży za zasadami mechaniki kwantowej aż do jej logicznych ekstremów, a jest przy tym uczciwy, zaprzeczyć nie może. Ale wierzę także, że niektóre rzeczy powiązane są ze sobą o wiele ściślej niż inne. A jeżeli tej samej osobie przydarzają się aż dwa niemożliwe przypadki w całej sekwencji przypadków bardzo niezwykłych, a potem ta sama osoba nagle staje się głównym podejrzanym w sprawie o bardzo szczególne morderstwo, to wydaje mi się, że należy szukać rozwiązania w tym, co owe dwa wydarzenia ze sobą łączy. A łączysz je ty i ty sam zacząłeś się zachowywać w sposób niezwykle oraz ekscentryczny.

- Wcale nie - zaoponował Richard. - Owszem, przydarzyło mi się kilka dziwnych rzeczy, ale...

- Zeszłej nocy obserwowałem cię, jak wspinasz się po zewnętrznej ścianie budynku i włamujesz się do mieszkania swojej dziewczyny, Susan Way.

- Może to i było niezwykle - odparł Richard - może i niezbyt mądre. Ale było doskonale logiczne oraz racjonalne. Chciałem po prostu naprawić coś, co przedtem sknociłem, zanim nie powstaną dalsze szkody.

Dirk przemyślał coś przez chwilę, a potem nieznacznie przyśpieszył kroku.

- A więc twoje zachowanie było absolutnie normalną i racjonalną reakcją na problem związany z wiadomością, jaką zostawiłeś na automatycznej sekretarce... Tak, wspomniałeś o tym w czasie naszej małej sesji. Czy każdy postąpiłby w ten sposób?

Richard rzucił mu chmurne spojrzenie, jakby chciał dać do zrozumienia, że nie rozumie, o co ten cały hałas.

- Nie twierdzę wcale, że każdy by tak postąpił - rzekł. - Być może mój sposób myślenia jest logiczniejszy i bardziej racjonalny niż przeciętny, co sprawia, że zajmuję się pisaniem programów komputerowych. Było to racjonalne i logiczne rozwiązanie problemu.

- Ale może trochę niewspółmierne?

- Dla mnie najważniejsze było to, aby po raz kolejny nie rozczarować Susan.

- Tak więc satysfakcjonują cię przyczyny, które mi podałeś?

- Tak - upierał się gniewnie Richard.

- Czy wiesz - zagadnął go znieczeka Dirk - co zwykła mawiać moja ciotka, stara panna, która mieszkała w Winnipeg?

- Nie - odparł Richard. Szybko zdjął z siebie ubranie i wskoczył do kanału. Dirk natychmiast podbiegł do haka, na którym wisiał pas ratunkowy, zerwał go i cisnął w stronę Richarda, który miotał się nieudolnie na środku kanału, zupełnie zagubiony i dezorientowany.

- Złap za to - krzyknął Dirk - to cię wyciągnę!

- W porządku - prychnął Richard - umiem pływać...

- Nie umiesz! - wrzasnął Dirk. - Łap zaraz!

Richard próbował płynąć do nabrzeża, ale szybko dał za wygraną i, skonsternowany, złapał pas ratunkowy. Dirk ciągnął za linę, dopóki Richard nie dobrnął do brzegu, a wtedy podał mu rękę. Richard wyszedł z wody, prychnął i plując, potem odwrócił się i usiadł na krawędzi muru, składając ręce na podołku.

- Boże, ależ tam jest ohydnie! - wykrzyknął i jeszcze raz splunął. - Dosłownie obrzydliwie. Fuj! Uch! O Boże. Na ogół całkiem nieźle pływam. Musiał mnie złapać jakiś kurcz. Szczęśliwie się złożyło, że byliśmy akurat obok pasa ratunkowego. O, dziękuję.

- To ostatnie rzucił w odpowiedzi na podany mu przez Dirka spory ręcznik.

Wycierał się zwawo ręcznikiem, jakby chciał zetrzeć wodę wraz z własną skórą. Wstał i rozejrzał się dookoła.

- Czy możesz znaleźć moje portki?

- Młody człowieku - odezwała się starsza pani z psem, która właśnie się z nimi zrównała. Stała, przyglądając im się surowo i już miała ich złapać, kiedy Dirk wtrącił szybko:

- Tysiącrotnie proszę o wybaczenie za wszystkie szkody moralne, jakie mógł nieumyślnie wyrządzić pani mój przyjaciel. Proszę przyjąć to - dodał, wyciągając smukły bukietik anemonów z okolic lędźwi Richarda - z wyrazami najwyższego szacunku.

Kobieta wytrąciła mu kwiaty laską i, śmiertelnie przerażona, oddaliła się pospiesznie, wlokąc za sobą psa.

- To nie było zbyt miłe - orzekł Richard, wciągając ubranie pod ręcznikiem, udrapowanym strategicznie wokół talii.

- Nie sądzę, żeby to w ogóle była miła kobieta - odparł Dirk.

- Zawsze się tu włóczy, ciąga za sobą tego biednego psa i beszta przechodniów. Miło się pływało?

- Nie bardzo - przyznał Richard, szybko wycierając włosy.

- Nie zdawałem sobie przedtem sprawy, jak tam będzie brudno. I zimno. Proszę - mówił, wręczając Dirkowi ręcznik. - Dzięki. Zawsze nosisz ze sobą ręcznik w teczce?

- Zawsze chodzisz popływać popołudniami?

- Nie, zwykle chodzę rano, na pływalnię na Highbury Fields, żeby się rozbudzić, żeby mózg zaskoczył. Akurat mi się przypomniało, że dzisiaj nie byłem.

- I... hm... to dlatego wskoczyłeś do kanału?

- No tak. Pomyślałem sobie, że odrobina ruchu pomoże mi się z tym wszystkim uporać.

- Ale może to troszkę niewspółmierne, żeby się tak zaraz rozbierać i wskakiwać do kanału?

- Nie - odparł Richard. - Może to nie było najmądrzejsze posunięcie, biorąc pod uwagę czystość wody, ale było absolutnie...

- Tak więc satysfakcjonują cię przyczyny, które mi podałeś?

- Tak...

- Czyli że to nie ma nic wspólnego z moją ciotką? Richard podejrzliwie przymrużył oczy.

- O czym ty u licha gadasz?

- Zaraz ci powiem - odparł Dirk.

Podszedł do najbliższej ławki, usiadł i ponownie otworzył walizkę. Schował złożony ręcznik i wyjął mały magnetofon kasetowy Sony. Gestem przywołał do siebie Richarda i wcisnął guzik „play”. Z głośnika popłynął jego własny głos, który mówił śpiewnym, kojącym tonem: „Za minutę pstryknę palcami, a wtedy się obudzisz i zapomnisz o wszystkim z wyjątkiem instrukcji, których ci teraz udzielenię. Za chwilę pójdziemy na spacer wzdłuż kanału, a kiedy usłyszysz, że mówię: <<Moja ciotka, stara panna, która mieszkała w Winnipeg...>>”

Tu Dirk chwycił Richarda za ramię, żeby go powstrzymać.

A z taśmy płynęło: „...rozbierzesz się do naga i wskoczysz do kanału. Odkryjesz, że nie umiesz pływać, ale nie wpadniesz w panikę ani nie utoniesz, tylko będziesz się utrzymywał na wodzie, dopóki nie rzucę ci pasa ratunkowego...”

Dirk zatrzymał taśmę i obejrzał się, żeby popatrzeć na twarz Richarda, po raz drugi tego dnia poblądłą od szoku.

- Bardzo by mnie ciekawiło, co dokładnie cię opętało, że wczoraj wieczorem wspinałeś się do mieszkania panny Way - powiedział Dirk - i dlaczego.

Richard nie odpowiadał; nieprzerwanie wpatrywał się, oszołomiony, w magnetofon. Potem powiedział roztrzęsionym głosem:

- Na taśmie Susan była wiadomość od Gordona. Taśma jest teraz w moim mieszkaniu. Dirk, nagle zaczęło mnie to wszystko przerażać.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Zza ciężarówki zaparkowanej w pobliżu domu Richarda Dirk obserwował policjanta pełniącego służbę przed wejściem. Zatrzymywał on i przepytывał wszystkich, którzy próbowali wejść w niewielką boczną alejkę, wiodącą do drzwi Richarda, nie wyłączając, jak z zadowoleniem zauważył Dirk, innych policjantów, jeśli ich nie rozpoznał. Właśnie zatrzymał się tam kolejny policyjny samochód, więc Dirk ruszył do akcji.

Z samochodu wytoczył się funkcjonariusz z piłą i ruszył w kierunku wejścia. Dirk dziarsko doń dołączył: pozostając o krok z tyłu, kroczył pewnie i autorytatywnie.

- W porządku, on jest ze mną - rzucił, prześlizgując się obok dokładnie w chwili, gdy jeden policjant zatrzymywał drugiego.

I już był w środku, i wbiegał na schody. Policjant z piłą wszedł za nim.

- E... przepraszam bardzo - zawołał.

Dirk właśnie dotarł do kanapy. Stał i obrócił się raptownie.

- Zostańcie tutaj - rzucił. - Pilnujcie tej kanapy. Nie pozwólcie nikomu jej dotknąć, nikomu, mówię. Zrozumiano?

Policjant zmieszał się na chwilę.

- Otrzymałem rozkaz, żeby ją rozpiłować - odparł.

- Odwołany - warknął Dirk. - Strzeżcie jej jak jastrząb. Chcę otrzymać pełny raport.

Odwrócił się i przelazł przez mebel. Po chwili wyszedł na dość sporą wolną przestrzeń. To było niższe z dwóch pięter, jakie obejmowało mieszkanie Richarda.

- Przeszukaliście to? - rzucił ostro pod adresem kolejnego policjanta, który siedział przy stole w jadalni Richarda, przeglądając jakieś notatki. Policjant, zaskoczony, podniósł wzrok i zerwał się na równe nogi. Dirk wskazywał na kosz do śmieci.

- E... tak...

- Przeszukajcie jeszcze raz. Nie ustawajcie w poszukiwaniach. Kto tu jest?

- E... no...

- Nie mam na to całego dnia.

- Detektyw-inspektor Mason właśnie wyszedł, razem z...

- W porządku, kazałem go zdjąć. W razie czego jestem na górze, ale nie chcę, żeby mi ktokolwiek przeszkadzał, chyba że to będzie coś pilnego. Zrozumiano?

- E... z kim...

- Jakoś nie widzę, żebyście przeszukiwali ten kosz.

- Tak jest, ja...

- Chcę, żeby był przeszukany na wylot. Zrozumieliście? - E...

- No to do roboty.

Dirk przemknął po schodach do pracowni Richarda.

Taśma leżała dokładnie tam, gdzie miała leżeć - na długim biurku, na którym stało rzędem sześć Macintoshów. Dirk już miał zwędzić taśmę, kiedy zaciekawiał go obraz kanapy Richarda obracającej się powoli na wielkim ekranie komputera, zasiadł więc do klawiatury.

Przez chwilę badał program, który napisał sobie Richard, ale szybko zorientował się, że w obecnej wersji nie miał on jeszcze żadnych objaśnień, więc niewiele mu z niego przyszło. Zdołał wprawdzie wydostać kanapę i znieść ją po schodach, ale zdał sobie sprawę, że przy okazji usunął część ściany. Stęknął poirytowany i dał spokój.

Drugi komputer przedstawiał coś jakby stałą sinusoidę. Przy krawędziach ekranu wyświetlone były małe krzywizny innych fal, które można było wybierać i dodawać do głównej lub w inny sposób używać do jej modyfikacji. Dirk szybko odkrył, że w ten sposób z bardzo prostych fal można tworzyć bardzo skomplikowane, pobawił się więc przez chwilę. Dodał prostą sinusoidę do niej samej, co dało w efekcie podwojenie wymiarów ekstremów. Potem przesunął jedną o pół kroku w stosunku do drugiej, przez co ekstrema jednej zniwelowały ekstrema drugiej i pozostała zwykła prosta. Potem odrobinę zmienił częstotliwość jednej z fal.

W rezultacie w niektórych miejscach fale wzmocniły jedna drugą, w innych się zniwelowały. Dodawszy trzecią prostą falę o jeszcze innej częstotliwości, otrzymał falę złożoną, w której trudno było się doszukać jakiegokolwiek regularności. Linia tańczyła w górę i w dół, na pierwszy rzut oka chaotycznie, czasem trzymając się niziutko, czasem piętrząc się w bardzo wysokie szczyty i opadając w głębokie doliny, jakby fazy wszystkich trzech fal nagle się zrównały.

Dirk przypuszczał, że gdzieś pomiędzy tym zestawem sprzętu musi być coś, co przetwarza falę tańczącą na ekranie w rzeczywisty muzyczny ton, przeszukał więc wszystkie dostępne w programie menu. Znalazł polecenie, które zapraszało go, aby otrzymaną falę przekazał do jakiegoś emu.

Zdziwił się. Rozejrzał się po pokoju w poszukiwaniu wielkiego nielota, ale nie udało mu się zlokalizować nic podobnego. Mimo to uruchomił cały proces, a potem ruszył śladem kabla, który wychodził z tyłu komputera, przechodził pod biurkiem, ciągnął się po podłodze, za szafką, pod dywanem, aż w końcu okazało się, że jest podłączony z tyłu wielkiego szarego keyboardu zwanego właśnie Emulatorem II.

To tu, domyślił się, musiała właśnie dotrzeć jego eksperymentalna fala. Ostrożnie nacisnął jakiś klawisz.

Obrzydliwy, pierdzący odgłos, jaki natychmiast buchnął z głośników, zagłuszył na chwilę słowa: - Svlad Cjelli! - które warknęto właśnie w okolicy drzwi.

Richard siedział w biurze Dirka i zabawiał się wrzucaniem małych kulek papieru do kosza na śmieci, pełnego telefonicznych słuchawek. Połamał już ołówki. Powygrywał na kolanach wszystkie

ważniejsze partie solówki starego Gingera Bakera.

Jednym słowem: trafił się.

Próbował już także zapisać na kartce z notatnika Dirka wszystko, co potrafił sobie przypomnieć na temat wydarzeń ostatniego wieczoru oraz - tak dalece, jak potrafił je określić - godziny poszczególnych wydarzeń. Zdumiał się, jak wielką sprawiło mu to trudność i jak słaba okazała się jego świadoma pamięć w porównaniu z pamięcią podświadomą, którą zademonstrował mu Dirk.

Do diabła z Dirkiem, pomyślał. Chciał porozmawiać z Susan.

Dirk kategorycznie zakazał mu dzwonić, ponieważ policja na pewno będzie sprawdzać linię.

- Do diabła z Dirkiem - oznajmił nagle i skoczył na równe nogi. - Czy nie ma pani dziesięciopensówki? - zwrócił się do desperacko ponurej Janice.

Dirk odwrócił się.

W drzwiach rysowała się jakaś wysoka, ciemna sylwetka.

Wysoka sylwetka nie wyglądała na uszczęśliwioną tym, co właśnie ogląda, a właściwie wyglądała, jakby widok ten ją złościł. A nawet gorzej. Ciemna postać wyglądała tak, jakby mogła bez trudu poodrywać głowy półtuzinowi kurczaków i dalej się złościć.

Weszła do środka i okazała się sierżantem Gilksem z komendy okręgowej hrabstwa Cambridge.

- Czy wiesz - odezwał się sierżant Gilks, mrugając od powstrzymanych emocji - że kiedy przyjeżdżam tu i odkrywam, że jeden policjant pilnuje z piłą kanapy, a drugi wybebesza niewinny kosz na śmieci, muszę zadać sobie kilka pytań? I że muszę je sobie zadawać w niepokojącym poczuciu, że odpowiedzi, kiedy już się znajdą, wcale mi się nie spodobają? A potem odkrywam, że przy wchodzeniu po schodach towarzyszy mi straszne przeczucie, Svladzie Cjelli, naprawdę, bardzo straszne przeczucie. Przeczucie, które - pragnę dodać - w straszny sposób się sprawdza. Jak przypuszczam, nie jesteś w stanie rzucić światła na sprawę konia odkrytego wczoraj w pewnej łazience? Ta sprawa była bardzo w twoim stylu.

- Nie, nie jestem w stanie - odparł Dirk. - Na razie. Choć dziwnie mnie to ciekawi.

- Ja myślę. A byłoby cię jeszcze dziwniej ciekawiło, gdybyś musiał do tego taskać to cholerne zwierzę po tych cholernych kręconych schodach o pierwszej nad ranem. Co tu, u diabła, robisz? - mówił sierżant Gilks znużonym głosem.

- Jestem tu - odparł Dirk - w poszukiwaniu sprawiedliwości.

- No to na twoim miejscu nie wchodziłbym mi w drogę - oznajmił Gilks - i z całą pewnością nie wchodziłbym też w drogę tym ze stołecznej. Co wiesz na temat MacDuffa i Waya?

- Waya? Nic poza tym, co ogólnie wiadomo. MacDuffa znałem z Cambridge.

- Och, naprawdę? Opisz mi go.

- Wysoki. Wysoki i niedorzecznie chudy. Dobroduszny. Trochę jak drapieżna modliszka, która nie

poluje. Albo raczej niedrapieżna modliszka, jeśli pan woli. Rodzaj przyjemnej, dobrotliwej modliszki, która rzuciła polowanie i zamiast tego zaczęła grać w tenisa.

- Hmm - burknął Gilks, odwracając się do niego plecami i rozglądając się po pokoju. Dirk zwędził taśmę.

- Wygląda, że to ten sam - powiedział Gilks.

- No i rzecz jasna - dodał Dirk - całkowicie niezdolny do popełnienia morderstwa.

- O tym już my będziemy decydować.

- No i oczywiście sąd.

- Phi! Sądy!

- Chociaż, rzecz prosta, nigdy do tego nie dojdzie, ponieważ fakty będą mówić same za siebie, na długo zanim sprawa mojego klienta trafi do sądu.

- Twojego zakichanego klienta, co? Dobra, Cjelli, gdzie on jest?

- Nie mam najmniejszego pojęcia.

- Założę się, że masz jakiś adres, pod który wysyłasz rachunki. Dirk wzruszył ramionami.

- Słuchaj, Cjelli, to jest absolutnie normalne, nieszkodliwe dochodzenie w sprawie zabójstwa i nie chcę, żebyś mi tu coś spartaczył. Od teraz więc czuj się ostrzeżony. Jeśli zobaczę choć jeden lewitujący dowód rzeczowy, to tak ci przyłożę, że nie będziesz pamiętał, czy to już jutro czy czwartek. A teraz wynoś się, a po drodze oddaj mi taśmę. - Wyciągnął rękę.

Dirk zamrugnął szczerze zaskoczony.

- Jaką taśmę? Gilks westchnął.

- Sprytny z ciebie facet, Cjelli, to pewne - rzekł. - Ale jak wielu sprytnych ludzi, popełniasz stale ten sam błąd: myślisz, że cała reszta to głupcy. Jeśli się odwracam, to nie bez powodu, tylko po to, żeby zobaczyć, co weźmiesz. Wcale nie musiałem widzieć, co bierzesz, wystarczyło sprawdzić potem, czego brakuje. Jak wiesz, mamy szkolenia. Kiedyś mieliśmy co wtorek półgodzinne treningi obserwacyjne. Jako przerywnik po czterech solidnych godzinach ćwiczeń z bezcelowej brutalności.

Dirk ukrył złość na samego siebie za lekkim uśmiechem. Pogmerał w kieszeni swego skózanego płaszcza i wręczył Gilksowi taśmę.

- Puść ją - rozkazał Gilks. - Zobaczymy, czego to nie chciałeś dać nam posłuchać.

- Nie o to chodzi, że nie chciałem wam dać posłuchać - odparł Dirk ze wzruszeniem ramion - tylko że chciałem posłuchać pierwszy.

Podszedł do szafki, na której stała aparatura hi-fi, i wsunął kasetę do magnetofonu.

- No to może zrobisz mi małe wprowadzonko?

- To jest kaseeta z automatycznej sekretarki Susan Way. Way miał ten swój zwyczaj zostawiania długich...

- Tak, wiem o tym. A ta jego nieszczęsna sekretarka musiała co rano chodzić i zbierać tę paplaninę.

- No cóż, wydaje mi się, że na tej taśmie może być wiadomość nadana wczoraj wieczorem z samochodu Waya.

- Rozumiem. No dobra, puść ją.

Z wdzięcznym ukłonem Dirk przycisnął klawisz.

- Susan, cześć, tu Gordon - powiedziała po raz kolejny taśma. - Jadę właśnie do letniego domku...

- Letniego domku! - prychnął Gilks.

- Jest, hm... czwartek, godzina, hm... 20.47. Na drogach trochę mglisto. Słuchaj, na weekend mają do mnie zjechać ci ludzie ze Stanów...

Gilks uniósł brwi i zapisał coś w notesie. Zarówno Dirka, jak i sierżanta przebiegł nagły dreszcz, kiedy pokój wypełnił głos nieżyjącego mężczyzny.

-...cud, że nie skończyłem w jakimś rowie. To byłoby coś, nie uważasz, zostawić swoje słynne ostatnie słowa na czyjejs automatycznej sekretarce, nie wiem, dlaczego...

Słuchali w napięciu aż do końca nagrania.

- Tak to właśnie jest z jajogłowymi: mają jeden dobry pomysł, który im wyjdzie, a potem chcą, żeby bez końca ich sponsorować, kiedy sami siedzą i kontemplują topografię własnego pępka. Przepraszam na chwilę, muszę wyskoczyć i zamknąć dobrze ten bagażnik. Zaraz wracam.

Teraz nastąpił głuchy odgłos, jaki wydaje rzucona na siedzenie słuchawka, a kilka sekund później dźwięk otwierania drzwi. W tym samym czasie z głośników samochodu dobiegało szemranie muzyki. Jeszcze kilka sekund później dobiegł ich odległy, przytłumiony, lecz nie budzący żadnych wątpliwości podwójny huk wystrzału z dubeltówki.

- Zatrzymaj taśmę - rzucił ostro Gilks i zerknął na zegarek. - Trzy minuty i dwadzieścia sekund, od czasu, kiedy powiedział, że jest 20.47. - Znow spojrzął na Dirka. - Zostań tu. Nie ruszaj się. Niczego nie dotykaj. Zanotowałem położenie każdej cząsteczki powietrza w tym pokoju, tak żebym wiedział, czy oddychałeś.

Odwrócił się na pięcie i wyszedł. Dirk słyszał, jak mówi, schodząc po schodach: - Tuckett, jedź do biura WayForward i zdobądź kilka szczegółów o telefonie w samochodzie Waya - jaki numer, która sieć... - Głos rozpląnął się powoli na dole schodów.

Dirk szybko ściszył głośniki magnetofonu i na powrót włączył kasetę.

Przez dłuższą chwilę słyhać było tylko samą muzykę. Dirk, sfrustrowany, zaczął bębnić palcami o blat. Nadal grała muzyka.

Na chwilę wcisnął przewijanie. Nadal ta muzyka. Przyszło mu do głowy, że wyraźnie czegoś szuka,

ale nie miał pojęcia czego. Ta myśl nagle osadziła go w miejscu.

Zdecydowanie czegoś szuka.

Równie zdecydowanie nie wie czego.

Kiedy zdał sobie sprawę, że nie bardzo wie, dlaczego robi to, co robi, przeszył go nagły, elektryzujący dreszcz. Odwrócił się powoli jak otwierające się drzwiczki lodówki.

Za nim nie było nikogo, w każdym razie nikogo, kto byłby widoczny. Ale znał ten dreszcz, który przeszywał mu teraz skórę, i nie znosił go najbardziej na świecie. Odezwał się cichym, groźnym głosem:

- Jeśli ktokolwiek mnie słyszy, niechaj usłyszy to: mój umysł to moje centrum i wszystko, co w nim zachodzi, dzieje się na moją odpowiedzialność. Inni ludzie mogą sobie wierzyć, w co chcą, ale ja nie zrobię nic, dopóki nie poznam dokładnie przyczyn, dla których to robię. Jeśli czegoś chcesz, to daj mi znać, ale wara ci od mojego umysłu.

Drżał cały od głębokiego, pradawnego gniewu. Dreszcz z wolna ustąpił i zdawało się, że przesunął się gdzieś w głąb pokoju. Dirk próbował podążać za nim zmysłami, lecz w tej samej chwili przeszkodził mu z nagłą głos, który dotarł doń na samej granicy słyszalności, jak odległe wycie wiatru.

Był to pusty, przerażony, oszołomiony głos, nie więcej niż bezcielesny szept, ale był, w pełni słyszalny, zarejestrowany na taśmie automatycznej sekretarki. Mówił:

- Susan! Susan, błagam, pomóż mi! Pomóż mi, na litość boską! Susan, ja nie żyję...

Dirk obrócił się gwałtownie i zatrzymał taśmę.

- Przykro mi - szepnął ledwo dosłyszalnie - ale muszę mieć na względzie dobro mego klienta.

Cofnął taśmę do punktu, w którym zaczynał się tamten głos, przykręcił gałkę nagrywania do zera i wcisnął odpowiedni klawisz. Zostawił tak taśmę, żeby skasować głos i wszystko, co mogło być nagrane po nim. Jeśli ta taśma miała pomóc w ustaleniu dokładnej godziny śmierci Gordona Waya, to Dirk nie życzył sobie żadnych późniejszych, kłopotliwych próbek głosu Gordona, nawet jeśli miałyby tylko potwierdzać, że on nie żyje.

W powietrzu obok niego nastąpiła wielka erupcja uczuć. Przez pokój przeleciała nieokreślona fala, w ślad za którą meble zatrzepotały nerwowo. Dirk obserwował, dokąd się udaje - w kierunku półki, na której, jak sobie nagle uświadomił, stała automatyczna sekretarka Richarda. Sekretarka zaczęła podrygiwać w kapryśnych zrywach, a potem uspokoiła się, kiedy Dirk podszedł bliżej. Powoli, spokojnie wyciągnął rękę i włączył maszynę.

Zawirowanie powietrza przesunęło się z powrotem do biurka, na którym pomiędzy stosami papierów i dyskietek gnieździły się dwa staromodne telefony z tarczami do wykręcania numerów. Dirk domyślał się, co się teraz będzie działo, ale tym razem wolał obserwować, niż się wtrącać. Jedna ze słuchawek stoczyła się z widełek. Dirk usłyszał ciągły sygnał. Potem, powoli i z wyraźnym trudem, tarcza zaczęła się kręcić. Obracała się nierówno, trochę, potem jeszcze trochę, coraz wolniej i

wolniej, a potem nagle odskoczyła na miejsce.

Nastąpiła chwila przerwy. Potem guziki na widelkach powędrowały na dół, a potem znów do góry, wywołując jeszcze raz ciągły sygnał. Tarcza zaczęła się powtórnie obracać, lecz skrzypiała przy tym jeszcze bardziej kapryśnie niż poprzednio.

I jeszcze raz odskoczyła na miejsce.

Tym razem nastąpiła dłuższa przerwa, po której cały proces został powtórzony po raz trzeci.

Kiedy tarcza odskoczyła i tym razem, w powietrzu nastąpiła gwałtowna eksplozja furii - telefon podskoczył nagle w górę i poszybował przez pokój. Kabel słuchawki oplatał się po drodze wokół kreślarskiej lampy i pociągnął ją za sobą, rozbijając, wraz z całym mnóstwem splątanych kabli, filiżanek po kawie i dyskietek. Ze stołu eksplodowała w powietrze sterta książek i poleciała na podłogę.

W drzwiach rysowała się sylwetka sierżanta Gilksa o kamiennym wyrazie twarzy.

- Zaraz wejdę tu jeszcze raz - oznajmił - a kiedy to zrobię, żeby mi się tu nie działo nic podobnego. Czy to jasne? - Odwrócił się i zniknął.

Dirk podskoczył do magnetofonu i wcisnął przewijanie. Następnie odwrócił się i wysyczał w powietrze:

- Nie wiem, kim jesteś, ale mogę się domyślić. Jeśli chcesz, żebym ci pomógł, nigdy więcej nie waz się stawiać mnie w takiej sytuacji!

Kilka chwil później Gilks wkroczył ponownie.

- A, jesteś - powiedział.

Obojętnym spojrzeniem omiół całe pobożowisko.

- Udam, że tego nie widzę, żebym nie musiał zadawać żadnych pytań, na które odpowiedzi, jak wiem, tylko mnie zirytują.

Dirk patrzył spode łba.

W chwili ciszy, jaka teraz nastąpiła, dało się słyszeć ciche, tykające furkotanie, które sprawiło, że sierżant spojrział ostro na magnetofon.

- Co robi ta taśma?

- Przewija się.

- Daj mi ją.

Taśma przewinęła się już do samego początku i zatrzymała się akurat wtedy, kiedy Dirk po nią sięgał. Wyjął ją i wręczył Gilksowi.

- Choć to irytujące, dzięki niej twój klient wydaje się zupełnie czysty - oznajmił sierżant. - W Cellnecie potwierdzili, że ostatni telefon wykonany z samochodu miał miejsce wczoraj o 20.47, a w

tym momencie twój klient drzemał lekko w obecności kilkuset świadków. Mówię świadków, choć w większości to byli studenci, ale pewnie zmuszeni będziemy przyjąć, że wszyscy nie mogą kłamać.

- To dobrze - skwitował Dirk. - Cieszy mnie, że wszystko się wyjaśniło.

- Wcale nie myśleliśmy, że to on, to jasne. Zwyczajnie nie pasował. Ale wiesz, jacy jesteśmy: lubimy mieć wyniki. W każdym razie powiedz mu, że i tak chcielibyśmy zadać mu kilka pytań.

- Nie omieszkam wspomnieć, jeśli gdzieś na niego wpadnę.

- Wyświadczyć mi tę drobną przysługę.

- No cóż, nie będę pana dłużej zatrzymywał, sierzancie - rzucił Dirk, czyniąc nieokreślony gest w kierunku drzwi.

- Nie, ale ja cię zaraz zatrzymam, Cjelli, jeśli nie wyniesiesz się stąd w ciągu trzydziestu sekund. Nie wiem, co knujesz, ale jeśli uda mi się nie dowiedzieć, będę mógł spać spokojniej w swoim biurze.

- Zatem życzę miłego dnia, sierzancie. Nie powiem, że miło było pana spotkać, bo nie było.

Dirk wyniósł się z pokoju, a potem i z mieszkania, zauważając ze smutkiem, że w miejscu, gdzie tak okazała tkwiła zaklinowana wielka kanapa w stylu chesterfield, teraz pozostała jedynie mała, smętna kupka trocin.

Wzdrygnąwszy się gwałtownie, Michael Wenton-Weakes oderwał wzrok od książki.

Z nagłą jego umysł ożywił się poczuciem celu. Myśli, obrazy, wspomnienia, zamiary - wszystko to stłoczyło się w jego głowie, i zdawało się, że im bardziej sobie przeczą, tym lepiej do siebie pasują, uzupełniają się i stabilizują.

W końcu uzupełniły się doskonale, jedne zazębiły się z drugimi.

Jedno pociągnięcie i zamek się zapiał.

Choć oczekiwanie wydało mu się dłuższe niż wieczność, kiedy wypełniało je poczucie klęski, zanikające fale słabości, szukanie po omacku i samotna niemożność, teraz, kiedy wszystko doskonale pasowało, reszta przestanie się liczyć. Wszystko odwołamy. Zniwelujemy skutki katastrofy.

Kto tak myślał? To nieistotne, bo wszystko pasuje, pasuje doskonale.

Michael gapił się przez okno na starannie utrzymaną ulicę w Chelsea i nie obchodziło go, czy widzi śliskie stwory na nogach, czy wszystkie one są panem A.K. Rossem. Liczyło się tylko to, co ukradły i co teraz zmuszone będą zwrócić. Ross należał już do przeszłości. A to, co go teraz obchodziło, leżało w niej jeszcze głębiej.

Jego wielkie, wilgotne, krowie oczy powróciły do ostatnich linijek Kubli Chana. Wszystko pasowało doskonale, zamek został zaciągnięty.

Zamknął książkę i schował do kieszeni.

Jego droga wstecz rysowała się jasno. Wiedział, co ma robić. Jeszcze tylko drobny zakup i do dzieła.

Rozdział dwudziesty drugi

- Ty? Poszukiwany za morderstwo? Richard, o czym ty mówisz? Słuchawka w ręku Richarda zachybotała. I tak trzymał ją jakieś pół cala od ucha, ponieważ wyglądała, jakby ktoś niedawno umaczał ją w chińskim sosie, ale nie to było najgorsze. W końcu to był publiczny aparat, więc i tak zakrawało na niedopatrzzenie, że jeszcze działał. Ale Richarda opanowało poczucie, że cały świat odsunął się od niego na tę odległość, jak od faceta z reklamy dezodorantu.

- Gordon... - rzucił z wahaniem - Gordon został zamordowany, prawda?

Susan pomilczała chwilę, zanim odpowiedziała.

- Tak, Richardzie - rzekła strapionym głosem - ale nikt nie podejrzewa o to ciebie. Oczywiście, chcą cię przesłuchać...

- Więc nie ma u ciebie policji?

- Nie, Richardzie - powtórzyła uparcie. - Słuchaj, a może byś tu przyjechał?

- I nie poszukują mnie?

- Nie! Skąd, u licha, przyszło ci do głowy, że jesteś poszukiwany za... że cię o to podejrzewają?

- Hm... no cóż, jeden znajomy mi powiedział.

- Kto?

- Nazywa się Dirk Gently.

- Nigdy mi o nim nie wspominałeś. Czy mówił coś jeszcze?

- Zahipnotyzował mnie i... ee... kazał wskoczyć do kanału i... ee... to już wszystko, naprawdę...

Po drugiej stronie zaległa okropnie długa chwila ciszy.

- Richardzie - oznajmiła Susan głosem pełnym tego rodzaju spokoju, jaki zwykle zstępuje na ludzi, kiedy nagle zdają sobie sprawę, że jakkolwiek źle przedstawiałyby się sprawy, nie ma żadnego powodu, żeby nie mogły wyglądać jeszcze gorzej - przyjedź tu. Miałam zamiar powiedzieć, że muszę się z tobą zobaczyć, ale sądzę, że to raczej ty musisz zobaczyć się ze mną.

- Powinienem pewnie pójść na policję.

- Na policję pójdziesz później. Richardzie, proszę cię. Tych kilka godzin niczego nie zmieni. Ja... ja ledwie mogę pozbierać myśli. Richardzie, to takie straszne. Bardzo by mi pomogło, gdybyś tu był. Gdzie jesteś?

- W porządku - odparł Richard - będę u ciebie za jakieś dwadzieścia minut.

- Mam zostawić otwarte okno czy tym razem spróbujesz skorzystać z drzwi? - zapytała, pociągając nosem.

Rozdział dwudziesty trzeci

- Proszę, nie - powiedział Dirk, powstrzymując rękę panny Pearce przed otwarciem pisma z urzędu skarbowego. - Bywają rzeczy groźniejsze niż to.

Przerwał właśnie zakłęty krąg rozmyślań w swym zaciemnionym biurze i otaczała go aura skoncentrowanego podniecenia. Musiał posunąć się aż do złożenia autentycznego podpisu na najprawdziwszym czeku z wypłatą, żeby przebłagać pannę Pearce po ostatniej nieuzasadnionej finansowej ekstrawagancji, z którą wrócił przedtem do biura, więc miał poczucie, iż tak ostentacyjne otwieranie listów od fiskusa, jest nad wyraz niewłaściwą reakcją na jego wielkoduszny gest.

Odłożyła kopertę na bok.

- Chodźmy - rzekł. - Mam tu coś, co chciałbym pani pokazać. Będę obserwował pani reakcje z najwyższym zainteresowaniem.

Wpadł z powrotem do swego gabinetu i zasiadł za biurkiem.

Ruszyła za nim cierpliwie i usiadła naprzeciw, w widoczny sposób ignorując nową, nieuzasadnioną ekstrawagancję finansową, która stała na biurku.

Już zbyt kowna mosiężna tabliczka na drzwi solidnie nią poruszyła, ale ten idiotyczny czerwony telefon z wielkimi guzikami uznała za rzecz poniżej wszelkiej krytyki. A już z pewnością nie zaryzykuje nic tak pochopnego jak uśmiech, dopóki się nie przekona, że ten czek to pewniak. Ostatnim razem, kiedy podpisał jej czek, anulował go jeszcze tego samego dnia, żeby go ustrzec, jak to określił, od wpadnięcia w niepowołane ręce. „Niepowołane ręce” należały niewątpliwie do dyrektora jej banku.

Podał jej przez biurko kawałek papieru.

Wzięła go i rzuciła nań okiem. Potem odwróciła do góry nogami i znów mu się przyjrzała. Zajrzała na drugą stronę i odłożyła na biurko.

- No i? - dopytywał się Dirk. - Co pani z tego zrozumiała? Niech mi pani powie!

- To jest mnóstwo niezrozumiałych zakrętasów, wykonanych niebieskim flamastrem na kawałku papieru maszynowego - orzekła. - Prawdopodobnie wykonał je pan osobiście.

- Nie! - warknął Dirk. - A właściwie tak - przyznał - ale tylko dlatego, że wierzę, iż w tym tkwi rozwiązanie problemu.

- Jakiego problemu?

- Problemu - upierał się Dirk, uderzając dłonią o blat biurka - ze sztuczką magiczną! Przecież pani mówiłem!

- Tak, panie Gently, niejednym razem. Wydaje mi się, że to zwykła sztuczka magiczna. Pokazują je czasem w telewizji.

- Z tą różnicą, że ta była całkowicie niemożliwa do wykonania!

- Nie mogła być niemożliwa do wykonania, bo by jej nie wykonał. Logiczne.

- No właśnie! - wykrzyknął w podnieceniu Dirk. - No właśnie, właśnie! Panna Pearce, jest pani kobietą o wyjątkowej percepcji i wnikliwości.

- Dziękuję panu, czy mogę już odejść?

- Proszę poczekać! Jeszcze nie skończyłem! W żadnym razie! Pani zademonstrowała mi głębię swej percepcji i wnikliwości, pozwoli pani, że teraz ja zademonstruję swoją.

Panna Pearce opadła cierpliwie na krzesło.

- Myślę - ciągnął Dirk - że będzie pani pod wrażeniem. Proszę rozważyć następującą rzecz. Mamy problem nie do rozwikłania. W poszukiwaniu rozwiązania zataczałem w myślach niewielkie kółka, rozważając ciągle te same, przyprawiające o szaleństwo sprawy. Było jasne, że nie będę w stanie myśleć o niczym innym, dopóki nie uzyskam odpowiedzi, lecz równie jasne było i to, że muszę pomyśleć o czymś innym, jeżeli mam kiedykolwiek tę odpowiedź otrzymać. Jak przerwać ten zaklęty krąg? Niech pani zapyta jak.

- Jak? - zapytała panna Pearce posłusznie, lecz bez szczególnego entuzjazmu.

- Zapisując sobie odpowiedź! - wykrzyknął Dirk. - A oto i ona! - Triumfalnie trzepnął dłonią w leżący na biurku papier i z zadowolonym uśmiechem rozparł się w fotelu.

Panna Pearce przyjrzała mu się niemo.

- A w rezultacie - mówił dalej Dirk - mogę teraz zwrócić swoje myśli ku świeżym i intrygującym problemom, jak na przykład...

Wziął ze stołu kartkę pokrytą bezcelowymi zawijasami i bazgrołami i wręczył panie Pearce.

- W jakim języku - zapytał cichym, niskim głosem - to jest napisane?

Panna Pearce nadal przyglądała się jej niemo.

Dirk rzucił kartkę, wyłożył nogi na biurku i założywszy ręce za głowę, odchylił ją mocno do tyłu.

- Widzisz, czego dokonałem? - zapytał sufitu, który jakby zachnął się trochę na tak niespodziane wciągnięcie go do rozmowy. - Przetransformowałem ten problem z trudnej do rozwiązania - możliwe, że zupełnie nie do rozwikłania - enigmy w zwykłą zagadkę lingwistyczną. Aczkolwiek - mruknął po długiej chwili milczących rozmyślań - trudną do rozwiązania i możliwe, że w ogóle nie do rozwikłania.

Odchylił się do tyłu i wpatrzył intensywnie w pannę Pearce.

- No dalej - ponaglił. - Niech pani powie, że to czyste szaleństwo - ale może coś z tego wyjdzie!

Panna Pearce odchrząknęła.

- To czyste szaleństwo - odrzekła. - Może mi pan wierzyć.

Dirk odwrócił się i zwiesił ręce po bokach fotela, tak samo pewnie jak swego czasu model pozujący do „Myśliciela”, kiedy Rodin musiał na chwilę przeprosić.

Wyglądał na ogromnie zmęczonego i głęboko zdeprecjonowanego.

- Wiem - odezwał się cichym, zrozpaczonym głosem - że gdzieś dzieje się coś bardzo niedobrego. I wiem, że muszę pojechać do Cambridge, żeby to naprawić. Ale bałbym się znacznie mniej, gdybym wiedział, co to jest...

- Czy w takim razie mogę już wrócić do pracy?

Dirk podniósł na nią posępny wzrok.

- Tak - odparł z westchnieniem. - Tylko niech mi pani powie... niech mi pani powie... - końcami palców chwycił kartkę - co pani o tym sądzi?

- No cóż, myślę, że to dziecinada - odparła szczerze panna Pearce.

- Ale, ale, ale! - wykrzyczał Dirk, z frustracji łomocąc w stół.

- Czy pani nie pojmuje, że musimy być jak dzieci, jeśli chcemy zrozumieć? Jedyne dziecko patrzy na sprawy z doskonałą jasnością umysłu, bo nie rozwinęło jeszcze w sobie tych wszystkich filtrów, które pozwalają nam widzieć tylko to, co spodziewamy się zobaczyć.

- No to dlaczego nie pójdzie pan zapytać jakiegoś dziecka?

- Dzięki, panno Pearce - rzucił Dirk, sięgając po kapelusz - jeszcze raz oddała mi pani nieoszacowanej wartości przysługę, za którą jestem pani niewymownie wdzięczny.

I wyniósł się.

Rozdział dwudziesty czwarty

Kiedy Richard zdążył do mieszkania Susan, pogoda znacznie się pogorszyła. Niebo, które rozpoczęło dzień z taką werwą i w tak świetnym nastroju, zaczęło stopniowo tracić koncentrację i wślizgiwać się z powrotem w swój normalny, angielski stan, w którym przypominało wilgotną i zatechłą ścierkę kuchenną. Richard wziął taksówkę, która zawiozła go na miejsce w kilka minut.

- Wszystkich powinno się deportować - oświadczył taksówkarz, kiedy stanęli.

- Których wszystkich? - spytał Richard, który zdał sobie sprawę, że nie słyszał ani słowa z tego, co mówił kierowca.

- E... - odparł taksówkarz, który nagle zorientował się, że także nie słuchał - tę całą bandę. Mówię: trzeba się pozbyć całej tej cholernejszej bandy. Razem z ich cholernymi traszkami - dodał, żeby dopełnić miary.

- Podejrzewam, że ma pan rację - odparł Richard i popędził do domu Susan.

Dochodząc do drzwi jej mieszkania, usłyszał dobiegający ze środka dźwięk wiolonczeli, na której Susan grała jakąś powolną i stateczną melodię. Ucieszył się, że grała. Susan posiadała zdumiewającą emocjonalną samowystarczalność oraz sporo opanowania - pod warunkiem, że mogła grać na swojej wiolonczeli. Zauważył, że kiedy tylko coś ją poruszyło albo zasmuciło, mogła zasiąść do instrumentu i grać z najwyższym skupieniem, po czym wstawała spokojna i odświeżona. Jednakże kiedy

następnym razem grała ten sam kawałek, tamte uczucia wybuchały w niej na nowo i zupełnie ją rozkładały.

Otworzył drzwi, najciszej jak potrafił, żeby jej nie rozpraszać.

Minął na palcach pokoik, w którym zwykle ćwiczyła, lecz drzwi były otwarte, więc przystanął i popatrzył na nią, najlżejszym z gestów dając znak, by nie przerywała. Wyglądała blado i mizernie, lecz obdarzyła go błyskiem uśmiechu i dalej ciągnęła smyczek z nagłym przyplływem energii.

Z idealnym wyczuciem chwili, o które rzadko można je posądzić, słońce wybrało sobie ten akurat moment, żeby przedrzeć się przez zbierające się deszczowe chmury, i kiedy Susan grała na swojej wiolonczeli, przedburzowe światło igrało po jej postaci i po głębokim, starym, drewnianym brzędzie instrumentu. Richard stał bez ruchu, oczarowany. Zgiełk dnia zatrzymał się na moment i odsunął na pełen respektu dystans.

Nie znał tej melodii, ale brzmiała jak Mozart; pamiętał też, jak mówiła, że musi poćwiczyć jakiegoś Mozarta. Wszedł po cichu i usiadł, by poczekać i posłuchać.

Kiedy dotarła do końca utworu, odczekała minutę w ciszy, zanim doszła do siebie. Zamrugła, uśmiechnęła się i obdarzyła go długim, drżącym uściskiem, potem uwolniła się z jego ramion i położyła słuchawkę telefonu na widełki. Zwykle zdejmowała ją, kiedy ćwiczyła.

- Przepraszam - powiedziała - nie chciałam przerywać. - Szorstko otarła łzę, jakby była tylko wynikiem lekkiego podrażnienia oka. - Jak się miewasz, Richardzie?

Wzruszył ramionami i obrzucił ją oszołomionym spojrzeniem. W ten sposób wyraził mniej więcej wszystko.

- A ja pewnie będę musiała jakoś żyć dalej - powiedziała z westchnieniem Susan. - Przepraszam. Ja po prostu... - Potrząsnęła głową. - Kto to mógł zrobić?

- Nie wiem. Jakiś szaleniec. Nie jestem pewien, czy to ma jakiegokolwiek znaczenie.

- Nie ma - odparła. - Słuchaj, jadłeś już lunch?

- Nie. Susan, ty sobie graj, a ja zobaczę, co jest w lodówce. Możemy porozmawiać o tym wszystkim przy jedzeniu.

Susan skinęła głową.

- W porządku - zgodziła się - tylko że...

- Tak?

- Cóż, na razie wolałabym nie rozmawiać o Gordonie. Dopóki to się nie uleży. Czuję się jakby przyłapaną. Byłoby mi łatwiej, gdybyśmy byli ze sobą bliżej, ale nie byliśmy i teraz czuję się zakłopotana, bo nie mam na podorędziu gotowej reakcji. Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby o tym rozmawiać, tylko że trzeba by przy tym używać czasu przeszłego, a to właśnie...

Przyłgnęła do niego na chwilę, a potem uspokoiła się westchnieniem.

- W tej chwili nie mam zbyt wiele w lodówce - powiedziała. - Jakiś jogurt, jak mi się zdaje, słoik rolmopsów, który mógłbyś otworzyć. Jestem pewna, że gdybyś się uparł, dałbyś radę to sknocić, ale to w gruncie rzeczy dość proste. Sztuka w tym, żeby nie rozrzucić ich po całej podłodze ani nie posmarować dżemem.

Obdarzyła go uściskiem, pocałunkiem i smętnym uśmiechem, po czym wróciła do pokoju do ćwiczeń.

Zadzwonił telefon, więc Richard odebrał.

- Halo? - rzucił do słuchawki. Nie usłyszał nic z wyjątkiem pogłosu zbliżonego do wycia wiatru. - Halo? - powtórzył; poczekał chwilę, wzruszył ramionami i odłożył słuchawkę.

- Czy ktoś się odezwał? - zawołała Susan.

- Nie, nikt.

- To się zdarza już kolejny raz - powiedziała Susan. - To chyba jakaś minimalistyczna wersja któregoś z tych dyszących w słuchawkę.

Ponieważ wróciła do grania, Richard udał się do kuchni. W przeciwieństwie do Susan nie przywiązywał specjalnej wagi do prawidłowego żywienia i dlatego nie był szczególnie zachwycony zawartością jej lodówki, lecz bez większych trudności zdołał umieścić na tacy kilka rolmopsów, jogurt, trochę ryżu i pomarańcze, starając się przy tym nie myśleć, że para tłustych hamburgerów i frytki stanowiłyby miłe uzupełnienie posiłku.

Znalazł jeszcze butelkę białego wina i zaniósł to wszystko na niewielki stolik.

Po chwili dołączyła do niego Susan. Była teraz jak najbardziej spokojna i opanowana, a po kilku kęsach zapytała go o kanał.

Richard potrząsnął głową w zamroczeniu i próbował wyjaśnić sprawę kanału i Dirka.

- Jak, mówiłeś, on się nazywa? - odezwała się Susan, lekko zmarszczywszy brwi, kiedy doszedł, dość kulawo, do końcowych wniosków.

- Hm... Dirk Gently - odparł Richard. - W pewnym sensie.

- W pewnym sensie?

- No tak - odrzekł Richard z długim i ciężkim westchnieniem. Doszedł do wniosku, że cokolwiek powiedziało się o Dirku, stawało się to natychmiast przedmiotem takich oto niejasnych i nie budzących zaufania określeń. Nawet w nagłówku jego papieru listowego po imieniu i nazwisku następował cały szereg niejasnych i nie budzących zaufania określeń.

Wyjął kartkę papieru, na której przedtem daremnie próbował poukładać własne myśli.

- Ja... - zaczął, lecz wtedy zadzwonił dzwonek u drzwi. Popatrzyli na siebie.

- Jeśli to policja - powiedział Richard - to lepiej będzie, kiedy się z nimi spotkam. Chciałbym mieć to już z głowy.

Susan odsunęła krzesło, podeszła do drzwi wejściowych i podniosła słuchawkę domofonu.

- Halo? - odezwała się. - Kto? - powiedziała po chwili. Słuchając, spochmurniała, potem odwróciła się i spojrzała chmurnie na Richarda.

- Niech pan lepiej wejdzie na górę - powiedziała niezbyt przyjaznym tonem i przycisnęła guzik domofonu. Wróciła do stołu i usiadła.

- Twój przyjaciel - oznajmiła bezbarwnym głosem. - Pan Gently.

Dzień elektrycznego mnicha toczył się wspaniale, tenże puścił się więc w podekscytowany galop. A raczej trzeba by powiedzieć, że to on, podekscytowany, dźgnął konia ostrogami, a koń, daleko mniej entuzjastycznie, puścił się galopem.

Ten świat, myślał mnich, jest dobry.

Uwielbiał go. Nie wiedział, czyj jest ani skąd się wziął, lecz z całą pewnością było to nad wyraz satysfakcjonujące miejsce dla kogoś tak wyjątkowo i niezwykle obdarzonego jak on.

Był doceniany. Przez cały dzień podchodził do różnych ludzi, zagadywał, wysłuchiwał opowieści o ich problemach, a potem wyszeptywał tę magiczną formułkę: „Wierzę”.

Efekt nieodmiennie był elektryzujący. Nie chodziło o to, że ludzie w tym świecie nigdy sobie tego nie mówią, ale rzadko, jak się wydaje, udawało im się osiągnąć ten głęboki ton absolutnej szczerości, do którego wytwarzania tak fachowo mnicha zaprogramowano.

W jego świecie niczego innego się w końcu po nim nie spodziewano. Ludzie zakładali z góry, że będzie za nich wierzył w najróżniejsze rzeczy, oszczędzając im w ten sposób kłopotu. Ktoś stukał do ich drzwi z nowym pomysłem, propozycją czy nawet nową religią, a odpowiedź brzmiała nieodmiennie: „Idź, opowiedz o tym mnichowi”. Mnich zwykle siadał, wysłuchiwał i cierpliwie wierzył w to wszystko, ale nikt inny więcej się tym nie interesował.

I tylko jeden problem zaistniał w tym pod każdym innym względem cudownym świecie. Często, kiedy wypowiadał swą magiczną formułkę, rozmowa błyskawicznie schodziła na temat pieniędzy, a mnich, rzecz jasna, ich nie miał - a niedobór ten zniweczył wiele obiecujących spotkań.

Pewnie powinien skądś je zdobyć - tylko skąd?

Ściągnął na chwilę wodze, a koń przystanął z wdzięcznością i zabrał się do skubania rosnącej na poboczu trawy. Koń nie miał bladego pojęcia, w czym mogło pomóc całe to galopowanie tam i z powrotem, i niewiele go to obchodziło. Obchodziło go wyłącznie to, że kazano mu galopować wzdłuż czegoś, co wyglądało na nie kończący się przydrożny bufet. W związku z tym starał się jak najlepiej wykorzystać swój czas, jeśli już go miał.

Mnich zapatrzył się uważnie najpierw w górę, potem w dół drogi. Wydała mu się mgliście znajoma. Przejechał parę kroków, żeby się lepiej przyjrzeć.

Tak. Był tu wczorajszej nocy.

Pamiętał wyraźnie, no, może mniej więcej wyraźnie. W każdym razie wierzył, że pamięta wyraźnie, a

to w końcu najważniejsze. To tutaj doszedł w stanie większego niż zazwyczaj umysłowego zamętu, a tam, za tym rogiem, o ile się nie myli, znajduje się mały przydrożny punkt usługowy, przy którym wskoczył do bagażnika samochodu tego miłego mężczyzny - tego samego, który później tak dziwnie zareagował, kiedy się do niego strzeliło.

Może tam będą mieli jakieś pieniądze i pozwolą mu trochę wziąć. Zastanawiał się przez chwilę. No cóż, dowie się. Kolejny raz oderwał konia od uczyty i pogalopował w tamtym kierunku.

Kiedy zbliżył się do stacji benzynowej, zauważył jakiś samochód, zaparkowany pod bardzo aroganckim kątem. Kąt ten obwieszczał wszystkim, że samochód nie przybył tu w celu tak przyziemnym jak zatankowanie benzyny i że jest zbyt ważny, by parkować przy krawężniku, nie tarasując przejazdu. Jeśli jakiś inny samochód przyjedzie po benzynę, będzie musiał objechać go dookoła, więc niech sobie radzi jak umie. Samochód był biały, z czarnymi pasami, z jakimiś oznakami i miał na dachu światła o nader poważnym wyglądzie.

Dojechawszy na podjazd przed stacją, mnich zsiadł z konia i uwiązał go u dystrybutora. Podeszedł do niewielkiego budynku i zobaczył w środku jakiegoś mężczyznę w ciemnoniebieskim mundurze i czapce z daszkiem. Mężczyzna, ustawiony tyłem do okna, wykonywał jakiś dziwny, pełen podskoków taniec, wywijając przy tym przytkniętymi do uszu dłońmi, czym wyraźnie wywierał wielkie wrażenie na drugim mężczyźnie, który siedział przy kasie.

Mnich przypatrywał się temu, skamieniały od nabożnego podziwu. Ten człowiek - uwierzył z pozbawioną wysiłku lekkością, która zaimponowałaby nawet scjentyście - musi być jakimś bogiem, skoro wzbudza aż tak płomienny zapal. Mnich czekał, wstrzymując oddech, aż będzie mógł go uczcić. Po chwili mężczyzna przestał tańczyć, odwrócił się i wyszedł ze sklepu. Zobaczył mnicha i stanął jak wryty.

Mnich pomyślał, że bóg z pewnością czeka, żeby go należycie uczcił, z najwyższą więc czcią zaczął tańczyć w podskokach, wywijając przytkniętymi do uszu dłońmi.

Jego bóg gapił się na niego przez chwilę, potem złapał go, obrócił, rozpląszczył na masce samochodu i sprawnie obszukał.

Dirk wpadł do mieszkania jak małe, pękate tornado.

- Panno Way - rzucił, chwytając jej lekko oporną dłoń i zdejmując swój nedorzeczny kapelusz - poznać panią to dla mnie niewymowna wprost przyjemność, lecz zarazem i powód do najgłębszego żalu, że odbywa się to w tak smutnych okolicznościach, przy okazji których pozwałam sobie złożyć najgłębsze wyrazy współczucia i ubolewania. Proszę mi uwierzyć, że za nic w świecie nie śmiałybym przeszkadzać w tej głęboko osobistej boleści, gdyby nie przywiodły mnie tu sprawy najwyższej wagi i znaczenia. Richardzie, rozwiązałem zagadkę tej sztuczki magicznej i jest to coś naprawdę niezwykłego.

Przemknął przez pokój i ulokował się na wolnym krześle przy stole, na którym z kolei położył kapelusz.

- Będziesz musiał nam wybaczyć, Dirk... - zaczął chłodno Richard.

- Nie, obawiam się, że to wy będziecie musieli mi wybaczyć - odparował Dirk. - Zagadka została

rozwiązana, a rozwiązanie jest tak niesłychane, że musiał mi je dopiero podpowiedzieć siedmioletni dzieciak na ulicy. Ale bez wątplenia jest to rozwiązanie właściwe, bez cienia wątpliwości. „No to jak brzmi owo rozwiązanie?” - pytasz, a raczej zapytałbyś, gdyby udało ci się wtrącić choć słowo, ale ci się nie uda, więc oszczędzę ci kłopotu i zadam to pytanie za ciebie, jak również odpowiem na nie, mówiąc, że ci nie powiem, bo mi nie uwierzysz. Zamiast tego pokażę ci, jeszcze dziś po południu. Jednakże bądź pewien, że to wyjaśnia wszystko. Wyjaśnia sztuczkę. Wyjaśnia notatkę, którą znalazłeś - właściwie to już przy tej notatce powinienem był wszystko pojąć, ale okazałem się głupcem. Tłumaczy także, jak brzmiało brakujące trzecie pytanie albo raczej - a to dość ważne - jak brzmiało brakujące pierwsze pytanie!

- Jakie brakujące pytanie? - wykrzyknął Richard; zmieszany tą niespodziewaną pauzą wskoczył w nią pierwszą frazą, jaka wpadła mu do głowy.

Dirk zamrugął niecierpliwie, jakby miał do czynienia z idiotą.

- Brakujące pytanie, które zadał Jerzy III, to jasne - rzekł.

- Komu zadał?

- No przecież profesorowi - rzucił zniecierpliwiony Dirk. - Czy ty nigdy nie słuchasz, co sam mówisz? Przecież to oczywiste! - wykrzyknął, waląc pięścią w stół. - Tak oczywiste, że jedyne, co nie pozwoliło mi wcześniej dojrzeć rozwiązania, to drobny fakt, że jest to absolutnie niemożliwe. Sherlock Holmes zauważył, że kiedy już wyeliminuje się to, co niemożliwe, wtedy to, co pozostaje, jakkolwiek nieprawdopodobne, musi być prawdą. Ja jednakże nie lubię odrzucać tego, co niemożliwe. A teraz chodźmy.

- Nie.

- Co takiego? - Dirk spojrzał na Susan, ze strony której pojawił się ten nieoczekiwany - w każdym razie dla niego nieoczekiwany - opór.

- Panie Gently - odezwała się głosem, którym dałoby się karbować drewniane paliki - dlaczego z rozmysłem wprowadził pan Richarda w błąd, każąc mu wierzyć, że jest poszukiwany przez policję?

Dirk spochmurniał.

- Ależ był poszukiwany przez policję - odpowiedział - i nadal jest.

- Tak, ale tylko jako świadek! Nie jako podejrzany o morderstwo!

Dirk spuścił wzrok.

- Panno Way - rzekł - policję interesuje, kto zabił pani brata. Mnie, z całym należnym szacunkiem, nie. Przyznaję, że to może mieć jakiś związek ze sprawą, ale zupełnie dobrze może się też okazać, iż to był zupełnie przypadkowy szalenciec. A ja chciałem się dowiedzieć - i nadal rozpaczliwie muszę się dowiedzieć, dlaczego Richard wczoraj w nocy wspinał się do tego mieszkania.

- Już ci mówiłem - zaprotestował Richard.

- To, co mi powiedziałaś, nie ma żadnego znaczenia. Ujawnia jedynie kluczowy fakt, że ty sam nie

masz zielonego pojęcia! Na litość boską, wydawało mi się, że zademonstrowałem ci to dostatecznie jasno przy kanale!

W Richardzie zawrzało.

- Obserwując cię, jasno zdawałem sobie sprawę - kontynuował Dirk - że masz niewielkie pojęcie o tym, co właśnie robisz, i żadnego względu dla niebezpiecznej sytuacji, w jakiej się znalazłeś. Z początku, przyglądając się, doszedłem do wniosku, że to jakiś bezmózgi obwieś na swoim pierwszym i prawdopodobnie ostatnim włamaniu. Ale potem ta postać obejrzała się i zorientowałem się, że to ty - a przecież znam cię jako inteligentnego, racjonalnego i powściągliwego człowieka. Richard MacDuff? Ryzykuje złamanie karku, wspinając się w nocy po rynnach? Wydało mi się, że zachowywałbyś się w podobnie nieodpowiedzialny sposób tylko w wypadku, gdybyś głęboko i rozpaczliwie martwił się sprawami najwyższej wagi. Czyż nie mam racji, panno Way?

Spojrzał bystro na Susan, która powoli usiadła i posłała mu spojrzenie tak pełne niepokoju, że Dirk wiedział od razu, iż trafił w sedno.

- A mimo to, kiedy przyszedłeś do mnie dziś rano, sprawiałeś wrażenie spokojnego i doskonale opanowanego. Dyskutowałeś całkowicie racjonalnie, kiedy opowiadałem te wszystkie bzdury o kocie Schrödingera. W niczym nie przypominałeś osoby, która poprzedniej nocy z rozpaczliwych przyczyn doszła do granic ostateczności. Przyznaję się, że posunąłem się do... hm... przejawienia twego kłopotliwego położenia; po prostu dlatego, że chciałem cię przy sobie zatrzymać.

- Nie zatrzymałeś. Wyszedłem.

- Z głową wypełnioną pewnymi konkretnymi myślami. Wiedziałem, że wrócisz. Błagam o wybaczenie, że wprowadziłem cię w błąd - poniekąd - ale wiedziałem, że to, co ja miałem do zbadania, leży o wiele głębiej niż to, czym zwykle zajmuje się policja. A chodziło mi o to: jeśli nie byłeś do końca sobą, kiedy wczoraj w nocy wspinałeś się po murze, to kim właściwie byłeś - i dlaczego?

Richard zadrżał. Zapadło długie milczenie.

- Ale co to ma wspólnego z magicznymi sztuczkami? - zapytał w końcu.

- Po to właśnie musimy jechać do Cambridge: żeby się tego dowiedzieć.

- Ale skąd masz tę pewność...

- To nie daje mi spokoju - rzekł Dirk, a jego twarz przybrała mroczny wyraz.

Jak na kogoś tak rozmownego, ni stąd, ni zowąd zaczął wykazywać dziwną niechęć do mówienia. Po chwili jednak ciągnął dalej:

- Martwi mnie i niepokoi, kiedy dochodzę do wniosku, że wiem o pewnych sprawach, a nie mam pojęcia, dlaczego o nich wiem. Może chodzi o to samo instynktowne kalkulowanie danych, które pozwala nam schwytać piłkę, niemal zanim ją zobaczymy. A może to jakiś głębszy i znacznie trudniej wytłumaczalny instynkt, który mówi nam, że ktoś nas obserwuje. Jest wielką zniewagą dla mego intelektu, kiedy przydarzają mi się rzeczy, za wiarę w które mam w pogardzie innych. Na pewno

pamiętasz ten... nieszczęsny wypadek dotyczący pewnych pytań egzaminacyjnych.

Nagle wydał się nieszczęśliwy i zmizerowany. Musiał zanurzyć się głęboko w sobie, żeby móc dalej mówić.

- Zdolność złożenia do kupy dwóch i dwóch i natychmiastowego otrzymania czterech to jedna rzecz. Zdolność złożenia do kupy pierwiastka kwadratowego z pięciuset trzydziestu dziewięciu przecinek siedem i cosinusa z dwudziestu sześciu przecinek czterysta trzydzieści dwa i natychmiastowego otrzymania... takiego wyniku, jak trzeba, to coś zupełnie innego. A ja... no cóż, pozwólcie, że podam wam przykład.

Napięty, pochylił się do przodu.

- Wczoraj w nocy widziałem, że się wdrapujesz po murze do tego mieszkania. Wiedziałem, że dzieje się coś niedobrego. Dziś zmusiłem cię, żebyś opowiedział mi każdy najdrobniejszy szczegół, a następnie, wykorzystując tylko i wyłącznie własny intelekt, zdołałem odkryć bodaj największy sekret na tej planecie. Przysięgam, że to prawda i że mogę to udowodnić. A teraz musicie mi uwierzyć, kiedy mówię wam, że wiem, po prostu wiem, że dzieje się coś okropnie, tragicznie, potwornie złego i że musimy to odkryć. Czy teraz pojedziesz ze mną do Cambridge?

Richard skinął głową.

- To dobrze - powiedział Dirk. - Co to jest? - zapytał, wskazując na talerz Richarda.

- Marynowany śledź. Chcesz?

- Nie, dziękuję - odparł Dirk, podnosząc się i zapinając płaszcz. A zmierzając w kierunku drzwi i ciągnąc ze sobą Richarda, dorzucił: - W moim słowniku nie ma takiego słowa jak „śledź”. Do widzenia, panno Way, niech pani nam życzy szerokiej drogi.

Rozdział dwudziesty piąty

Zagrzmiało na rozpoczęcie tej nie kończącej się lekkiej mżawki z północnego wschodu, która zdaje się towarzyszyć wszystkim najdonioślejszym chwilom w dziejach świata.

Dirk podniósł kołnierz swego skózanego płaszcza, lecz nic nie mogło stłamsić demonicznej wylewności, która opadła go, kiedy wraz z Richardem zbliżyli się do wielkich dwunastowiecznych wrót.

- Kolegium Świętego Cedda w Cambridge! - wykrzyknął, patrząc na nie po raz pierwszy od ośmiu lat. - Założone w roku którymś tam, przez kogoś, zapomniałem kogo, ku czci kogoś, kogo imię akurat chwilowo mi umknęło.

- Świętego Cedda? - podsunął Richard.

- A wiesz, że to bardzo prawdopodobne. To jeden z tych nudniejszych northumbryjskich świętych. Jego brat, Chad, był jeszcze bardziej nudny. Ma katedrę w Birmingham, jeśli to ci coś mówi. A, Bill, jak miło znów cię widzieć - zagadnął portiera, który akurat też wchodził na teren kolegium.

Portier obejrzał się.

- Pan Cjelli, miło pana widzieć. Przykro, że wdepnął pan w tę drobną nieprzyjemność; mam nadzieję, że to już za panem.

- W rzeczy samej, Bill. U mnie wszystko kwitnąco. A jak tam pani Roberts? Stopa nadal jej dokucza?

- Już nie, od kiedy ją odjęli; miło, że pan pyta. Tak między nami: byłbym równie zadowolony, gdyby to ją amputowali, a zostawili stopę. Miałem nawet przygotowane specjalne miejsce na kominku. Ale jest, jak jest, trzeba brać, co nam dają.

- Witam, panie MacDuff - dodał, skinąwszy oschle Richardowi. - Ten koń, o którym wspominał pan wczoraj wieczorem... Obawiam się, że musieliśmy go usunąć. Przeszkadzał profesorowi Chronotisowi.

- Tak tylko pytałem, ee... Bill - odparł Richard. - Mam nadzieję, że tobie nie sprawił kłopotu.

- Mnie tam nic nigdy nie sprawia kłopotu, dopóki nie ma na sobie kiecki. Nie mogę znieść, jak młodzi faceci wkładają sukienki.

- Jeśli ten koń będzie ci robił jeszcze jakieś problemy, Bill - wtrącił Dirk, klepiąc go po ramieniu - przyślij go do mnie, a ja już z nim pogadam. Wspomniałeś naszego dobrego profesora Chronotisa. Jest może u siebie? Chcieliśmy zajrzeć do niego w pewnej sprawie.

- O ile wiem, to tak. Nie mogę sprawdzić, bo jego telefon znowu nie działa. Proponuję, żeby panowie poszli sprawdzić osobiście. To na drugim końcu drugiego dziedzińca, na lewo.

- Wiem o tym doskonale, Bill, dzięki serdeczne, no i uszanowanie dla tego, co zostało z pani Roberts.

Przemknęli przez pierwszy dziedziniec; w każdym razie Dirk przemykał, bo Richard szedł swym normalnym, czaplim krokiem, marszcząc twarz pod drobnymi kropelkami mżawki.

Dirk najwyraźniej wziął się omyłkowo za przewodnika.

- Kolegium Świętego Cedda - obwieścił - uczelnia Coleridge'a, uczelnia Sir Isaaca Newtona, słynnego wynalazcy karbowanej monety i klapki dla kota!

- Czego? - zdumiał się Richard.

- Klapki dla kota! Urządzenia nad wyraz sprytnego, wyrazistego i pomysłowego. To są, rozumiesz, drzwi w drzwiach, to...

- Owszem - wtrącił Richard - ale istnieje też ów drobiazg zwany grawitacją.

- Grawitacja - powtórzył Dirk. - No tak, i to także, jak przypuszczam. Choć było to, rzecz jasna, tylko zwykłe odkrycie. Czekają od dawna, gotowe.

Wyjął z kieszeni jednopensówkę i cisnął ją od niechcienia w kierunku okalających chodnik kamieni.

- Widzisz? - zwrócił się do Richarda. - Nie wyłączają nawet w weekendy. Ktoś musiał na to wpaść, prędzej czy później. Ale klapka dla kota... O, to zupełnie co innego. Wynalazek, czysto twórczy wynalazek.

- Jak dla mnie, dość oczywisty. Każdy mógł na to wpaść.

- Ach, rzadkiego doprawdy umysłu potrzeba, by uznać coś, co dotąd nie istniało, za oślepiająco oczywiste. Okrzyk: „Sam bym na to wpadł” jest bardzo powszechny, lecz nieco mylący, ponieważ faktem jest, że nikt poza twórcą na to nie wpadł, a to bardzo znaczący i wiele mówiący fakt. To zaś, jeśli się nie mylę, jest właśnie klatka, której szukamy. Wchodzimy?

I nie czekając na odpowiedź, zapuścił się w górę schodów. Richard, idąc bez przekonania w jego ślady, zastał go stukającego do wewnętrznych drzwi, zewnętrzne bowiem stały już otworem.

- Proszę! - zawołał głos ze środka. Dirk pchnął drzwi i zdążyli akurat dojrzeć tył białej głowy znikającego w kuchni Rega.

- Zaparzam właśnie herbatę - zawołał. - Napijesz się? Siadaj, siadaj, kimkolwiek jesteś.

- Bardzo to miło z pańskiej strony - odwzajemnił się Dirk. - Jest nas dwóch. - Dirk usiadł, a Richard poszedł w jego ślady.

- Chińska czy indyjska?

- Proszę o indyjską.

W kuchni zabrzączały filiżanki i spodeczki.

Richard rozejrzał się po pokoju. Nagle wydał mu się niezwykle banalny. Na kominku strzelał sobie ogień, ale wewnątrz wypełniało światło szarego popołudnia. Choć wszystko wokół było dokładnie takie jak przedtem - stara kanapa, stół obładowany książkami - nic tutaj nie przypominało o rozgorączkowanej niecodzienności poprzedniego wieczoru. Pokój zdawał się spoglądać na nich z wysoko uniesionymi brwiami, rzucając niewinne: „Słucham?”

- Z mlekiem? - zawołał z kuchni Reg.

- Tak, proszę - odpowiedział Dirk. Przesłał Richardowi uśmiech, który temu ostatniemu wydał się na wpół oszalały z tłumionego podniecenia.

- Kostka czy dwie? - zawołał znowu Reg.

- Jedną, proszę - odparł Dirk - i z łaski swojej dwie łyżeczki cukru.

Działalność w kuchni ustała. Minęło kilka sekund i Reg wystawił głowę zza drzwi.

- Svlad Cjelli! - wykrzyknął. - Wielkie nieba! No, szybko się uwinąłeś, młody MacDuffie, dobra robota. Drogi przyjacielu, to cudownie, że cię widzę, jak to dobrze, że przyjechałeś.

Wytarł ręce w kuchenną ściereczkę i pospieszył, by uścisnąć im dłonie.

- Mój drogi Svlad.

- Z łaski swojej: Dirk - odparł Dirk, ściskając ciepło dłoń Rega. - Tak wolę. Ma w sobie więcej ze szkockiego sztyletu, jak mi się wydaje. Dirk Gently - pod takim nazwiskiem obecnie prowadzę działalność. W przeszłości zaistniały pewne zdarzenia, od których zdecydowanie pragnąłbym się

odciąć.

- Rozumiem cię doskonale. Spora część czternastego stulecia, na ten przykład, była zdecydowanie ponura.

Dirk już miał sprostować to nieporozumienie, lecz pomyślał, że mogłoby to potrwać o wiele za długo, więc dał spokój. Zamiast tego powiedział:

- Zatem co u pana słyhać, drogi profesorze?

- No cóż - odparł Reg - ostatnio bywa tu dość interesująco, czy raczej dość nudno, ale nudno z bardzo interesujących przyczyn. A teraz siadajcie, ogrzejcie się przy ogniu, ja przyniosę herbatę, a potem spróbuję wyjaśnić. - Wypadł z pokoju, pomrukując coś w zaferowaniu, i pozostawił ich, aby usadowili się przy ogniu.

Richard przechylił się w stronę Dirka.

- Nie miałem pojęcia, że się tak dobrze znacie - powiedział, wskazując głową w kierunku kuchni.

- Bo się nie znamy - odparł natychmiast Dirk. - Spotkaliśmy się kiedyś przypadkiem na jakiejś kolacji, lecz od razu połączyła nas nić wzajemnej sympatii i porozumienia.

- Więc jak to się stało, że się już nigdy nie spotkaliście?

- Rzecz jasna, starannie mnie unikał. Zbyt bliskie kontakty mogą być niebezpieczne, jeśli skrywa się jakiś sekret. A o ile znam się na sekretach, ten może być niebagatelnych rozmiarów. Jeśli istnieje na świecie większy sekret, to chciałbym go znać - odparł cicho Dirk.

Przesłał Richardowi porozumiewawcze spojrzenie i wyciągnął dłonie do ognia. Ponieważ Richard już wcześniej bezskutecznie usiłował wybadać, na czym dokładnie ów sekret miałby polegać, tym razem zdecydował, że nie da się złapać na tę przynętę, rozsiadł się zatem wygodniej w fotelu i rozejrzał dookoła.

- Czy już was pytałem - zagadnął Reg, który właśnie się pojawił - czy chcecie herbaty?

- Tak - odpowiedział Richard - omówiliśmy ten temat dość szczegółowo. I jeśli się nie mylę, doszliśmy ostatecznie do wniosku, że chcemy, czy nie tak?

- To dobrze - rzucił niejasno Reg - bo szczęśliwym zbiegiem okoliczności chyba mam w kuchni gotową. Musicie mi wybaczyć. Mam pamięć jak... jak... jak się nazywa to coś do płukania ryżu? O czym ja mówię?

Z zakłopotanym wyrazem twarzy odwrócił się szybko i znowu zniknął w kuchni.

- To bardzo interesujące - oświadczył Dirk. - Zastanawiałem się, czy nie ma kłopotów z pamięcią.

Nagle wstał i zaczął węszyć po pokoju. Jego wzrok padł na liczydło, które zajmowało jedyny wolny skrawek przestrzeni na wielkim mahoniowym stole.

- Czy to ten stół - zapytał półgłosem - na którym znalazłeś notatkę o solniczce?

- Tak - odpowiedział Richard, wstając i podchodząc bliżej. - Była włożona w tę książkę. - Wziął ze stołu przewodnik po wyspach greckich.

- Tak, tak, jasne - rzucił niecierpliwie Dirk. - Wszystko to już wiemy. Ciekawiło mnie tylko, czy to ten stół. - W dziwny sposób przejechał palcami po krawędzi.

- Jeśli sądzisz, że Reg wcześniej umówił się z dziewczynką, to muszę powiedzieć, że uważam to za wykluczone.

- Oczywiście, że nie - odparł cierpko Dirk. - Myślałem, że to absolutnie jasne.

Richard wzruszył ramionami, próbując się nie rozzłościć, i odłożył książkę na stół.

- Hm, to dość dziwny zbieg okoliczności, że akurat ta książka...

- Dziwny zbieg okoliczności! - parsknął Dirk. - Ha! Zobaczymy, czy taki znowu zbieg okoliczności. Przekonamy się, czy taki znów dziwny. Chciałbym, drogi Richardzie, abys zapytał naszego przyjaciela, w jaki sposób wykonał swoją sztuczkę.

- Wydawało mi się, że już to wiesz.

- Bo wiem - rzucił Dirk niedbale. - Tylko chciałbym usłyszeć, jak to potwierdzi.

- Ach, rozumiem - odparł Richard. - To niezbyt skomplikowane, co? Kazać mu wszystko wyjaśnić, a potem oznajmić: „Zgadza się, tak właśnie myślałem!” Znakomicie, Dirk. Czy przejechaliśmy taki kawał drogi tylko po to, żeby kazać mu wyjaśnić, w jaki sposób wykonał swoją sztuczkę magiczną? Ja chyba musiałem oszaleć.

Dirk przyhamował go ostro.

- Zrób, jak proszę - rzucił gniewnie. - To ty widziałeś, jak robi tę sztuczkę, więc ty musisz zapytać. Wierz mi, kryje się w tym zdumiewający sekret. Ja o nim wiem, ale chcę, żebyś usłyszał to od niego.

Okręcił się na pięcie, bo właśnie wszedł Reg z tacą. Obszedł z nią kanapę i ulokował w końcu na niewielkim stoliczku przy kominku.

- Profesorze Chronotis... - zaczął Dirk.

- Reg, bardzo proszę.

- Doskonale - odparł Dirk. - Zatem, Reg...

- Sito!

- Co takiego?

- To, w czym płucze się ryż. Sito. Próbowałem sobie przypomnieć to słowo, choć nie pamiętam zupełnie po co. Nieważne. Dirk, drogi przyjacielu, wyglądasz, jakbyś miał zaraz eksplodować. Dlaczego nie usiądziesz i nie poczujesz się jak u siebie?

- Dziękuję, nie. Wolałbym raczej spacerować nerwowo tam i z powrotem, jeśli można. Reg...

Odwrócił się, by spojrzeć mu prosto w twarz, i podniósł palec wskazujący.

- Muszę panu powiedzieć - rzekł - że znam pański sekret.

- Ach tak... doprawdy? - wymamrotał Reg, spuszczać wzrok i manipulując niezgrabnie filiżankami oraz dzbankiem. - Rozumiem. - Przekładane filiżanki zaszczekały gwałtownie. - Tak, tego się właśnie obawiałem.

- W związku z tym chciałbym panu zadać kilka pytań. A muszę zaznaczyć, iż odpowiedzi oczekuję z najwyższą obawą.

- Zaiste, zaiste - mruknął Reg. - No cóż, pewnie już najwyższy czas. Sam ledwie pojmuję ostatnie wydarzenia i jestem... pełen obaw. Doskonale. Pytajcie, o co chcecie. - Spojrzał na nich bystro, oczy mu rozblęły.

Dirk ponaglił Richarda szorstkim skinieniem głowy, odwrócił się i zaczął spacerować po pokoju, wpatrzony posępnie w podłogę.

- Hm... - zaczął Richard - chcielibyśmy wiedzieć, w jaki sposób zrobił pan wczoraj wieczorem magiczną sztuczkę z solniczką.

Reg zdawał się zaskoczony i dość zakłopotany takim pytaniem.

- Magiczną sztuczkę? - powtórzył.

- No tak. Magiczną sztuczkę.

- Och - mówił Reg, dosyć wstrząśnięty. - No cóż, jej magiczna część... doprawdy nie wiem, czy powinienem to wyjawić, zasady Kręgu Magicznego są pod tym względem bardzo rygorystyczne. Nadzwyczaj rygorystyczne. Niemniej sztuczka robi wrażenie, prawda? - dodał chytrze.

- No... owszem - odparł Richard. - Wtedy wydawała się bardzo naturalna, ale teraz, kiedy... powracam do niej myślą, muszę przyznać, że trochę osłupiałem.

- No tak - odparł Reg - to sprawa umiejętności, rozumiesz. I praktyki. Trzeba zrobić tak, żeby wszystko wyglądało naturalnie.

- Naprawdę wyglądało bardzo naturalnie - ciągnął Richard, nieco po omacku. - Zupełnie dałem się nabrać.

- Podobała ci się?

- Robiła duże wrażenie.

Dirk lekko się niecierpliwił. W tym mniej więcej sensie strzelił spojrzeniem w kierunku Richarda.

- I jestem w stanie zrozumieć - rzekł Richard z mocą - dlaczego nie może mi pan powiedzieć. Byłem ciekaw, to wszystko. Przepraszam, że zapytałem.

- No cóż - zaczął Reg w nagłym przypiływie zwątpienia - przypuszczam... Ale tylko jeśli obiecacie, że nie powiecie nikomu innemu. Przypuszczam, że sami zdołaliście dojść do tego, że użyłem dwóch

ze stojących na stole solniczek. Nikt nie był w stanie ich od siebie odróżnić. Wiecie, że szybki ruch dłoni jest w stanie zwieść oko, szczególnie zaś niektóre z oczu zgromadzonych wtedy wokół stołu. Kiedy tak bawiłem się swoją wełnianą czapką, dając - choć tylko ja sam tak twierdzę - znakomity pokaz niezręczności i zamieszania, po prostu wsunąłem solniczkę do rękawa. Rozumiecie?

Jego wcześniejszy niepokój ustąpił całkowicie przyjemności opowiadania o własnych umiejętnościach.

- Prawdę mówiąc, to najstarsza sztuczka świata - ciągnął - lecz wymaga sporego talentu i dużej zręczności. Później, po kilku chwilach, zwróciłem ją, najzwyczajniej w świecie udając, że ją komuś podaję. Wymaga to, rzecz jasna, całych lat ćwiczeń, jeśli ma wyjść naturalnie, ale ja wolę to niż zwyczajnie upuścić ją pod stół. To amatorszczyzna. Nie można jej podnieść, a sprzątaczkę nie zauważa przez co najmniej dwa tygodnie. Kiedyś przez miesiąc miałem pod krzesłem zdechłego drozda. Oczywiście, nie było w tym żadnej magicznej sztuczki. Zabił go kot.

Reg promieniał.

Richard miał poczucie, że zrobił, co do niego należało, nie miał jednak najmniejszego pojęcia, do czego miało ich to doprowadzić. Rzucił okiem na Dirka, który jednak wcale nie okazał się pomocny, dalej więc brnął po omacku.

- Tak - mówił - tak, rozumiem, to sprawa zręcznej ręki. Nadal jednak nie wiem, w jaki sposób solniczka dostała się do wnętrza dzbanka.

Po raz kolejny Reg był wyraźnie zdziwiony, tak jakby mówili o dwóch różnych sprawach. Rzucił okiem na Dirka, który przestał spacerować i wpatrywał się teraz w niego oczyma rozjaśnionymi oczekiwaniem.

- No cóż, to nic nadzwyczajnego - rzekł - i nie wymagało żadnych kuglarskich umiejętności. Wyskoczyłem na chwilę po czapkę, pamiętasz?

- Tak - potwierdził Richard z dużą dozą zwątpienia.

- No i - ciągnął Reg - w czasie, gdy byłem poza salą, udałem się na poszukiwanie garncarza, który ten dzbanek wykonał. Rzecz jasna, zajęło mi to trochę czasu. Jakieś trzy tygodnie detektywistycznej roboty, żeby go wysledzić, następnie kilka dni, żeby go docucić, aż wreszcie z niejakim trudem zdołałem go namówić, żeby zapiekl dla mnie tę solniczkę w dzbanku. Potem wpadłem gdzieś na krótko, ażeby znaleźć trochę, hm, pudru i ukryć pod nim opaleniznę, no i oczywiście musiałem dość precyzyjnie określić czas powrotu, żeby wszystko wyglądało jak najbardziej naturalnie. Wpadłem na siebie w przedpokoju, co zawsze mnie trochę krępuje, nigdy nie wiem, w którą stronę patrzeć... No tak, to byłoby wszystko.

Uśmiechnął się, dość blado i nerwowo.

Richard próbował pokiwać głową, ale w końcu nie wytrzymał.

- O czym, u licha, pan mówi? Reg spojrzał na niego zaskoczony.

- Wydawało mi się, że mówiliście, iż znacie mój sekret.

- Ja tak - rzucił Dirk, rozjaśniając się triumfem. - On, jak dotąd, nie, choć to on dostarczył mi wszystkich informacji, których potrzebowałem, żeby go odkryć. Pozwólcie - dodał - że uzupełnię kilka brakujących fragmentów tej łamigłówki. Ażeby łatwiej ukryć fakt, iż był pan nieobecny przez kilka tygodni, podczas gdy dla wszystkich siedzących przy stole wyskoczył pan na chwilę za drzwi, musiał pan zapisać sobie na własny użytek ostatnio powiedziane słowa, tak żeby mógł pan podjąć wątek rozmowy w sposób jak najbardziej naturalny. Ważny szczegół, jeśli pamięć już nie ta co kiedyś, prawda?

- Nie ta co kiedyś - powtórzył Reg, kręcąc powoli białą głową. - Już prawie nie pamiętam, jaka była kiedyś. Ale poza tym zgadza się, jesteś bardzo bystry, że wyłapałeś taki drobiazg.

- Jest jeszcze jedna drobna sprawa - ciągnął Dirk - a mianowicie owe trzy pytania, które zadał Jerzy III. Zadał je panu.

Dla Rega była to najwyraźniej zupełna niespodzianka.

- Zapytał pana - mówił dalej Dirk, skonsultowawszy się z małym notatnikiem, który wyciągnął uprzednio z kieszeni - czy jest jakaś konkretna przyczyna, dla której jedna rzecz następuje po drugiej, i czy można temu jakoś zaradzić. A czyż nie zapytał także, czyż nie zapytał najpierw, czy jest sposób na to, żeby przemieścić się w czasie wstecz albo coś w tym rodzaju?

Reg zmierzył Dirka długim, pełnym uznania spojrzeniem.

- Nie myliłem się co do ciebie - rzekł. - Jesteś młodzieńcem o niepospolitym umyśle. - Podszedł powoli do okna i wyrzwał na drugi dziedziniec. Przyglądał się przemykającym przezeń dziwnym sylwetkom, skulonym z zimna na mżawce i wskazującym palcami na rozmaite rzeczy.

- Tak - odezwał się w końcu stłumionym głosem - zapytał dokładnie o to.

- Dobra - powiedział Dirk z uśmiechem, którym zdradził, że żył dla takiej jak ta chwili - to nam wyjaśnia, dlaczego odpowiedź brzmiała: „Tak, nie i być może” - w tej kolejności. No dobra. Gdzie to jest?

- Gdzie co jest?

- Wehikuł czasu.

- Właśnie w nim stoicie.

Rozdział dwudziesty szósty

W Bishop's Stortford do pociągu wpakowała się grupka bardzo hałaśliwych ludzi. Niektórzy mężczyźni mieli na sobie wyjściowe garnitury z goździkami w klapach, nieco przywiedłymi po całodziennym zabawie. Kobiety, ubrane w eleganckie suknie i kapelusze, rozprawiły z przejęciem o tym, jak to ślicznie było Julii w tej jedwabnej tafcie, jak to Ralph, choć się tak odstawił, i tak wyglądał jak nadęty prostak, i generalnie dawały całej tej historii nie więcej niż dwa tygodnie.

Jeden z mężczyzn wytknął głowę przez okno i zatrzymał przechodzącego pracownika kolei, żeby się upewnić, czy wsiedli do właściwego pociągu i czy zatrzymują się w Cambridge. Bagażowy potwierdził, że jasne, kurna, zatrzymują się. Młody człowiek wyjaśnił, że nie chcieliby przecież

przekonać się poniewczasie, że jadą w złym kierunku, prawda? Wydał przy tym odgłos przypominający z grubsza szczekanie ryby, jakby chciał zaznaczyć, iż jego uwaga posiada nieoszacowaną wartość komiczną. Potem wciągnął głowę z powrotem, po drodze uderzając nią o framugę. Stężenie alkoholu w atmosferze przedziału gwałtownie wzrosło.

Zapanowało ogólne przekonanie, iż odpowiedni nastrój na wieczorne poprawiny mogą sobie zapewnić, tylko plądrując wagon restauracyjny, tak żeby ci członkowie grupy, którzy nie byli jeszcze kompletnie zalani, mogli dopełnić dzieła. Propozycję tę przyjęto z rozhukanym aplauzem, pociąg szarpnął i ruszył, a większość z tych, którzy trzymali się jeszcze na nogach, w tym momencie trzymać się przestała.

Trójka młodych ludzi opadła na trzy wolne miejsca wokół stolika, przy którym tkwił przylizany, tęgawy mężczyzna w staromodnym garniturze. Miał żałobny wyraz twarzy i wielkie, wilgotne, krowie oczy, zapatrzone w nieokreślony punkt.

Trzej mężczyźni dyskutowali głośno, czy pójdą do baru wszyscy razem, czy też jeden z nich przyniesie drinki dla wszystkich, i czy ten, kto pójdzie do baru, nie podekscytuje się aby za mocno widokiem tych wszystkich napojów i nie zostanie na miejscu, zapominając przynieść drinki pozostałym, którzy będą siedzieć tu, niecierpliwie wyczekując jego powrotu, a zresztą jeśli nawet będzie pamiętać, że ma natychmiast wrócić, to czy będzie w stanie je przetransportować, nie rozlewając ich przy tym po całym wagonie i nie zakłócając spokoju innym pasażerom.

Na pierwszy rzut oka zdołali wreszcie osiągnąć jaki taki consensus, lecz niemal natychmiast żaden z nich nie potrafił sobie przypomnieć, na czym właściwie polegał. Dwóch wstało, potem usiadło z powrotem, po czym wstał ten trzeci. Następnie i on usiadł. Dwaj pozostali znów się podnieśli, wyrażając przy tym przekonanie, że najprościej będzie wykupić cały bar.

Trzeci już miał wstać i ruszyć za nimi, gdy wtem siedzący naprzeciw krowiooki mężczyzna pochylił się ku niemu - wolno, ale z niepowstrzymaną celowością - i chwycił go mocno za ramię.

Młody człowiek w odświętnym garniturze spojrzał nań na tyle ostro, na ile zezwalała jego cokolwiek zamroczona świadomość i, przestraszony, odezwał się:

- Czego pan chce?

Michael Wenton-Weakes wpatrzył się w jego oczy z przerażającą wprost intensywnością i zaczął półgłosem:

- Byłem na statku...

- Co?

- Na statku... - mówił Michael.

- Na jakim statku, o czym pan w ogóle mówi? Niech się pan odczepi. Puszczaj pan!

- Przebyliśmy - ciągnął Michael cichym, ledwie słyszalnym, lecz zmuszającym do uwagi głosem - potworną odległość. Przybyliśmy tu, aby zbudować raj. Eden. Tutaj.

Jego wzrok przesunął się niepewnie po wnętrzu wagonu, wybiegł na krótko za spryskane deszczem

okna, by zapatrzeć się na wzburzoną ponurość dżdżystego wieczoru we Wschodnim Okręgu Anglii. Patrzył z wyraźnym wstrętem. Uchwyt na ramieniu tamtego zacieśnił się.

- Słuchaj pan, idę się napić - rzucił gość weselny, choć raczej bez przekonania, bo widać było wyraźnie, że jednak nie idzie.

- Pozostawiliśmy za sobą tych, którzy chcą zniszczyć się za pomocą wojen - mamrotał Michael. - Nasz świat miał być światem pokoju, sztuki i oświecenia. Nie było w nim miejsca na nic, co przyziemne i małe, na nic, co godne pogardy...

Unieruchomiony rozrabiaka spojrział na niego z zastanowieniem. Nie wyglądał na podstarzałego hippisa. Oczywiście, nigdy nic nie wiadomo. Jego własny starszy brat spędził parę lat w druidycznej komunie, gdzie zajadał się pączkami z LSD i myślał, że jest drzewem, ale od tamtej pory minęło sporo czasu; brat został dyrektorem banku handlowego. Różnica, rzecz jasna, polegała na tym, że obecnie rzadko kiedy uważał, że jest drzewem, co najwyżej przy jakiejś szczególnej okazji, zresztą od dawna nauczył się unikać pewnego gatunku czerwonego wina, które czasem przywoływało tamte wspomnienia.

- Byli tacy, co mówili, że nam się nie uda - ciągnął Michael swym ściszym tonem, który jednak przepływał bez trudu ponad rozbuchanym zgiełkiem, jaki panował w wagonie - którzy przepowiadali, że i my przyniesiemy ze sobą załazek wojen, lecz naszym głębokim postanowieniem i celem było, aby rozkwitły tylko sztuka i piękno - najwyższa sztuka i najwyższe piękno: muzyka. Zabraliśmy ze sobą tylko tych, którzy wierzyli, którzy pragnęli, aby to się ziściło.

- Ale o czym pan w ogóle mówi? - zapytał gość weselny, lecz nie wyzywająco, bo ogarnął go już mesmeryczny czar Michaela. - Kiedy to było? I gdzie?

Michael dyszał ciężko.

- Zanim się urodziłeś... - powiedział w końcu. - Bądź cicho, to ci opowiem.

Rozdział dwudziesty siódmy

Nastąpiła długa, pełna zaskoczenia chwila ciszy, podczas której ponury wieczór za oknem pociemniał znacznie i zdawał się teraz brać we władanie coraz większe partie pokoju. Kaprys światła spowił Rega w mrok.

Był to jeden z niewielu momentów w pełnym wybujałej elokwencji życiu Dirka, kiedy stanął oniemiały. Jego oczy lśniły iście dziecięcym podziwem, kiedy jeszcze raz od nowa przesuwały się po nieciekawych i podniszczonych meblach, wyłożonych boazerią ścianach, po wyłysiałych dywanach. Drżały mu ręce. Richard na własny użytek zmarszczył się leciutko, jakby próbował obliczyć w myśli jakiś pierwiastek kwadratowy, a potem spojrział prosto w twarz Rega.

- Kim pan jest? - zapytał.

- Nie mam najmniejszego pojęcia - odparł dziarsko Reg. - Większa część mojej pamięci odeszła już w niebyt. Rozumiecie, jestem bardzo stary. Wstrząsająco stary. Tak... Podejrzewam, że gdybym miał wam powiedzieć, ile mam lat, to można śmiało założyć, że bylibyście wstrząśnięci. A idę o zakład, że ja także, bo zupełnie nie pamiętam. Strasznie dużo już widziałem, rozumiecie? Większość, dzięki

Bogu, zapomniałem. Problem w tym, że kiedy człowiek dochodzi już moich lat, a pewnie już wspominałem, że mam ich wstrząsająco wiele... Czy już to mówiłem?

- Tak, już pan wspomniał.

- To dobrze. Bo już zdążyłem zapomnieć. Chodzi o to, że pamięć z wiekiem wcale się nie powiększa, zatem wiele z jej zawartości musi po prostu wypaść. Jak więc widzicie, różnica między kimś w moim wieku a kimś w waszym polega nie na tym, ile wiemy, ale na tym, ile zdołaliśmy zapomnieć. A po jakimś czasie zaczyna się zapominać, o czym mianowicie się zapomniało, a potem zapomina się, że w ogóle trzeba było o czymś pamiętać. A jeszcze później ujawnia się tendencja do zapominania, o czym to się akurat mówiło.

Zapatrzył się bezradnie na imbryk.

- To co pan pamięta... - odpowiedział dyskretnie Richard.

- Zapachy i kolczyki.

- Co proszę?

- Z niewiadomych przyczyn te dwie rzeczy zostają mi na długo w pamięci - odparł Reg, potrząsając w zadziwieniu głową. Niespodziewanie usiadł. - Kolczyki, które nosiła królowa Wiktoria na swym srebrnym jubileuszu. Także dość wstrząsające. Na obrazach z epoki, rzecz jasna, mocno stonowane. Zapach ulic, zanim pojawiły się na nich samochody. Trudno orzec, co jest gorsze. To oczywiste, że z tego właśnie powodu Kleopatra tak długo utrzymuje się w pamięci. Piorunująca kombinacja kolczyków i zapachów. Myślę, że będzie to prawdopodobnie ostatnia rzecz, jaka zostanie mi w głowie, kiedy wszystko inne już z niej umknie. Będę siedział sam w zaciemnionym pokoju, bez zębów, wzroku i smaku, pozbawiony wszystkiego z wyjątkiem tej starej, siwej główiny, a w tej małej siwej główinie będę snuł tę szczególną wizję dwóch ohydnych złoto-zielonych wisiorów wraz z zapachem potu, kociego jedzenia i śmierci. Ciekawe, co mi wtedy z tego przyjdzie...

Dirk, niemal nie oddychając, zaczął krążyć po pokoju, delikatnie muskając opuszkami palców ściany, kanapę, stół.

- Od jak dawna - odezwał się - to się...

- Tutaj znajduje? - dopowiedział Reg. - Od jakichś dwustu lat. Odkąd przeszedłem na emeryturę.

- Skąd pan przeszedł na emeryturę?

- A bo ja wiem? Choć pewnie musiała to być niezła posadka, jak sądzicie?

- Chce pan powiedzieć, że przebywa pan w tych pokojach od dwustu lat? - mruknął Richard. - Można by pomyśleć, że ktoś coś zauważy albo uzna za szczególne.

- Och, to jeden z najcudowniejszych aspektów starszej części Cambridge - odrzekł Reg. - Każdy jest tu tak straszliwie dyskretny. Gdybyśmy wszyscy mieli zacząć robić uwagi na temat naszych dziwactw, mielibyśmy o czym rozmawiać do samego Bożego Narodzenia. Svlad... to znaczy Dirk, mój drogi przyjacielu, proszę, nie dotykaj tego na razie.

Dłoń Dirka wyciągała się właśnie, aby dotknąć liczydła, stojącego samotnie na jedynym kawałku wolnej przestrzeni na stole.

- Co to jest? - rzucił szybko Dirk.

- Tylko to, na co wygląda. Drewniane liczydło - odparł Reg.

- Pokażę je wam za moment, ale najpierw muszę pogratulować ci wielkiej potęgi percepcji. Czy wolno wiedzieć, w jaki sposób doszedłeś do tego rozwiązania?

- Muszę przyznać - odparł Dirk z rzadką u niego skromnością - że to nie ja. W końcu musiałem zapytać dziecka. Opowiedziałem mu całą historię ze sztuczka i zapytałem, jak według niego została wykonana, a on odparł, cytując: „Przecież to, kurde, oczywiste, co nie? Musiał mieć, kurde, wehikuł czasu”. Podziękowałem młodemu koledze i dałem mu szylinga za fatywę. On zaś kopnął mnie dość ostro w goleń i oddalił się we własnych sprawach. Ale tak naprawdę to on rozwiązał ten problem. Mój jedyny wkład polegał na tym, iż dostrzegłem, że on musi mieć rację. Dzięki niemu nie musiałem nawet sam się kopać.

- Ale byłeś na tyle przenikliwy, żeby zapytać dziecko - odparł Reg. - W takim razie gratuluję ci choć tego.

Dirk nadal zezował podejrzliwie w kierunku liczydła.

- Jak... jak to działa? - zapytał na pozór od niechcienia.

- No cóż, to naprawdę okropnie proste - odpowiedział Reg. - Działa dokładnie tak, jak sobie tego zażyczysz. Widzicie, komputer, który tym wszystkim zawiaduje, jest mocno zaawansowany. Prawdę mówiąc, jest potężniejszy niż wszystkie komputery na tej planecie, nie wyłączając - i tu dopiero kryje się sztuczka - nie wyłączając jego samego. Tych spraw sam nigdy nie byłem w stanie do końca zrozumieć, jeśli mam być szczerzy. Ale ponad dziewięćdziesiąt pięć procent tej mocy zużywa wyłącznie na to, żeby zrozumieć, czego się od niego chce. Po prostu przesunę paciorkiem liczydła w tę czy w drugą stronę, a on rozumie wszystko. Podejrzewam, że nauczono mnie posługiwać się liczydłem, kiedy byłem... hm, dzieckiem. Richard, na przykład, mógłby używać do tego własnego komputera. Gdyby postawił go w to miejsce, gdzie stoi teraz liczydło, komputer wehikułu po prostu by go przejął i wyposażył w mnóstwo miłych, przyjaznych aplikacji do podróży w czasie, wraz z kompletem rozwijanych menu i akcesoriów, jakich tylko by sobie zażyczył. Jedyna różnica w tym, że kiedy wskaże na ekranie 1066, tuż za drzwiami będzie się toczyć bitwa pod Hastings - jeśli interesują go akurat tego rodzaju rzeczy.

Ton głosu Rega wskazywał na to, że jego osobiste zainteresowania leżą w zupełnie innych rejonach.

- Z pewnością, to na swój sposób niezła rozrywka - zakończył. - A już na pewno lepsza niż telewizja i łatwiejsza w obsłudze niż magnetowid. Jeśli przegapię jakiś program, przeskakuję sobie w czasie i oglądani. Beznadziejnie się płaczę, jeśli chodzi o te wszystkie guziki.

Dirk przeraził się, słysząc tę rewelację.

- Ma pan wehikuł czasu i używa go do oglądania telewizji?!

- No cóż, nie używałbym go wcale, gdybym potrafił posługiwać się magnetowidem. Rozumiecie, te podróże w czasie to ogromnie delikatna sprawa. Pełna okropnych pułapek i zagrożeń - jeśli chce się naprawić jakiś błąd w przeszłości, można zupełnie zakłócić bieg historii. Plus, oczywiście, fakt, że zawsze zepsuje mi telefon.

- Przykro mi - zwrócił się przepaszająco do Richarda - że wczoraj wieczorem nie mogłem zadzwonić do swej młodej damy. Wydaje się, że w brytyjskim systemie telekomunikacyjnym tkwi coś fundamentalnie niewytłumaczalnego, co mojemu wehikułowi bardzo się nie podoba. Nigdy nie mam kłopotu z kanalizacją, prądem ani nawet gazem. Połączeniami ze światem zewnętrznym zajmuje się na takim poziomie kwantowym, który nie do końca pojmuję, ale nigdy nie stanowiły najmniejszego problemu.

- Telefon natomiast - ciągnął - stale stanowi problem. Za każdym razem, kiedy korzystam z wehikułu czasu - czyli, ma się rozumieć, prawie wcale, częściowo właśnie z powodu kłopotów z telefonem - telefon dostaje bzika i muszę wzywać jakiegoś prostaka z zakładów telekomunikacji, żeby przyszedł mi go naprawić, a on zaczyna zadawać mi głupie pytania, choć odpowiedzi nie ma najmniejszych szans zrozumieć. W każdym razie - westchnął - chodzi o to, że obowiązuje mnie bardzo ścisła reguła, aby nie zmieniać niczego w przeszłości bez względu na to, jak wielka byłaby pokusa.

- Jaka pokusa? - zapytał szybko Dirk.

- Ach, chodzi o... hm... pewien drobiazg, takie tam moje małe hobby - odpowiedział Reg niezbyt jasno - całkowicie nieszkodliwe, ponieważ bardzo ściśle trzymam się tej zasady. Ale mimo wszystko to mnie zasmuca.

- Ale przecież złamał pan własną zasadę! - upierał się Dirk. - Wczoraj wieczorem! Zmienił pan coś w przeszłości...

- Owszem - przyznał Reg, nieco zakłopotany - ale to było co innego. Zupełnie co innego. Gdybyś widział twarz tej dziewczynki... Taka nieszczęśliwa. Myślała, że świat to cudowne miejsce, a ci wszyscy okropni starzy profesorowie wylewali na nią strugi swego zwiędłego cynizmu, bo dla nich świat dawno już przestał być piękny.

- Wiesz, co mam na myśli - zwrócił się w stronę Richarda. - Przypomnij sobie Cawleya. Stary, bezkrwisty cap. Ktoś powinien wbić w niego trochę ludzkich odruchów, nawet jeśli miałyby użyć w tym celu cegły. Nie, to było całkowicie usprawiedliwione. Pod każdym innym względem bardzo ściśle trzymam się...

Richard przyglądał mu się uważnie, a w głowie zaczęło mu coś świtać.

- Reg - wtrącił uprzejmie - czy mogę służyć panu radą?

- Naturalnie, mój drogi kolego, wysłucham z najwyższą przyjemnością - odparł Reg.

- Jeśli nasz wspólny przyjaciel zaprosi pana na przechadzkę wzdłuż rzeki Cam, niech pan nie idzie.

- A cóż to, na litość boską, ma znaczyć?

- On chce przez to powiedzieć - wtrącił gorliwie Dirk - że sądzi, iż to, co pan zrobił, jest cokolwiek

niewspółmierne do powodów, które pan podaje.

- Ach tak. Trochę dziwnie to ujął...

- No cóż, to trochę dziwny facet. Ale wie pan, czasem pewne działania miewają też przyczyny, których niekoniecznie jesteśmy świadomi. Tak jak w przypadku posthipnotycznej sugestii albo opętania.

Reg zbladł jak ściana.

- Opętania... - powtórzył.

- Profesorze... Reg... zakładam, że musi istnieć jakiś powód, dla którego chciał się pan ze mną zobaczyć. O co dokładnie chodzi?

- Cambridge! Tu stacja Cambridge! - napłynął melodyjny skrzek z głośników stacji.

Tłum hałaśliwych rozrabiaków chlusnął na peron, poszczekując i porykując do siebie.

- A gdzie Rodney? - spytał jeden z nich, który wytaszczył się z trudem z wagonu restauracyjnego. On i jego współtowarzysz rozejrzeli się chwiejnie po peronie. Obok nich przesunęła się cicho wielka postać Michaela Wentona-Weakesa i podążyła ku wyjściu.

Zaczęli przepychać się wzdłuż pociągu, zaglądając przez brudne szyby okien. Nagle ujrzeli swego zaginionego współtowarzysza, który dalej siedział, jak pogrążony w transie, na swoim siedzeniu w opustoszałym teraz przedziale. Zaczęli walić w okno i ryczeć do niego. Przez chwilę nie reagował, a potem nagle jakby się obudził, zdziwiony, jak gdyby nie bardzo wiedział, gdzie się znajduje.

- On na oczy nie widzi! - wyli z rozbawieniem jego kompani, ładując się do wagonu i wyładowując z powrotem wraz z Rodneyem.

Ten zaś stanął zamroczony na peronie i potrząsnął głową. Kiedy podniósł wzrok, dostrzegł poprzez tory zwalistą sylwetkę Michaela Wentona-Weakesa, który ładował siebie i swoją potężną, ciężką torbę do taksówki. Rodney stał jak zahipnotyzowany.

- Coś niesamowitego - powiedział. - Tamten facet. Opowiadał mi historię o jakimś rozbitym statku.

- Nie gadaj - zagulgotał jeden z jego kompanów. - Nie wyciągnął od ciebie jakichś pieniędzy?

- Co? - zdziwił się Rodney. - Nie, nie wydaje mi się. Ale to chyba nie było o rozbitym statku, chyba raczej o jakimś wypadku, może o wybuchu? Wygląda na to, że on myśli, że to przez niego. Albo raczej tam był jakiś wypadek, a on spowodował eksplozję, bo chciał to naprawić, i wszystkich pozabijało. A potem mówił, że przez całe lata było pełno gnijącego mułu i jakieś śliskie stwory na nogach. To wszystko brzmiało dość nietypowo.

- Cały Rodney! Cały Rodney! Zawsze musi trafić na wariata!

- Chyba musiał być stuknięty. Potem ni z tego, ni z owego zaczął coś o jakimś ptaku. Powiedział, że ten kawałek o ptaku jest zupełnie bez sensu, i żałował, że nie może się go jakoś pozbyć. Ale potem powiedział, że teraz i tak wszystko znów będzie w porządku. Wszystko się ustawi jak trzeba. Nie wiem dlaczego, ale nie podobało mi się, kiedy tak mówił.

- Powinieneś być pójść z nami do baru. Było strasznie śmiesznie, a my...

- Nie podobało mi się też, jak się pożegnał. Wcale mi się nie podobało.

Rozdział dwudziesty ósmy

- Pamiętacie - mówił Reg - że kiedy przyjechaliście tu dziś po południu, powiedziałem, że ostatnio było nudno, ale z interesujących przyczyn?

- Pamiętam - odrzekł Dirk. - Zdarzyło się to zaledwie dziesięć minut temu. O ile sobie przypominam, stał pan dokładnie w tym samym miejscu i miał pan na sobie dokładnie to samo ubranie i...

- Przymknij się, Dirk - wtrącił Richard - i pozwól człowiekowi skończyć, dobrze?

Dirk wykonał lekki, przepaszający ukłon.

- Właśnie - mówił Reg. - Prawda zaś przedstawia się następująco: od wielu tygodni, a nawet miesięcy, wcale nie używałem wehikułu, ponieważ trapiło mnie dość szczególne poczucie, że ktoś albo coś próbuje mnie do tego zmusić. Zaczęło się od bardzo lekkiego nacisku, a potem nachodziło w coraz mocniejszych falach. Było to ogromnie niepokojące. Musiałem się opierać ze wszystkich sił, ponieważ próbowało mnie zmusić do zrobienia tego, co i tak miałem ochotę zrobić. I nie sądzę, żebym się miał kiedykolwiek zorientować, że kieruje mną coś z zewnątrz, gdyby nie to, że w owych sprawach tak bardzo mam się na baczności. Kiedy tylko spostrzegłem, że to jakaś obca siła próbuje wdrzeć się w moje myśli, zrobiło się naprawdę niedobrze i meble zaczęły latać po pokoju. Zupełnie zniszczyło mój mały georgiański sekretarzyk. Popatrzcie na te ślady...

- Czy tego pan się obawiał wczoraj wieczorem, tam na górze? - zapytał Richard.

- Och, tak - odparł Reg ściszone głosem - bardzo się obawiałem. Ale to był tylko ten całkiem miły koń, więc wszystko było w porządku. Przypuszczam, że musiał się tu dostać, kiedy wyskoczyłem po puder, żeby zakryć opaleniznę.

- Tak? - zdziwił się Dirk. - A dokąd pan wyskoczył? - zapytał. - Jakoś nie mogę sobie przypomnieć żadnej drogerii, po której spacerowałyby konie.

- Ach, jest taka jedna planeta, gdzieś w tym mniej więcej obszarze, który tutaj nazywa się Plejadami, gdzie pył jest akurat w idealnym...

- Udał się pan - spytał szeptem Dirk - na inną planetę? Po puder do twarzy?

- Och, to właściwie żadna odległość - odparł wesoło Reg. - Widzisz, rzeczywista odległość pomiędzy dwoma punktami w kontinuum czasoprzestrzennym jest niemal nieskończenie mniejsza niż przypuszczalna odległość między dwiema orbitami sąsiadujących ze sobą elektronów. Doprawdy, to o wiele bliżej niż drogeria i nie trzeba sterczeć przy kasie. Nigdy nie mam odliczonych pieniędzy, a wy? Dlatego zawsze wolę niewielki skok kwantowy. Pomijając, rzecz jasna, cały późniejszy kłopot z telefonem. Ale nic nigdy nie przychodzi łatwo, nieprawdaż?

Przez chwilę sprawiał wrażenie zmartwionego.

- Wygląda na to, że o ile dobrze rozumiem, co macie na myśli, to możecie mieć rację - dodał cicho.

- To znaczy?

- Że wykonałem solidny kawał dość skomplikowanej roboty, jak na tak nikły rezultat. Pocieszenie małej dziewczynki - choć była rozkoszna, czarująca i smutna - nie wydaje się dostateczną wymówką dla wykonania poważnej operacji w inżynierii czasoprzestrzennej - teraz, kiedy odważyłem się przyjrzeć temu z bliska. Nie ulega wątpliwości, że o wiele prościej byłoby skomplementować jej sukienkę. Może ten... duch - bo mówimy tutaj o duchach, prawda?

- Owszem, jak sądzę, tak - odpowiedział powoli Dirk.

- Duch? - powtórzył Richard. - Dajcie spokój...

- Czekaj! - przerwał mu dość obcesowo Dirk. - Proszę mówić dalej - zwrócił się do Rega.

- Istnieje możliwość, że ten duch uderzył tam, gdzie się go najmniej spodziewałem. Tak mocno opierałem się, by nie zrobić jednej rzeczy, że z łatwością wmanewrował mnie w coś innego...

- A teraz?

- Och, teraz już go tu nie ma. Duch opuścił mnie ubiegłego wieczoru.

- A dokąd, zastanówmy się - powiedział Dirk, odwracając wzrok ku Richardowi - sobie poszedł?

- O nie, proszę - zaprotestował Richard - tylko bez takich. Nawet nie jestem pewien, czy przyjąłem już do wiadomości, że rozprawiamy o wehikułach czasu, aż tu nagle - duchy?

- Co w takim razie - syknął Dirk - sprawiło, że wspinałeś się po murze?

- No przecież sam mówiłeś, że działałem pod wpływem czyjejs posthipnotycznej sugestii...

- Nic podobnego! Zademonstrowałem ci tylko, jak potężna może być moc posthipnotycznej sugestii. Ale wierzę, że posthipnotyczna sugestia i opętanie są pod wieloma względami bardzo do siebie podobne. Mogą cię zmusić do wykonania całego szeregu absurdalnych czynności, do których będziesz potem wymyślał radośnie najrozmaitsze racjonalizacje, żeby je sobie wytłumaczyć. Ale nie mogą cię zmusić do niczego, co stałoby w fundamentalnej sprzeczności z twoją naturą. Będziesz walczył! Będziesz się opierał!

Richard przypomniał sobie teraz owo uczucie ulgi, kiedy pod wpływem impulsu włożył kasetę z powrotem do sekretarki Susan. To był koniec walki, którą niespodziewanie wygrał. Z poczuciem, że obecnie prowadzi kolejną walkę, którą przegrywa, westchnął i opowiedział o wszystkim pozostałym.

- No właśnie! - wykrzyknął Dirk. - Nie zrobiłbyś tego! No, wreszcie zaczynamy do czegoś dochodzić. Widzisz, hipnoza działa najlepiej wtedy, kiedy obiekt ma głęboką wewnętrzną inklinację, by zrobić to, co mu zostało nakazane. A kiedy znajdzie się odpowiedni obiekt, hipnoza może uchwycić go w bardzo, bardzo potężny uścisk. A wierzę, że mniej więcej to samo ma miejsce w przypadku opętania. No tak. Co my tu mamy? Mamy ducha, który chce czegoś dokonać i szuka właściwej osoby, którą mógłby opętać i która zrobiłaby to za niego. Profesorze...

- Reg - odparł ten.

- Reg, czy mogę zadać panu pytanie, które może okazać się straszliwie osobiste? Jeśli nie zechce pan odpowiedzieć, zrozumieć, ale będę pana prześladował dopóty, dopóki pan nie odpowie. Po prostu takie mam metody. Powiedział pan, że było coś, co okazało się straszliwą pokusą. Coś, co chciał pan zrobić, a na co sobie nie pozwalał, i że duch próbował pana do tego popchnąć? Bardzo proszę. Wiem, że to może być dla pana trudne, ale uważam, że bardzo by nam pomogło, gdyby powiedział pan, co to takiego.

- Nie powiem wam...

- Musi pan zrozumieć, jakie to ważne...

-...natomiast chętnie pokażę - dokończył Reg.

W bramie Kolegium Świętego Cedda rysowała się sylwetka potężnej męskiej postaci, która dźwigała potężną, ciężką, czarną nylonową torbę. Sylwetka ta należała do Michaela Wentona-Weakesa; głos, który pytał portiera, czy profesor Chronotis jest teraz u siebie, należał do Michaela Wentona-Weakesa; uszy, które usłyszały, jak portier mówi, że niech go diabli, jeśli wie, bo telefon znowu głuchy, należały do Michaela Wentona-Weakesa, lecz duch, który wyzierał mu z oczu, wcale już do niego nie należał.

Poddał się bezgranicznie. Ustały wszelkie wątpliwości, różnice i niepewność.

Nowa świadomość opanowała go całkowicie.

Duch, który nie był Michaelem Wentonem-Weakesem, zlustrował rozciągające się przed nim kolegium, do którego zdążył się przyzwyczaić w ciągu tych ostatnich frustrujących i rozwścieczających tygodni.

Tygodni, też coś! Zwykłych mikrosekundowych okamgnień.

A choć ten duch, który zamieszkiwał obecnie ciało Michaela Wentona-Weakesa, poznał już w swoim istnieniu ogromnie długie okresy zapomnienia, ciągnące się nieraz przez całe stulecia, to czas, w ciągu którego przemierzał Ziemię, był tak długi, iż zdawało mu się, że istoty, które postawiły te mury, pojawiły się dopiero przed kilkoma minutami. Większa część jego prywatnej wieczności - nie była to prawdziwa wieczność, ale kilka miliardów lat naprawdę bardzo ją przypomina - spędza na samotnych wędrówkach przez bezkresny szlam, brodzeniu w nieskończonych morzach, na przyglądaniu się z oszołomieniem i przerażeniem, jak z gnijących mórz zaczynają wypływać nagle śliskie stwory na nogach - i oto, proszę, łażą teraz wszędzie, jakby były u siebie, i narzekają na telefony.

Gdzieś w najgłębszym i najciemniejszym skrawku świadomości wiedział, że jest szalony, że niemal natychmiast po tamtym wypadku doprowadziła go do szaleństwa świadomość tego, co zrobił, oraz egzystencja, jaką przyszło mu wieść, pełna wspomnień o własnych towarzyszach, które nawiedzały go tak, jakby on nawiedzał Ziemię.

Wiedział, że stan, do którego się doprowadził, wydałby się odrażający tamtemu ja, które ledwie teraz pamiętał, lecz był to jedyny dostępny mu sposób zakończenia koszmaru, który stawał się coraz gorszy z każdym kolejnym mijającym miliardem lat.

Dźwignął torbę i zaczął iść.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

W głębi lasu strefy deszczowej działo się to, co zwykle dzieje się w głębi lasu strefy deszczowej: padało - stąd nazwa.

Był to drobny, uporczywy deszcz, nie ciężka ulewa, która nadchodzi trochę później, w porze upałów. Deszcz tworzył delikatną, ociekającą mgłę, przez którą od czasu do czasu przebijał się promień słońca, rozmiękał i przepływał do mokrej kory drzewa kalwaryjskiego* [* Calvaria tree - gatunek drzew występujących tylko na Mauritiusie; ich nasiona mogły wykiełkować po uprzednim przetrzawieniu w żołądku dronta, dlatego też niemal wyginęły po wyłępieniu tego ptaka.], na której następnie osiadał i połyskiwał. Czasami padał tuż obok motyla lub małej, połyskującej jaszczurki, a wtedy widok stawał się niemal nieznośnie piękny.

Wysoko w górze, wśród koron drzew jakiemuś ptakowi wpadła nagle do głowy niezwykła myśl, fruwał więc z łopotem przez gałęzie, by opaść w końcu na innym, o niebo lepszym drzewie, gdzie będzie siedział i rozważał sprawy na nowo, spokojniej, aż powróci doń tamta myśl albo nadejdzie pora posiłku.

Powietrze pełne było zapachów - lekkiej woni kwiatów i dusznego aromatu rozmokłej mierzwy, która wyścielała dno lasu.

Wśród owej mierzwy wiły się splątane korzenie, porastały je mchy, deptały po nich owady.

W pewnym punkcie lasu, na pustym skrawku mokrego gruntu okolonego przez wyciągające szyje drzewa, cicho i bez zbędnego szumu pojawiły się nagle zwykłe białe drzwi. Po kilku sekundach uchyliły się z lekkim skrzypnięciem. Wyjrzał zza nich wysoki, szczupły mężczyzna, zamrugał zdumiony i ostrożnie zamknął je z powrotem.

Po chwili jednak otworzyły się ponownie i tym razem wyjrzał przez nie Reg.

- To jest realne - rzekł - daję słowo. Wyjdź i sam się przekonaj.

Wszedłszy w głąb lasu, odwrócił się i gestem przywołał do siebie pozostałą dwójkę.

Dirk dzielnie przekroczył próg, zdumiony odkryciem, ile czasu może upłynąć między jednym a drugim mrugnięciem oka. Obwieścił następnie, iż wie już, jak to działa, i że to niewątpliwie ma coś wspólnego z liczbami nierzeczywistymi, które leżą pomiędzy minimalnymi odległościami kwantowymi i określają kontury fraktalne rozwiniętego wszechświata, i że zdumiewa go jedynie fakt, iż sam wcześniej na to nie wpadł.

- Tak jak z tą kocią kłapką - rzucił Richard od drzwi.

- No tak, dokładnie tak samo - przyznał Dirk, opierając się o drzewo i zdejmując okulary, by je wytrzeć. - Zorientowałeś się, oczywiście, że łązę. Myślę, że zgodzisz się ze mną, że w tych okolicznościach to zupełnie naturalny odruch. Całkowicie naturalny. - Spojrzał lekkim zezem i włożył z powrotem okulary. Niemal natychmiast pokryły się mgłą.

- Zdumiewające - przyznał.

Richard przekraczał próg z dużo większym wahaniem, stał więc przez chwilę, chwiejąc się, z jedną nogą ciągle jeszcze w mieszkaniu Rega, a drugą na mokrym gruncie lasu. Potem postąpił krok do przodu i tym samym zaangażował się w pełni.

Płuca natychmiast wypełnił mu uderzający do głowy aromat, a umysł - podziw dla tego miejsca. Obejrzał się na drzwi, przez które wszedł. W dalszym ciągu była to absolutnie normalna biała framuga z poruszającymi się w niej absolutnie normalnymi białymi drzwiami, tylko że drzwi te stały otworem w środku lasu, a widać było przez nie pokój, który Richard przed chwilą opuścił.

W zadziwieniu obszedł drzwi naokoło, sprawdzając każdą piędź błotnistej ziemi, nie tyle z obawy, że się na nim poślizgnie, ile z obawy, że go tu w ogóle nie ma. Od tyłu drzwi wyglądały jak zupełnie normalna framuga z otwartymi drzwiami; wszedł w nie od tyłu i jeszcze raz, spoglądając za siebie, zobaczył służbowe mieszkanie profesora Urbana Chronotisa w Kolegium Świętego Cedda w Cambridge, które przecież musiało znajdować się tysiące mil stąd. Tysiące? Gdzie oni właściwie są?

Wpatrywał się intensywnie w przestrzeń między drzewami, aż w końcu wydało mu się, że dostrzeżę w dali jakiś błysk.

- Czy to morze? - zapytał.

- Stąd widać je trochę wyraźniej - zawołał Reg, który zdążył tymczasem wspiąć się po śliskim zboczu i stał teraz oparty o drzewo, dysząc ciężko. Wskazał ręką.

Pozostała dwójka ruszyła na szczyt wzniesienia, przepychając się hałaśliwie przez gałęzie i wywołując wiele skrzeków oraz narzekań wśród niewidocznego ptactwa.

- To Pacyfik? - zapytał Dirk.

- Ocean Indyjski - odparł Reg.

Dirk wytarł okulary i spojrzał raz jeszcze.

- No jasne - rzekł.

- Ale to nie Madagaskar? - zapytał Richard. - Byłem tam raz...

- Naprawdę? - podchwycił Reg. - Jedno z najpiękniejszych i najbardziej zdumiewających miejsc na ziemi, a dla mnie także pełne najokropniejszych... pokus. Nie.

Głos zadrżał mu lekko. Odchrząknął.

- Nie - mówił dalej - Madagaskar jest... Zobaczmy, z której jesteśmy strony - gdzie jest słońce? Tak, w tamtym kierunku. Ciut na zachód. Madagaskar jest pięćset mil stąd, w kierunku mniej więcej zachodnim. Mniej więcej w środku leży wyspa Réunion.

- Ech, jak się nazywa to miejsce? - odezwał się niespodziewanie Dirk, bębniąc kłykciami o drzewo i płosząc jaszczurkę. - Miejsce, skąd pochodzi ten znaczek... Ach, Mauritius.

- Znaczek? - zdumiał się Reg.

- Tak, z pewnością pan słyszał - odparł Dirk. - Bardzo sławny znaczek. Nie mogę sobie o nim nic

więcej przypomnieć, ale pochodzi właśnie stąd. Z Mauritiusa. Zasłynął on swoim wybitnym znaczkiem, brązowym i usmarowanym, za który można by kupić pałac Blenheim. A może mam na myśli raczej Brytyjską Gujanę?

- Ty jeden - skomentował Richard - jesteś w stanie stwierdzić, co masz na myśli.

- Czy to Mauritius?

- Tak - odparł Reg - to Mauritius.

- Ale pan przecież nie zbiera znaczków.

- Nie.

- A cóż to jest, u licha? - wykrzyknął nagle Richard, lecz Dirk kończył kierowaną do Rega myśl.

- Szkoda, mógłby pan się załapać na niejedną okolicznościowy stempel, nieprawdaż?

Reg wzruszył ramionami.

- Niespecjalnie mnie to zajmuje - rzekł.

Za nimi Richard ześliznął się w dół po zboczu.

- No to jaką ma pan tutaj tak straszliwą atrakcję? - dopytywał się Dirk. - Muszę przyznać, że nie tego się spodziewałem. To bardzo ładne, na swój sposób, jasne. Cała ta natura. Ale ja jestem raczej chłopak z miasta. - Wyczyścił okulary i wepchnął je z powrotem na nos.

To, co zobaczył, sprawiło, że cofnął się o parę kroków. Dobiegł go cichy chichot Rega. Tuż przed drzwiami prowadzącymi do pokoju Rega odbywała się właśnie bardzo niecodzienna konfrontacja.

Wielki, rozdrażniony ptak mierzył wzrokiem Richarda, Richard zaś mierzył wzrokiem wielkiego rozdrażnionego ptaka. Richard gapił się na ptaka, jakby w życiu nie widział nic bardziej niezwykłego, ptak natomiast gapił się na Richarda tak, jakby rzucał mu wyzwanie, żeby spróbował uznać jego dziób za choćby odrobinę śmieszny.

Kiedy już zadowolili się stwierdzeniem, że Richard nie ma zamiaru wybuchnąć śmiechem, przyjrzał mu się następnie ze swego rodzaju ponurą i drażliwą tolerancją, zastanawiając się, czy tamten będzie tak stał w nieskończoność, czy może zrobi w końcu coś pożytecznego i go nakarmi. Podreptał kilka kroków do tyłu, potem kilka kroków w bok, a potem, stawiając jeden potężny, rozkołysany krok wielką, żółtą łapą, wrócił do punktu wyjścia. Spojrzał na Richarda jeszcze raz i niecierpliwie skrzeknął.

Potem pochylił się w przód i przejechał po ziemi swym nedorzecznym czerwonym dziobem, jakby chciał podsunąć Richardowi, że najlepiej rozglądać się za czymś do karmienia w tej mniej więcej okolicy.

- Żywi się orzechami drzewa kalwaryjskiego - zawołał do Richarda Reg.

Ptak, poirytowany, spojrział ostro na Rega, jakby chciał powiedzieć, że nawet dla największego idioty powinno być jasne, czym on się żywi. Następnie obejrzał się na Richarda i przechylił głowę na

bok, jakby nagle uderzyła go myśl, że może jednak ma do czynienia z idiotą i że być może w związku z tym trzeba będzie zmienić dotychczasową strategię.

- Na ziemi za tobą leżą dwa - zawołał niegłówno Reg.

Richard odwrócił się niezgrabnie i zobaczył, że za nim leżą na ziemi dwa spore orzechy. Pochylił się i podniósł jeden, po czym rzucił okiem na Rega, który posłał mu krzepiące spojrzenie.

Powoli i ostrożnie Richard podsunął orzech w stronę ptaka, który pochylił się błyskawicznie i wyszarpnął go spomiędzy palców. Potem, jako że ręka Richarda nadal pozostawała wyciągnięta, ptak z irytacją odtrącił ją na bok dziobem.

Kiedy już Richard odsunął się na pełen respektu dystans, ptak wyciągnął szyję, zamknął swe żółte oczy i zaczął bez wdzięku gulgotać, strząsając orzech w dół przetyku, do wola.

Wyglądało na to, że w końcu jest przynajmniej częściowo usatysfakcjonowany. I podczas gdy przedtem było to rozdrażnione dodo* [* Dodo - ptak z wymarłej rodziny drontów (niełotne gołębie olbrzymie: wysokość do 75 cm, waga ok. 25 kg); jeszcze w końcu XVII w. żył na Mauritiusie - Reg mówi prawdę.], teraz było to dodo rozdrażnione i nakarmione, ale chyba na nic więcej nie mogło w życiu liczyć.

Wykonało powolny, chwiejny zwrot w miejscu i podreptało z powrotem w głąb lasu, skąd przyszło, tak jakby rzucało Richardowi wyzwanie, żeby spróbował uznać małą kępkę skręconych piór na końcu grzbietu za choćby odrobinę śmieszna.

- Przychodzę tylko popatrzeć - wyznał Reg ściszym głosem, a spoglądającego nań Dirka zupełnie zbiło z tropu, kiedy zobaczył, że oczy staruszka pełne były łez, które otarł zresztą natychmiast niecierpliwym ruchem. - Naprawdę, nie do mnie należy mieszanie się...

Richard przypędził ku nim zdyszany.

- Czy to było dodo?

- Tak - odparł Reg - jedno z trzech pozostałych w tym czasie przy życiu. Mamy rok 1676. Za cztery lata wyginą co do jednego i nikt nigdy już ich nie zobaczy. Chodźmy - dodał - trzeba wracać.

Za dobrze zamkniętymi zewnętrznymi drzwiami w klatce schodowej w rogu drugiego dziedzińca Kolegium Świętego Cedda, gdzie tylko milisekundę wcześniej nastąpił błysk światła, kiedy drzwi wewnętrzne zniknęły, nastąpił teraz kolejny błysk: drzwi wracały.

Wędrująca ku nim wśród mroku potężna postać Michaela Wentona-Weakesa podniosła wzrok ku narożnym oknom. Jeśli nawet widać w nich było przez moment jakiś blask, to nie wyróżniał się niczym spośród migotań ognia na kominku, które tańczyły na szybach.

Postać spojrzała w ciemność nieba, szukając wzrokiem czegoś, o czym wiedziała, że tam jest, choć nie było najmniejszych szans, żeby to dojrzeć, nawet gdyby noc była bezchmurna. Orbity wokół Ziemi były teraz tak zaśmiecone różnego rodzaju szczątkami i odpadkami, że między tym wszystkim jeszcze jeden okaz - nawet tak duży - mógł pozostawać nie zauważony przez całą wieczność, i rzeczywiście tak było, choć od czasu do czasu jego wpływ dawał się odczuć. Od czasu do czasu. Kiedy fale

nabierały większej mocy. Już od prawie dwustu lat nie były tak silnie odczuwalne jak teraz.

Wszystko jest wreszcie na swoim miejscu. Znalazł idealnego nosiciela.

Idealny nosiciel kierował swe kroki ku drugiemu krańcowi dziedzińca.

Sam profesor wydawał się z początku idealny, ale wszystkie usiłowania zakończyły się frustracją, wściekłością i na koniec - nagłą inspiracją! Trzeba sprowadzić na Ziemię mnicha! Są zaprojektowane tak, żeby wierzyły we wszystko, aby były podatne na każdą sugestię. Z łatwością można by kogoś nakłonić do wykonania tego zadania.

Niestety, ten akurat okazał się beznadziejny. Bez najmniejszego trudu można było sprawić, by w coś uwierzył. Ale sprawić, by wierzył w to jeszcze pięć minut później, okazało się jeszcze trudniejszym zadaniem, niż kazać profesorowi zrobić to, co z całej duszy chciał zrobić, tylko sobie nie pozwalał.

Potem jeszcze jedno niepowodzenie i wreszcie - to cud! - znalazł idealnego nosiciela.

Idealny nosiciel dowiódł już, że nie będzie miał najmniejszych skrupułów, kiedy przyjdzie mu zrobić to, co trzeba zrobić.

Przygnębiony, oblepiony mgłą księżyc usiłował wzejść na skraju nieba. W oknie poruszał się jakiś cień.

Rozdział trzydziesty

Z okna wychodzącego na drugi dziedziniec Dirk obserwował księżyc.

- Nie będziemy musieli długo czekać - odezwał się.

- Czekać na co? - spytał Richard.

Dirk odwrócił się od okna.

- Na ducha - wyjaśnił. - Wróci do nas. Profesorze - rzucił w stronę Rega, który siedział, niespokojny, przy kominku - czy ma pan trochę brandy, francuskie papierosy lub jakieś kropelki na zmartwienie?

- Nie - odparł Reg.

- W takim razie nic nie ulży memu strapieniu - oznajmił Dirk i wrócił do poprzedniej czynności.

- Wcale nie czuję się przekonany - odezwał się Richard - że nie ma tu innego wytłumaczenia jak tylko to... z duchami...

- Podobnie musiałeś na własne oczy zobaczyć działanie wehikułu czasu, zanim przyjąłeś do wiadomości jego istnienie - odparował Dirk. - Richard, pochwalam twój sceptycyzm, ale nawet najbardziej sceptyczny umysł musi być przygotowany na przyjęcie tego, co nie do przyjęcia, jeżeli nie ma żadnej alternatywy. Jeśli coś wygląda jak kaczka i kwacze jak kaczka, powinniśmy przynajmniej rozważyć możliwość, że oto mamy przed sobą niedużego ptaka wodnego z rodziny Anatidae.

- W takim razie czym jest duch?

- Sądzę, że duch - zaczął Dirk - to ktoś, kto umarł nagłą lub niespodziewaną śmiercią, nie

załatwiwszy do końca swoich spraw. I nie może spocząć, dopóki ich nie dokończy lub nie uporządkuje.

Odwrócił się ku nim twarzą.

- I z tego to powodu - rzekł - wehikuł czasu stanowiłby dla takiego ducha sporą atrakcję, gdyby dowiedział się o jego istnieniu. Wehikuł czasu dawałby mu szansę naprawienia tego, co w opinii ducha potoczyło się źle. Szansę na uwolnienie. I właśnie dlatego tu wróci. Próbował najpierw opanować samego Rega, ale Reg stawiał mu opór. Potem ten incydent ze sztuką magiczną, pudrem do twarzy i koniem w łazience, którego - przerwał na chwilę - nawet ja nie rozumiem, ale mam zamiar zrozumieć, nawet jeśli miałyby mnie to zabić. Potem na scenę wkraczasz ty, Richardzie. Duch opuszcza Rega i zamiast na nim, koncentruje się na tobie. Niemal natychmiast przydarza ci się dziwny, lecz znaczący drobniaczek. Robisz coś, czego potem bardzo żałujesz. Mówię tu, rzecz jasna, o telefonie do Susan i o wiadomości, którą zostawiłeś dla niej na automatycznej sekretarce. Duch w lot chwyta szansę i próbuje wpłynąć na ciebie, żebyś to naprawił. Żebyś, by tak rzec, powrócił do przeszłości i wymazał wiadomość. Żebyś zniweczył błąd, który popełniłeś. Chce się przekonać, czy jesteś do tego zdolny. Czy leży to w twojej naturze. I gdyby tak było, pozostawałbyś teraz całkowicie w jego władzy. Ale dosłownie w ostatniej sekundzie twoja prawdziwa natura zbuntowała się i nie zrobiłaś tego. Zatem duch dochodzi do wniosku, że szkoda na ciebie czasu, i porzuca z kolei ciebie. Musi znaleźć sobie kogoś innego. Od jak dawna to robi? Nie mam pojęcia. Czy teraz to wszystko wydaje ci się bardziej sensowne? Czy czujesz wreszcie, że to, co mówię, jest prawdą?

Richarda zmroziło.

- Tak - odpowiedział. - Myślę, że masz niewątpliwie absolutną rację.

- W którym zatem momencie - mówił dalej Dirk - poczułeś, że duch cię opuścił?

Richard przełknął ślinę.

- Kiedy wyszedł Michael Wenton-Weakes - powiedział.

- No to zaczynam się zastanawiać - mówił cicho Dirk - jakie możliwości dostrzegł w nim duch. Zastanawiam się, czy tym razem znalazł to, czego szukał. Wydaje mi się, że nie będziemy musieli długo czekać.

Rozległo się pukanie do drzwi.

Kiedy się otworzyły, stał w nich Michael Wenton-Weakes. Powiedział po prostu:

- Bardzo proszę, potrzebuję waszej pomocy.

Reg i Richard zagapili się najpierw na Dirka, potem na Michaela.

- Czy nie macie nic przeciwko temu, żebym to gdzieś położył? - zapytał Michael. - Jest dość ciężka. Pełna sprzętu pletwonurka.

- Tak, rozumiem - mówiła Susan. - Dzięki, Nicola, spróbuję tej palcówki. Jestem pewna, że wsadził tam to es wyłącznie na złość. Tak, siedzę nad tym solidnie przez całe popołudnie. A niektóre z tych szesnastkowych pasażerów to po prostu zwykłe draństwo. Tak, pomogło mi oderwać myśli od tego

wszystkiego. Nie, nic nowego. Wszystko to jest bardzo tajemnicze i po prostu potworne. Nawet nie chcę... Słuchaj, może zadzwonię do ciebie później, żeby się dowiedzieć, jak się czujesz. Tak, wiem, w sumie nigdy nie wiadomo, co właściwie gorsze: choroba, antybiotyki czy konieczność obcowania z lekarzami. Dbaj o siebie, a przynajmniej przypilnuj Simona, żeby on się tym zajął. Każ sobie przynosić hektolitry gorącej herbaty z cytryną. W porządku. Pogadamy jeszcze. Trzymaj się ciepło. Na razie.

Powróciła do wiolonczeli. Ledwie jednak zaczęła rozważać na nowo problem irytującego es, zadzwonił telefon. Przez całe popołudnie trzymała zdjętą słuchawkę, ale po telefonie do Nicoli zapomniała o tym i odłożyła ją na widełki.

Z westchnieniem odstawiła wiolonczelę i podeszła do telefonu.

- Halo? - rzuciła stanowczo.

I znów nic, dalekie zawodzenie wiatru. Zirytowana, wcisnęła widełki.

Poczekwała kilka sekund, aż rozmowa rozłączy się na dobre, po czym już miała odłożyć słuchawkę na stolik, kiedy zdała sobie sprawę, że Richard może jej potrzebować.

Zawahała się.

Przyznała przed sobą, że nie korzysta już z automatycznej sekretarki, ponieważ zwykle nastawiała ją dla wygody Gordona, a w tej chwili nie miała ochoty, aby cokolwiek jej o nim przypominało.

Mimo to włączyła sekretarkę, ściszyła całkowicie głośnik i powróciła do owego es, które Mozart wstawił w to akurat miejsce wyłącznie na złość wiolonczelistkom.

W mroku biura Holistycznej Agencji Detektywistycznej Dirka Gently'ego Gordon Way wmanipulował niezgrabnie słuchawkę na widełki i opadł na fotel, pogrążony w czarnej rozpacz. Nawet nie próbował niczemu zapobiec, kiedy prześlizgiwał się przez fotel, by opaść w końcu łagodnie na podłogę.

Panna Pearce umknęła z biura już za pierwszym razem, kiedy telefon zaczął sam się używać - jej cierpliwość do tego typu rzeczy po raz kolejny całkowicie się wyczerpała - i od tego czasu Gordon Way miał całe biuro do swej wyłącznej dyspozycji. Pomimo to wszystkie próby skontaktowania się z kimkolwiek nie przyniosły rezultatu.

A raczej należałoby powiedzieć, że nie powiodły się próby skontaktowania z Susan. To właśnie do Susan mówił, kiedy umarł, i z jakichś względów żywił przekonanie, że musi z nią porozmawiać jeszcze raz. Ale ona przez całe popołudnie trzymała zdjętą słuchawkę, a kiedy w końcu odebrała jego telefon, wcale go nie słyszała.

Poddał się. Podniósł się z podłogi i wysliznął na ciemniejszą ulicę. Przez chwilę dryfował bez celu, potem udał się na spacer po kanale, która to sztuczka szybko straciła swój urok, więc wkrótce znów wędrował ulicami.

Szczególnie przygnębiały go okna, z których wylewało się światło i życie, ponieważ zaproszenie, jakie wokół rozsiewały, nie do niego było kierowane. Zastanawiał się, czy znalazłby się ktoś, komu

nie wadziłoby, jeśli wśliznąłby się do jego domu i pooglądał sobie wieczorną telewizję. Przecież nie sprawiłby wiele kłopotu.

Albo kino.

To brzmiało znacznie lepiej. Mógłby iść do kina.

Odwrócił się i o wiele bardziej stanowczym, choć nadal bezcielesnym krokiem skierował się w Noel Road i ruszył w dół ulicy.

Noel Road, myślał. Coś gdzieś mu dzwoniło. Miał wrażenie, że ostatnio zetknął się z kimś z Noel Road. Kto to mógł być?

Myśli przerwał mu przeraźliwy krzyk, który poniósł się echem po całej ulicy. Gordon stanął jak wryty. Kilka sekund później otworzyły się z trzaskiem jakieś drzwi i wybiegła z nich oszalała ze strachu kobieta.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Richard nigdy nie przepadał za Michaeliem Wentonem-Weakesem, a tym mniej lubił go z duchem w środku. Nie potrafił podać przyczyny - osobiście nie miał nic przeciwko duchom i nie uważał, żeby trzeba było kogoś oceniać negatywnie tylko na podstawie tego, że nie żyje - ale nie podobało mu się to i już.

Z drugiej zaś strony, trudno było nie żywić dlań współczucia.

Michael siedział smutno na stołku, łokieć oparł na stole, a głowę na dłoni. Wyglądał niezdrowo i mizernie. Wyglądał na straszliwie zmęczonego. Wyglądał żałośnie. Jego opowieść była bardzo męcząca, a dobiegła kresu przy próbach opętania najpierw Rega, a później Richarda.

- Miał pan rację - stwierdził. - Całkowitą rację.

To ostatnie skierował do Dirka, który w odpowiedzi zrobił jakiś grymas, jak gdyby próbował nie rozjaśnić się triumfem po raz kolejny tego dnia.

Głos należał do Michaela, a jednak do niego nie należał. Jeśli głos nabiera jakiegoś specjalnego brzmienia w ciągu miliarda lat przerażenia i izolacji, to ten właśnie głos nabrał go z pewnością i przyprawiał tych, którzy go słuchali, o dreszcz i zawrót głowy podobny do tych, jakie chwytają człowieka za mózg i żołądek nad brzegiem przepaści nocy.

- Winien jestem wam przeprosiny - mówił duch we wnętrzu Michaela - które składam teraz z całego serca i mogę mieć tylko nadzieję, że kiedy pojmiecie w pełni moje rozpaczliwe położenie i nadzieję, jaką oferuje mi ta maszyna, zrozumiecie też, dlaczego postąpiłem tak, jak postąpiłem, i że zdołacie mi wybaczyć. A także mi pomóc. Błagam.

- Dajcie facetowi wódki - burknął Dirk.

- Nie mam żadnej wódki - odrzekł Reg. - Może porto? Mam też jakąś butelkę margaux, którą mógłbym otworzyć. Bardzo dobrego margaux. Powinno postać z godzinę po otwarciu, ale to się bez problemu da zrobić, ja...

- Pomóżecie mi?

Reg wypadł z pokoju po porto i kilka szklanek.

- Dlaczego zagarnąłeś ciało tego człowieka?

- Potrzebowałem głosu, by mówić, i ciała, by działać. Nie stanie mu się nawet najmniejsza krzywda, nawet najmniejsza krzywda...

- Pozwól, że powtórzę swoje pytanie: dlaczego zagarnąłeś ciało tego człowieka? - upierał się Dirk.

Duch sprawił, że ciało Michaela wzruszyło ramionami.

- Bo tego chciał. Obaj panowie, co rozumiałe, opierali się tej... hm, hipnozie; pańska analogia jest trafna. A ten? Myślę, że jego poczucie własnej wartości znalazło się właśnie w najniższej fazie odpływu, więc się zgodził. Żywię dlań wielką wdzięczność i nie uczynię mu żadnej krzywdy.

- Jego poczucie własnej wartości - powtórzył w zadumie Dirk - znalazło się w najniższej fazie odpływu.

- Podejrzewam, że to może być prawda - powiedział Richard cicho do Dirka. - Zeszłej nocy był bardzo przygnębiony. Odebrano mu jedyną rzecz, jaka się dla niego liczyła, bo... no cóż, nie bardzo umiał się z nią obchodzić. I chociaż jest bardzo dumny, to przypuszczam, że mógł się okazać całkiem podatny na myśl, że może być komuś naprawdę potrzebny.

- Hmmm - powiedział Dirk i powtórzył to jeszcze raz. Po chwili powtórzył to z uporem po raz trzeci. Potem zakręcił się i huknął zniecierpliwioną na siedzącą na stołku postać.

- Michaelu Wentonie-Weakesie!

Michael podskoczył i zamrugał gwałtownie.

- Tak? - odezwał się swym normalnym, żalobnym głosem. Wzrokiem śledził każdy ruch Dirka.

- Czy mnie słyszysz i czy jesteś w stanie odpowiadać w swoim imieniu?

- Tak - odpowiedział tamten - naturalnie, że tak.

- Ta... istota, ten duch. Czy wiesz, że jest w tobie? Akceptujesz jego obecność? Czy z własnej woli chcesz wziąć udział w tym, co planuje?

- Zgadza się. Bardzo poruszyła mnie jego opowieść i bardzo chcę mu pomóc. Prawdę mówiąc, uważam, że powinienem to zrobić.

- W porządku - rzucił Dirk, strzelając palcami - możesz odejść.

Głowa Michaela niespodziewanie opadła do przodu, a potem wolno uniosła się, jakby ktoś pompował ją od środka jak oponę.

Duch znów miał pełnię władzy.

Dirk pochwycił krzesło, okręcił dookoła i usiadł na nim okrakiem, przodem do ducha w Michaelu,

wpatrując się uważnie w jego oczy.

- Jeszcze raz - rzekł. - Opowiedz mi jeszcze raz. Po prostu małe streszczonko.

Ciało Michaela lekko stężało. Wyciągnęło rękę do ramienia Dirka.

- Nie dotykaj mnie! - warknął Dirk. - Po prostu przytocz fakty. A za pierwszym razem, kiedy będziesz próbował wzbudzić we mnie litość, dam ci w oko. Nawet w pożyczone. Więc daruj sobie wszystko to, co brzmiało jak... ee...

- Z Coleridge'a - odezwał się niespodziewanie Richard. - To brzmiało dokładnie jak z Coleridge'a. Przypominało Pieśń o starym żeglarzu. No, w każdym razie fragmentami.

Dirk zasępił się.

- Coleridge? - mruknął.

- Próbowałem mu opowiedzieć swoją historię - przyznał duch. - Ja...

- Przepraszam - przerwał mu Dirk - musisz mi wybaczyć.

Nigdy przedtem nie przesłuchiwałem czteromiliardoletniego ducha. Czy mówimy tu o Samuelu Taylorze? Czy twierdzisz, że opowiedziałeś swoją historyjkę Samuelowi Taylorowi Coleridge'owi?

- Byłem w stanie wejść w jego umysł... w pewnych okolicznościach. Kiedy bywał nieco bardziej podatny.

- Chcesz powiedzieć: kiedy był pod wpływem opium? - wtrącił Richard.

- Zgadza się. Był wtedy bardziej rozluźniony.

- Nie zaprzeczę - parsknął Reg - Kiedy go czasem spotykałem, bywał wprost zaskakująco rozluźniony. - I zniknął w kuchni, skąd dobiegł jego śmiech.

- To jakiś inny świat - mruknął do siebie Richard, siadając i potrząsając głową.

- Ale, niestety, kiedy on był w pełni władzy nad sobą, ja, by tak rzec, nie byłem - mówił dalej duch - tak więc nic z tego nie wyszło. A to, co opisał, to bardzo okrojona wersja.

- Proszę omówić - mruknął do siebie Richard, unosząc brwi.

- Profesorze - zawołał Dirk - to może zabrzmieć niedorzecznie, ale czy Coleridge kiedykolwiek próbował... no... skorzystać z pańskiego wehikułu? Niech pan omówi tę kwestię w absolutnie dowolny sposób.

- A wiesz - odpowiedział Reg, wyglądając zza drzwi - rzeczywiście, kiedyś, przy jakiejś okazji, przyszedł tu powęszyć, ale był wtedy w tak rozluźnionym stanie, że przedsięwzięcie raczej nie mogło mu się udać.

- Rozumiem - odparł Dirk. - Ale dlaczego - ciągnął, zwracając się do dziwacznej postaci Michaela, zgarbionej na stołku - dlaczego znalezienie właściwej osoby zajęło ci aż tyle czasu?

- Przez długie, długie okresy jestem bardzo słaby, niemal na granicy nieistnienia, i wtedy na nic nie mogę wpływać. No, a poza tym przedtem nie było wehikułu czasu i nie było dla mnie żadnej nadziei...

- Może istnienie duchów przypomina wykresy fal - podsunął Richard. - Jak wzór interferencji między tym, co rzeczywiste, i tym, co możliwe. Wystąpiłyby wtedy nieregularne ekstrema, tak jak w wykresie fali muzycznej.

Duch przerzucił oczy Michaela w kierunku Richarda.

- To pan... - powiedział - ...to pan napisał ten artykuł...

- E...tak...

- Bardzo mnie poruszył - oznajmił duch, a jego głos niespodziewanie wezbrał żalem i tęsknotą, które zaskoczyły nie tylko słuchaczy, ale i jego samego.

- Och. Rozumiem - odpowiedział Richard. - No cóż, dziękuję. Kiedy mówiłeś o nim poprzednio, nie byłeś taki zachwycony. No tak, wiem, że to niezupełnie byłeś ty...

- Zatem - wtrącił Dirk - powróćmy do początku...

Duch nabrał powietrza w płuca Michaela i zaczął mówić:

- Był statek...

- Statek kosmiczny.

- Tak. Wyruszyliśmy na nim z Salaxali, świata w... w każdym razie bardzo daleko stąd. Miejsce pełne utrapień i przemocy. My - grupa około stu osób - wyruszyliśmy, tak jak to często czynią i ludzie, żeby znaleźć sobie nowy świat. Żadna z planet w tym systemie słonecznym nie nadawała się do naszych celów, ale zatrzymaliśmy się tutaj, żeby uzupełnić niezbędne zapasy minerałów. Niestety, nasz statek patrolowy uległ uszkodzeniu w czasie lotu w atmosferze. Uszkodzenie było dość poważne, lecz można było je naprawić. Byłem inżynierem pokładowym i do mnie należało nadzorowanie napraw oraz przygotowanie statku do powrotu na statek-bazę. Ale żeby w pełni zrozumieć, co się później stało, musicie dowiedzieć się paru rzeczy o naturze naszego wysoce zautomatyzowanego społeczeństwa. Nie ma takiego zadania, które za sprawą wysoko rozwiniętej komputeryzacji nie stałoby się proste. Istnieją za to pewne dość specyficzne problemy, związane z wyprawą, która obrała sobie cel taki jak nasza...

- Jaki mianowicie? - wtrącił ostro Dirk.

Duch w Michaelu zamrugał zdziwiony, jakby odpowiedź była zupełnie oczywista.

- Znaleźć nowy, lepszy świat, w którym moglibyśmy wszyscy żyć na zawsze w swobodzie, pokoju i harmonii, rzecz jasna - odpowiedział.

Dirk uniósł brwi.

- Ach, więc to to - rzekł. - Zakładam, że przemyśleliście sobie wszystko bardzo dokładnie.

- Zleciliśmy to komu innemu. Mieliśmy na pokładzie wysoce wyspecjalizowane urządzenia, których zadaniem było utrzymywać nas w wierze w cel podróży, nawet gdyby sprawy zaczęły się komplikować. Na ogół spisywały się świetnie, ale myślę, że trochę za bardzo zaczęliśmy na nich polegać.

- A cóż to, u licha, było? - zdumiał się Dirk.

- Pewnie ciężko wam pojąć, jak bardzo dodawały nam ducha. I właśnie dlatego popełniłem tę śmiertcionośną pomyłkę. Kiedy sprawdzałem, czy możemy startować, nie chciałem przyjąć do wiadomości, że może nie być bezpiecznie. Potrzebowałem tylko czyjegós zapewnienia, że wszystko jest jak trzeba. Więc zamiast sprawdzić osobiście, posłałem jednego z elektrycznych mnichów.

Rozdział trzydziesty drugi

Mosiężna tabliczka na czerwonych drzwiach przy Peckender Street 33 lśniła, odbijając w sobie żółty blask ulicznej latarni. Rozjarzyła się na moment, kiedy zamigotały w niej groźne światła przemykającego obok radiowozu. Zmatowiała nieznacznie, kiedy przesunęła się przez nią biała, bledziutka zjawą. Zamigotała przy tym ledwo dostrzegalnie, ponieważ zjawą wciąż jeszcze dygotała od okropnego wstrząsu.

W ciemnym holu duch Gordona Waya na chwilę przystanął. Potrzebował jakiegoś wsparcia i naturalnie nic podobnego nie znalazł. Próbował wziąć się w garść, ale nie miał ani czego, ani czym brać. Na samo wspomnienie tamtego obrazu chwyciły go nudności, lecz nie miał przecież nic w żołądku. Na pół wtoczył się, na pół wpłynął po schodach na górę, jak tonący, który szuka w wodzie oparcia dla rąk.

Potknął się i przeleciał kolejno przez ścianę, biurko sekretarki i drzwi, aż na koniec znalazł się przed biurkiem Dirka, gdzie spróbował trochę dojść do siebie.

Gdyby jakimś cudem kilka minut później ktoś znalazł się w tym biurze - sprzątaczką na nocnej zmianie, gdyby Dirk taką zatrudniał (a nie zatrudniał z powodu tego, że mają one zwyczaj żądać zapłaty, a on nie zamierzał jej uiszczać), albo może włamywacz, gdyby w owym biurze coś warte było podobnego zachodu, ale raczej nie było - zobaczyłby taki widok, na który natychmiast by osłupiał:

Słuchawka wielkiego czerwonego telefonu stojącego na biurku nagle zakołysała się i zwała z widełek na blat biurka. Dał się słyszeć ciągły sygnał. Potem siedem dużych guzików wcisnęło się jeden po drugim, a po bardzo długiej przerwie, dzięki której brytyjski system telekomunikacyjny pozwala ci zebrać myśli i zapomnieć z kretesem, do kogo właściwie dzwonicz, dał się słyszeć sygnał dzwoniącego na drugim końcu kabla telefonu.

Kiedy zadzwonił już kilka razy, nastąpił cichy szcęk, jakiś furkot i sapnięcie nabierającej oddechu maszyny. Potem czyjś głos zaczął mówić:

- Cześć, tu Susan. W tej chwili nie mogę podejść do telefonu, bo próbuję wypracować odpowiednie es, ale jeśli masz ochotę zostawić nazwisko...

- I opierając się tylko na twierdzeniach jakiegoś - z ledwością mogę się zmusić, żeby wymówić te słowa - elektrycznego mnicha - mówił Dirk głosem dzwoniącym od drwiny - próbowałeś

wystartować tym statkiem, a on, ku twojemu ogromnemu zaskoczeniu, wyleciał w powietrze. A potem?

- A potem - dokończył duch przybitym głosem - zostałem na tej planecie zupełnie sam. Sam, ze świadomością tego, co uczyniłem swoim współtowarzyszom ze statku. Sam, zupełnie sam...

- Daruj sobie - warknął ze złością Dirk. - A co ze statkiem-bazą? Przypuszczalnie odleciał i kontynuował swoją wędrówkę w poszukiwaniu...

- Nie.

- No to co się z nim stało?

- Nic. Nadal tam jest.

- Nadal tam jest?

Dirk skoczył na równe nogi i zawirował, po czym znów zaczął przemierzać pokój tam i z powrotem z brwiami najeżonymi wściekłością.

- Tak - głowa Michaela opadła, lecz zaraz spojrzał żałośnie na Richarda i Rega. - Wszyscy byliśmy wtedy na pokładzie statku patrolowego. Z początku myślałem, że nawiedzają mnie duchy całej reszty, ale była to tylko moja wyobraźnia. Przez miliony lat, później miliardy, przemierzałem te błota zupełnie sam. Żadną miarą nie jesteście w stanie wyobrazić sobie nawet najmniejszej części tej tortury wieczności. Potem - dodał - całkiem niedawno, na tej planecie zaczęło się życie. Życie. Rośliny, stwory w morzach, a potem, na koniec, wy. Istoty inteligentne. I do was się zwracam, abyście uwolnili mnie od tortury, którą musiałem znosić.

Głowa Michaela opadła w skrajnym przygnębieniu, tak że przez kilka sekund podbródkiem dotykała klatki piersiowej. Potem powoli, chwiejnie, podniosła się i zapatrzyła na nich z jeszcze mroczniejszym płomieniem w oczach.

- Zabierzcie mnie tam - powiedział - błagam, zabierzcie mnie z powrotem do patrolowego statku. Jedno moje słowo, a wszystko będzie można zmienić, napraw dokona się jak należy, a statek patrolowy będzie mógł wrócić do bazy, polecimy w dalszą drogę, moje cierpienie się zakończy i przestanę być dla was ciężarem. Błagam.

Nastąpiła chwila ciszy, w czasie której jego błagania jakby zawisły w powietrzu.

- Ale tak nie można, prawda? - odezwał się Richard. - Jeśli tak zrobimy, wtedy to wszystko się nie zdarzy. Czy nie wywołamy tym samym mnóstwa paradoksów?

Na tę myśl Reg poruszył się niespokojnie.

- Nie będą gorsze od wielu już istniejących - odrzekł. - Gdyby wszechświat miał się skończyć za każdym razem, kiedy istnieje jakaś wątpliwość na temat tego, co się w nim wydarzyło, nigdy nie wyszedłby poza pierwszą pikosekundę. I z wieloma tak się dzieje rzeczywiście. Rozumiesz, świat jest jak ludzkie ciało. Kilka stłuczeń i zadrapań tu i ówdzie mu nie zaszkodzi. A nawet poważny zabieg chirurgiczny, jeśli wykona się go umiejętnie. Paradoksy to tylko tkanka zabliźniająca. Czas i przestrzeń same się goją, a ludzie po prostu pamiętają taką wersję wydarzeń, która ma dla nich

najwięcej sensu. Nie twierdzą przy tym, że niektóre sprawy nie wydadzą ci się dziwne, kiedy sam wplącesz się w paradoks, lecz jeśli nie zdarzyło ci się to nigdy przedtem, to nie wiem, w jakim wszechświecie żyłeś, bo na pewno nie w tym.

- W takim razie - odparł Richard - dlaczego pan się tak ciskał, żeby nie ratować ptaka dodo?

Reg westchnął.

- Nic nie rozumiesz. Dodo nie wyginałby, gdybym tak usilnie nie pracował nad uratowaniem latimerii.

- Latimerii? Tej prehistorycznej ryby? Ale jakim sposobem jedno mogło wpłynąć na drugie?

- Ach, więc o to pytasz. Złożone związki między przyczyną a skutkiem drwią sobie z analiz. Kontinuum jest nie tylko jak ciało ludzkie, ale przypomina także kawał źle przyklejonej tapety. Jeżeli w jednym miejscu przyciśniesz bąbel, w innym miejscu wyskakuje drugi. Nie ma już ptaków dodo, dlatego że się wtrąciłem. Narzuciłem sobie tę zasadę, bo nie mogłem tego dłużej znieść. Jeżeli próbujesz majstrować z czasem, w ostatecznym rozrachunku to ty ucierpisz na tym najbardziej - uśmiechnął się niewesoło i odwrócił wzrok.

A potem dodał, po długim zastanowieniu:

- Myślę, że to się da zrobić. Stałem się cyniczny, bo tyle razy mi nie wyszło. Opowieść tego biedaka jest bardzo poruszająca, a nie stanie się nic złego, jeśli położymy kres jego cierpieniom. To się zdarzyło tak strasznie dawno temu, na martwej planecie. Jeśli to zrobimy, wszyscy zapamiętamy tylko to, co każdemu z nas przydarzyło się indywidualnie. Przykre, jeśli reszta świata nie bardzo się z nami zgodzi. Nie będzie to pierwszy raz.

Głowa Michaela skłoniła się.

- Jesteś jakiś cichy, Dirk - zauważył Richard.

Dirk spojrział na niego gniewnie.

- Chcę zobaczyć ten statek - zażądał.

W ciemności czerwona słuchawka telefonu ześliznęła się kapryśnie i legła na blacie biurka. Gdyby był tam ktoś, kto by ją obserwował, mógłby dostrzec także kształt, który nią poruszał.

Kształt ów świecił ledwo dostrzegalnie, lżej nawet niż fosforyzowane wskazówki zegarka. Wyglądało to raczej tak, jakby to ciemność wokół niego stała się odrobinę ciemniejsza i widmowy kształt siedział w niej jak zagęszczona tkanka pod naskórkiem nocy.

Gordon po raz ostatni borykał się z oporną słuchawką. Po dłuższej chwili złapał ją w ostateczny chwyt i odłożył na widełki aparatu.

Opadła na nie i rozłączyła rozmowę. W tej samej chwili duch Gordona Waya odszedł na spoczynek i zniknął, bo dokończył już swą ostatnią rozmowę telefoniczną.

Rozdział trzydziesty trzeci

Obracając się chybotliwie w cieniu Ziemi, jak jeszcze jeden kawałek gruzu wśród rumowiska, jakie krążyło teraz po najdalszej orbicie, wisiał w przestrzeni kształt, który był większy i regularniejszy niż cała reszta. I starszy - o wiele, wiele starszy.

Przez cztery miliardy lat nieprzerwanie pochłaniał informacje ze znajdującego się pod nim świata, przeglądał, analizował i przetwarzał. Od czasu do czasu odsyłał niektóre z powrotem; wtedy, kiedy sądził, że mogą się przydać, kiedy sądził, że mogą zostać odebrane. Lecz na ogół obserwował, słuchał, rejestrował. Nie umknęła jego uwagi nawet najmniejsza zmarszczka fali, nawet najlżejsze drgnienie serca.

A poza tym w jego wnętrzu nic właściwie nie drgnęło od czterech miliardów lat, z wyjątkiem powietrza, które nadal krążyło, i unoszących się w tym powietrzu drobin kurzu, które igrały, igrały, igrały...

Jedynie drobne zakłócenie nastąpiło w tej oto chwili. Cicho i bez zbędnego zamieszania, jak kropla rosy osiadająca na liściu, w ścianie, która stała szara i pusta przez cztery miliardy lat, pojawiły się drzwi. Zwykle, najzwyklejsze, pomalowane na białą drzwi z niedużą, karbowaną, mosiężną klamką.

Także i to wydarzenie zostało zarejestrowane i wcielone do nieustającego strumienia danych przetwarzanych nieprzerwanie przez statek. Nie tylko pojawienie się drzwi, lecz także pojawienie się tych, którzy znajdowali się za nimi, także i to, jak wyglądali, jak się poruszali, jak się tutaj czuli. Wszystko zarejestrowane, opracowane i przetworzone.

Drzwi się otworzyły.

Za nimi widać było pokój niepodobny do żadnego z pomieszczeń statku. Pokój z drewnianą podłogą, meblami o zniszczonej tapicerce, z tańczącym na kominku ogniem. A kiedy tak ogień igrał, dane o nim igrały w komputerach statku, a razem z nimi igrały w powietrzu drobiny kurzu.

W otwartych drzwiach stanęła jakaś postać - potężna, żałobnie wyglądająca postać, w której źrenicach igrało teraz dziwne światło. Przystąpiła próg i znalazła się we wnętrzu statku; jej twarz oblał nagle spokój, za którym tak tęskniła, a którego już nigdy nie spodziewała się odnaleźć.

Tuż za nią pojawił się niższy i starszy mężczyzna o białych, niesfornych włosach. Kiedy wkroczył z własnego królestwa do królestwa statku, zatrzymał się i zamrugał ze zdumienia. Po nim wyszedł jeszcze jeden mężczyzna, niecierpliwy i spięty, w obszernym, skórzanym płaszczu z trzepoczącymi dookoła połami. On także przystanął, oszołomiony na moment czymś, czego nie rozumiał. Z wyrazem najgłębszego zadziwienia na twarzy ruszył przed siebie i zaczął rozglądać się po szarych, zakurzonych ścianach starożytnego statku.

Na koniec pojawił się czwarty mężczyzna, wysoki i szczupły. Kiedy przekraczał próg, potknął się, po czym natychmiast stanął jak wryty, jakby nadział się na niewidzialny mur.

W pewnym sensie rzeczywiście nadział się na mur.

Stał oczarowany. Gdyby ktoś w tej chwili rzucił okiem na jego twarz, stałoby się dlań oczywiste, że mężczyzna ów przeżywa najbardziej zdumiewającą chwilę w całym swoim życiu.

Kiedy odzyskał zdolność ruchu, ruszył przed siebie dość szczególnym krokiem, jak gdyby bardzo

powoli płynął. Każde najłżejsze poruszenie głową zdawało się wywoływać na jego twarzy nową falę zdumienia i podziwu. Oczy napełniły mu się łzami, zaczynało brakować mu tchu.

Dirk odwrócił się, żeby go popędzić.

- Co się dzieje? - zawołał.

- Ta... muzyka... - wyszeptał Richard.

W powietrzu pełno było muzyki. Było nią tak wypełnione, iż zdawało się, że nie ma już miejsca na nic innego. A każda cząsteczka powietrza wygrywała swoją własną melodię, tak że kiedy tylko Richard poruszył głową, natychmiast słyszał nową, inną muzykę, aczkolwiek ta nowa i odmienna muzyka doskonale pasowała do tego, co brzmiało obok.

Modulacje przeprowadzono doskonale - zaskakujące przeskoki między odległymi tonacjami, wykonane bez wysiłku, zwykłym przesunięciem głowy. Nowe tematy, nowe sploty melodii, wszystkie w idealnych, zdumiewających proporcjach, nieustannie przeplatały się w nie kończącą się pajęczynę. Potężne, powolne fale ruchu, nieco szybsze tańce, które przebiegały tamte jak dreszcz, drobniutkie, iskrzące się gonitwy, długie, splątane melodie, których zakończenia były tak podobne do początków, że zachodziły na siebie, skręcały, wywracały na nice, a potem odbiegały pospiesznie, depcząc po piętach kolejnej roztańczonej melodii, gdzieś w odleglejszej części statku.

Richard zatoczył się na ścianę.

Dirk chwycił go za ramię i podtrzymał.

- No chodźże - rzucił szorstko. - Co się z tobą dzieje? Nie możesz znieść muzyki? Trochę za głośna, co? Na litość boską, weź się w garść. Jest w tym wszystkim coś, czego nadal nie rozumiem. Coś mi nie gra. Chodź...

Powlókł Richarda ze sobą, a po chwili musiał już go ze wszystkich sił podtrzymywać, bo umysł Richarda zapadał się coraz głębiej, przygniatany wszechogarniającym ciężarem muzyki. Wizje, które utkały w jego głowie przebiegające przez nią miliony radosnych muzycznych nitek, stopniowo przechodziły w kotłujący się chaos, lecz im bardziej pączkował ów chaos, tym bardziej dopasowywał się do drugiego chaosu i następnego, jeszcze większego chaosu, aż na koniec stał się jedną wielką, eksplodującą kulą harmonii, która rozprzestrzeniała się w jego umyśle szybciej, niż jakikolwiek umysł byłby w stanie to znieść.

A potem wszystko stało się proste.

W głowie zatańczyła mu pojedyncza melodia i na niej skupił całą swoją uwagę. Była to melodia, która zakipiała wśród magicznej powodzi, uformowała ją, nadała jej kształt, przeżyła ją w całości, przeżyła ją w każdym szczególe, stała się jej esencją. Odbijała się i przebiegała radosnym dreszczem, z początku drobniutkim kroczeniem, potem zwalniała, potem znów tańczyła, lecz jakby z większym trudem, zdawało się, że zapada się w wirach, aż niespodziewanie odkryła, że te wiry to tylko pierwsze zmarszczki potężnej nowej fali energii, która wypłynęła radośnie gdzieś z głębin.

Powoli, powolutku Richard osuwał się w nieświadomość.

Leżał nieruchomo.

Czuł, że jest starą gąbką, nasączoną parafiną i pozostawioną do wyschnięcia na słońcu.

Czuł się jak ciało starego konia, wysychające pod zamglonym słońcem. Śnił o olejku, rzadkim i wonnym, o ciemnych, wzburzonych morzach. Leżał na białej plaży, ogłupiały od piasku, zbieleły, ospały, bombardowany światłem, tonął, szacując gęstość chmur oparów w jakiejś odległej galaktyce, wirując w martwej rozkoszy. Dźwięki, ledwo dosłyszalne, wypalały się jak odległy sen.

Biegł, potykając się. Na tle nocy tkwały się światła portu. Morze jak mroczny duch chlastało w nieskończoność o piaski, rozmigotane, nieprzytomne. Tam dalej, gdzie było głębsze i zimniejsze, tonął bez trudu, ciężkie morze puchło mu wokół uszu jak olej, a jego spokój zakłócało jedynie odległe terkotanie - coś jakby dzwoniący telefon.

Stopniowo uświadamiał sobie, że odległe terkotanie jak dzwoniący telefon to rzeczywiście był dzwoniący telefon.

Usiadł gwałtownie.

Leżał na małym wymiętym łóżku, w nieporządnym, wyłożonym boazerią pokoju, który z całą pewnością rozpoznawał, tylko nie potrafił zlokalizować. Pokoik był zarzucony książkami i trzewikami. Zamrugął, ale to nic nie pomogło.

Dzwonił telefon przy łóżku. Podniósł słuchawkę.

- Halo - rzekł.

- Richard! - To był głos Susan, zupełnie oszalały. Potrząsnął głową, ale nie przypomniał sobie nic, co mogłoby się w tej chwili przydać.

- Halo? - powtórzył.

- Richardzie, czy to ty? Gdzie jesteś?

- Poczekaj chwilę. Pójdę zobaczyć.

Odłożył słuchawkę na pomiętą pościel, gdzie spoczęła, biadoląc, zlął na drżących nogach z łóżka, dowlókł się do drzwi i otworzył je.

Za nimi była łazienka. Przyjrzał się jej podejrzliwie. Tak jak poprzednio, rozpoznał ją, ale czuł, że czegoś tu brakuje. Ach, tak - w środku powinien być koń. W każdym razie koń był, kiedy zaglądał tu ostatnim razem. Przeszedł przez łazienkę i wyszedł drugimi drzwiami. Na drżących nogach powędrował po schodach do głównego pokoju w apartamencie Rega.

Widok, który ujrzał, kiedy już tam dotarł, bardzo go zaskoczył.

Rozdział trzydziesty czwarty

Ustały już wczorajsze i przedwczorajsze burze, opadła zeszlotygodniowa powódź. Niebiosa wprawdzie nadal pęczniały od deszczu, lecz w narastającej grozie wieczoru zacinała tylko ohydna mżawka.

Poryw wiatru smagnała ciemniejącą równinę, zabłąkał się na chwilę wśród niewysokich pagórków, po czym wionął przez nieduże zagłębienie doliny, w samym środku której wznosiła się jakaś konstrukcja, coś jakby przechylona wieża, samotna wśród koszmaru błot.

Wieża przypominała poczerniały pniak. Sterczała w górę jak intruzja magmy, która wypłynąć mogła tylko z najbardziej zatraconej czeluści piekieł. Pochylała się pod dosyć szczególnym kątem, jak gdyby przygnieciona czymś dużo poważniejszym niż tylko jej własna, dość znaczna przeciw masa.

Jedynym ruchem, jaki dało się tu zauważyć, był powolny przepływ rzeki błota, która sunęła ospale doliną u stóp wieży. Jakaś milę czy dwie dalej rzeka ta wpadała w jar i tam znikwała pod ziemią.

Lecz w miarę jak narastały ciemności, stawało się coraz bardziej oczywiste, że wieża nie jest zupełnie pozbawiona życia. Głęboko w jej wnętrzu pulsował pojedynczy strumień zamglonego, czerwonego światła.

To właśnie ten widok tak zaskoczył Richarda, kiedy ujrzał go w małych białych drzwiach, osadzonych w ścianie skalnej u zbocza doliny, kilkaset jardów od wieży.

- Nie wychodź! - krzyknął Dirk, podnosząc w górę rękę. - Atmosfera jest trująca. Nie jestem pewien, co to jest, ale z pewnością świetnie nadaje się do czyszczenia dywanów.

Dirk stał w drzwiach i przyglądał się dolinie z najgłębszą podejrzliwością.

- Gdzie my jesteśmy? - zapytał Richard.

- Na Bahamach - odrzekł Dirk. - To trochę skomplikowane.

- Dziękuję - odparł Richard i na chwiejnych nogach ruszył z powrotem przez pokój.

- Przepraszam - powiedział do Rega, który kręcił się wokół Michaela Wentona-Weakesa, upewniając się, czy sprzęt pletwonurka, który tamten miał na sobie, pasuje wszędzie jak należy, czy maska jest dostatecznie zabezpieczona i czy regulator dopływu powietrza działa należycie.

- Przykro mi, ale muszę przejść - powtórzył Richard. - Dzięki.

Wspiął się po schodach, wszedł do sypialni Rega, usiadł na brzegu łóżka i ujął słuchawkę.

- Na Bahamach - rzekł. - To trochę skomplikowane.

Na dole Reg właśnie kończył smarować wazeliną wszystkie złącza kombinezonu i nieliczne nieosłonięte fragmenty skóry wokół maski, po czym obwieścił, że wszystko gotowe.

Dirk odsunął się od drzwi i stanął z boku, manifestując wyraźnie swoją złą wolę.

- No dobra - powiedział - spadaj. Krzyżyk na drogę. Umywam ręce od tej całej historii. Podejrzewam, że będziemy musieli tu czekać, aż zwrócisz puste opakowanie, mniejsza o to, ile jest warte. - Sztywno obszedł kanapę, wykonując przy tym pełne złości gesty. Nie podobało mu się to. Wcale mu się to nie podobało. A szczególnie nie podobało mu się, że Reg wie więcej o czasoprzestrzeni niż on sam. Złościło go i to, że zupełnie nie wiedział, dlaczego tak mu się to wszystko nie podoba.

- Mój drogi przyjacielu - odezwał się Reg pojednawczym tonem - zważ, jak niewiele potrzeba, by pomóc tej nieszczęsnej duszy. Przykro mi, jeśli wydaje ci się to nie dość dramatycznym zakończeniem, po tych wszystkich twoich nadzwyczajnych wyczynach dedukcji. Wiem, że sądzisz, iż tak zwyczajny cel jak miłosierdzie to nie dla ciebie, ale powinieneś okazywać więcej serca.

- Więcej serca, ha! - ironizował Dirk. - Płacę podatki, czego jeszcze chcecie?

Rzucił się na kanapę, przeczesał palcami włosy i naburmuszył się.

Opętana postać Michaela wymieniła uścisk dłoni z Regiem i mruknęła kilka słów podziękowania. Potem podeszła sztywno do drzwi, odwróciła się i złożyła im obu głęboki ukłon.

Dirk gwałtownie odwrócił głowę i zza szkieł okularów wpatrzył się w niego płonącymi od gniewu oczyma, z dziko rozwianymi włosami. Duch zwrócił wzrok na Dirka i na chwilę zadrżał w środku z lęku. Przesądny instynkt nakazał mu nagle pomachać do nich ręką. Pomachał ręką Michaela trzykrotnym kolistym ruchem, a potem wyrzekł jedno, jedyne słowo:

- Żegnajcie.

Mówiąc to, odwrócił się, złapał za framugę drzwi i z determinacją wyszedł w błoto, na cuchnący i trujący wiatr.

Przystanął na chwilę, żeby sprawdzić, czy ma wystarczające oparcie dla stóp i czy jest w stanie zachować należytą równowagę, a potem, nie oglądając się więcej za siebie, zaczął się od nich oddalać, z dala od władzy śliskich stworów na nogach, w kierunku własnego statku.

- A cóż to, u diabła, miało znaczyć? - odezwał się z irytacją Dirk, naśladując potrójne koliste machnięcie.

Richard zbiegł jak burza po schodach, szarpnął drzwi i wpadł do pokoju z oczyma rozszerzonymi grozą.

- Zamordowano Rossa! - krzyknął.

- A któż to, do cholery, jest Ross? - odkrzyknął Dirk.

- No ten cały, jak mu tam, Ross, na litość boską! - wrzeszczał Richard. - Nowy naczelny „Sążnia”.

- A co to jest „Sążeń”? - znów odkrzyknął Dirk.

- Ten cholerny magazyn Michaela. Dirk! Nie pamiętasz? Gordon wylał Michaela i dał gazetę temu całemu Rossowi. Michael go za to znieawidził. No i wczorajszej nocy poszedł drań i go zamordował!

Zamilkł na chwilę, dysząc ciężko.

- W każdym razie - dodał po chwili - Ross został zamordowany. A Michael jest jedynym, który mógł mieć powód.

Podbiegł do drzwi i rzucił okiem na oddalającą się postać, która zniknęła w ponurej dali, i obrócił się na pięcie.

- Czy on wróci?

Dirk skoczył na równe nogi i stał, mrugając nerwowo.

- Więc to o to... - zaczął. - Więc to dlatego Michael tak się nadawał. To za tym właśnie powinienem był się rozejrzeć. Za tym, do czego duch go zmusił, żeby go opanować - za czymś, co w głębi serca chciał zrobić, co pasowałoby do jego własnych celów. Wielki Boże. On myśli, że my ich wyrugowaliśmy, i to właśnie chce odwrócić. Uważa, że to jest ich świat, nie nasz. To tutaj mieli się osiedlić, tu mieli zamiar budować ten swój przeklęty raj. Teraz już wszystko do siebie pasuje.

- Widzisz - zwrócił się do Rega - cośmy narobili? Nie byłbym wcale zaskoczony, gdyby się okazało, że wydarzenie, które próbuje teraz odwrócić ta twoja nieszczęsna dusza, jest tym właśnie, które zapoczątkowało życie na naszej planecie!

Nagle odwrócił wzrok od bladego i roztrzęsionego Rega i skierował z powrotem na Richarda.

- Kiedy o tym słyszałeś? - spytał ze zdziwieniem.

- E... właśnie przed chwilą - odparł Richard. - Przez... przez telefon. Na górze.

- Co takiego?

- Dzwoniła Susan. Nie mam pojęcia jak. Powiedziała, że wiadomość o tym znalazła na swojej automatycznej sekretarce. Mówiła, że wiadomość była... powiedziała, że od Gordona, ale myślę, że miała po prostu atak hysterii. Dirk, co tu się, u diabła, dzieje? Gdzie my właściwie jesteśmy?

- Jesteśmy o cztery miliardy lat w przeszłości - powiedział Reg drżącym głosem - i nie pytaj, proszę, dlaczego telefon działa, kiedy jesteśmy w zupełnie innym miejscu we wszechświecie niż to, do którego został podłączony, z tą sprawą będziesz musiał się zwrócić do Telekomunikacji Brytyjskiej, ale...

- Niech szlag trafi Telekomunikację Brytyjską! - krzyknął Dirk siłą długiego przyzwyczajenia. Podbiegł do drzwi i wpatrzył się intensywnie w zamazaną sylwetkę, brnącą przez szlam w kierunku salaksalańskiego statku, zupełnie poza ich zasięgiem.

- Jak myślicie - odezwał się dosyć spokojnie - ile czasu zajmie temu tłustemu, samooszukującemu się draniowi dotarcie do statku? Bo tyle właśnie zostało nam czasu. Chodźcie. Usiądźmy. Pomyślmy. Według mnie mamy ze dwie minuty na to, żeby zdecydować, co powinniśmy zrobić. Po upływie tego czasu bowiem, jak podejrzewam, nasza trójka i wszystko, co kiedykolwiek znaliśmy, nie wyłączając latimerii i ptaka dodo, drogi profesorze, przestanie w ogóle, i to kiedykolwiek, istnieć.

Usiadł ciężko na kanapie, po czym wstał i wyciągnął spod siebie porzuconą marynarkę Michaela. Kiedy to zrobił, z kieszeni wypadła jakaś książka.

Rozdział trzydziesty piąty

- Myślę, że to odpychający akt zbezczeszczenia - powiedział Richard do Rega, kiedy siedzieli ukryci za żywopłotem.

Noc była pełna zapachów lata płynących z przydomowego ogródka i dolatującego od czasu do czasu

zapachu morza, który dochodził tu w lekkich podmuchach bryzy, zabawiającej się na brzegu Kanału Bristolskiego.

W oddali ponad linią morza igrał jasny księżyc, a w jego blasku można było dostrzec dalekie Exmoor, rozciągnięte szeroko na południu.

Reg westchnął.

- Tak, być może - rzekł - ale wiesz, obawiam się, że on ma rację: musimy to zrobić. To jedyny pewny sposób. Wszystkie instrukcje zawarte były w tym jednym kawałku, jeśli tylko wiedziało się, czego szukać. Musimy je wymazać. Duch zawsze będzie w pobliżu. A teraz nawet podwójnie. To znaczy, jeśli nam się powiedzie, naturalnie. Nieszczęśnik. Ale mimo wszystko wydaje mi się, że sam jest sobie winien.

Richard zerwał kilka źdźbeł trawy i skręcał je nerwowo między palcami. Wyciągał je do księżycowego blasku, ustawiał pod różnymi kątami i obserwował, jak igra z nimi światło.

- Taka muzyka - odezwał się. - Nie jestem człowiekiem religijnym, ale gdybym był, powiedziałbym, że słuchać takiej muzyki to jak zajrzeć w myśli Panu Bogu. Być może tak właśnie było i powinienem być religijny. Ciągłe muszę sobie przypominać, że oni nie stworzyli muzyki, tylko instrument, który był w stanie odczytać zapis nutowy. A nuty zapisało samo życie. I wszystko to zostało tam w górze.

Uniósł wzrok ku niebu. Nieświadomie zaczął cytować:

O, gdybym wskrzesić w sobie zdołał

Jej pieśń i te cymbałów dźwięki,

Tak bym się pięknem rozweselił,

Że przez rozgłośniej, długiej pieśni cud

Dźwignąłbym znowu pałac ten pod błękit!

Słoneczny dach! W pieczarach lód!

- Hmmmm - mruknął do siebie Reg - zastanawiam się, czy dotarł dostatecznie wcześnie.

- Co pan mówił?

- Ach, nic. Tak tylko myślę.

- Dobry Boże, ten ma gadane, co? - wykrzyknął nagle Richard. - Siedzi tam już ponad godzinę. Zastanawiam się, co się tam dzieje.

Podniósł się i spojrzał ponad żywopłotem na niewielki wiejski domek, skąpany w blasku księżyca. Jakaś godzinę wcześniej Dirk podszedł dzielnie do frontowych drzwi i głośno w nie zastukał.

Kiedy drzwi się otworzyły, trochę jakby niechętnie, i wyjrzała z nich odrobinę oszołomiona twarz, Dirk złapał za swój niedorzeczny kapelusz i zapytał głośno:

- Czy pan Samuel Coleridge? Przechodziłem właśnie tędy, rozumie pan, po drodze z Porlock, i

zastanawiałem się, czy wolno by mi było przeszkodzić panu, aby zechciał mi pan łaskawie udzielić wywiadu? Dla naszej małej parafialnej gazetki, którą wydaję. Przrzekam nie zająć panu zbyt wiele czasu, wiem, że taki sławny poeta jak pan musi być bardzo zapracowany, ale takim podziwem zdejmują mnie pańskie dzieła...

Reszta już do nich nie dotarła, ponieważ Dirk zdołał przedostać się do środka i zamknął za sobą drzwi

- Czy mogę na moment przeprosić? - spytał Reg.

- Słucham? A tak, jasne - odparł Richard. - Mam zamiar tam zajrzeć, żeby zobaczyć, co się dzieje.

I podczas gdy Reg powędrował za drzewko, Richard pchnął niewielką furtkę i właśnie miał ruszyć ścieżką ku domowi, gdy nagle usłyszał, że od środka zbliżają się ku frontowym drzwiom jakieś głosy.

Pognał pospiesznie z powrotem, bo drzwi zaczęły się otwierać.

- No tak, bardzo panu dziękuję, panie Coleridge - mówił Dirk, który się w nich pojawił, miętosząc w rękę kapelusz i kłaniając się. - Był pan nad wyraz uprzejmy i hojnie poświęcił mi pan swój czas, co doceniam należycie i podobnie docenią ten gest nasi czytelnicy. Pewien jestem, że da się z tego wypracować bardzo przyjemny artykuł, którego egzemplarz, może pan być spokojny, prześlę panu do przejrzania. Z największą przyjemnością wysłucham pańskich uwag, jeśli będzie pan je miał - wskazówki stylistyczne, podpowiedzi, rady, wie pan, tego rodzaju rzeczy. No cóż, jeszcze raz dziękuję za poświęcony mi czas, naprawdę mam nadzieję, że nie oderwałem pana od żadnej istotnej...

Drzwi zatrzasnęły się za nim z hukiem.

Dirk pojawił się na ścieżce, po raz kolejny tego dnia jaśniejąc triumfem, i pognał w stronę Richarda.

- No, w ten sposób położyliśmy wszystkiemu kres - powiedział, składając dłonie. - Myślę, że zaczął już to zapisywać, ale teraz nie będzie pamiętał ani słowa, to pewne. A gdzież jest nasz bałamutny profesor? A, tu pan jest. Wielkie nieba, nie miałem pojęcia, że zajęło mi to aż tyle czasu. Nadzwyczaj fascynujący i zabawny facet, ten nasz pan Coleridge, a przynajmniej byłby taki z pewnością, gdybym tylko mu na to pozwolił, ale ja byłem raczej pochłonięty tym, aby samemu być fascynującym i zabawnym. Aha - przypomniał sobie - zrobiłem też to, o co mnie prosiłeś, Richardzie. Na koniec zapytałem go o tego albatrosa, a on mi na to: co za albatros* [* Chodzi o albatrosa z cytowanej wcześniej Pieśni o starym żeglarzu S.T. Coleridge'a; jego zabicie ściągnęło na załogę statku wiele nieszczęść. Symboliczny ptak stał się przedmiotem wielu dociekań, a jego znaczenie nigdy nie zostało do końca wyjaśnione.]*? A na to ja, że to nic ważnego, ten albatros nie ma żadnego znaczenia. A on: jaki albatros nie ma żadnego znaczenia, a ja: nieważne, jaki albatros, ten albatros się wcale nie liczy. Na to on, że właśnie się liczy - ktoś przychodzi do jego domu w środku nocy i bredzi o jakichś albatrosach, więc chciałby wiedzieć dlaczego. Na to ja: w mordę durnego albatrosa, a on, że bardzo mu to odpowiada i nie jest pewien, czy nie wykorzysta tego pomysłu w poemacie, nad którym właśnie pracuje. To będzie lepsze, oznajmił, niż zderzenie z asteroidem, które było trochę naciągane. No i wtedy wyszedłem.

- No, dobra - westchnął. - Uratowawszy od zagłady całą ludzkość, nie miałbym chyba nic przeciwko

pizzy. Co powiecie na taką propozycję?

Richard nic nie powiedział. Wpatrywał się za to z niejakim zdumieniem w Rega.

- Coś cię trapi? - zapytał Reg, nieco urażony.

- To niezła sztuczka - odparł Richard. - Przysięgłbym, że kiedy wchodził pan za drzewo, nie miał pan brody.

- A... - Reg pomacał się po bujnym zarostie. - Tak – dodał - to zwykła nieuwaga, najzwyczajniejsza nieuwaga.

- Co pan tam knuł?

- Och, tylko kilka poprawek. Trochę kosmetyki, rozumiesz. Nic szczególnie drastycznego.

Kilka minut później, kiedy wprowadzał ich w dodatkowe drzwi, które w tajemniczy sposób uzyskała pobliska obora, obejrzał się na niebo w samą porę, żeby dojrzeć małe światełko, które zamigotało i znikło.

- Przykro mi, Richardzie - mruknął i ruszył za nimi do środka.

Rozdział trzydziesty szósty

- Nie, dziękuję, Dirk, nie - oświadczył twardo Richard - choć bardzo chciałbym skorzystać z okazji i kupić ci pizzę, a potem przyglądać się, jak ją jesz, wolałbym jednak pójść prosto do domu. Muszę zobaczyć się z Susan. Czy to możliwe, Reg? Prosto do mojego mieszkania? W przyszłym tygodniu przyjechałbym do Cambridge po samochód.

- Już tam jesteśmy - odparł Reg. - Wystarczy, że wyjdiesz za próg, a znajdziesz się we własnym domu. Jest wczesny wieczór w piątek i masz przed sobą cały weekend.

- Dzięki. Słuchaj, Dirk, wpadnę do ciebie, co? Czy jestem ci coś winien? Sam nie wiem.

Dirk mglistym gestem odsunął sprawę na bok.

- W stosownym czasie otrzymasz zawiadomienie od panny Pearce - powiedział.

- Dobra, w porządku. Zobaczymy się, kiedy trochę odpocznę. To wszystko było, hm, trochę nieoczekiwane.

Podszedł do drzwi i otworzył je. Wyszedłszy na zewnątrz, znalazł się na samym środku własnej klatki schodowej, w ścianie której właśnie zmaterializowały się drzwi.

Już miał ruszyć po schodach, kiedy uderzyła go nagła myśl. Wszedł z powrotem do środka, zamykając drzwi za sobą.

- Reg, czy moglibyśmy odrobinę zboczyć? - zapytał. - Myślę, że dobrym posunięciem byłoby zabrać Susan na kolację, tylko że w miejscu, o którym myślę, rezerwację trzeba robić trzy tygodnie naprzód. Czy dałbyś radę załatwić mi te trzy tygodnie?

- Nic prostszego - odpowiedział Reg i dokonał drobnych zmian w rozłożeniu paciorków liczydła. -

Proszę bardzo - rzekł - przebyliśmy w czasie trzy tygodnie wstecz. Wiesz, gdzie jest telefon.

Richard pognał po schodach do sypialni Rega i zadzwonił do L'Esprit d'Escalier. Szef sali był zachwycony i z radością dokonał rezerwacji oraz z góry cieszył się na spotkanie za trzy tygodnie. Richard zszedł na dół, potrząsając głową w zadziwieniu.

- Potrzebuję weekendu pełnego solidnej rzeczywistości - oznajmił. - Kto wychodził z tych drzwi?

- Dostawcy, którzy przywieźli twoją kanapę. Facet pytał, czy nie zechcielibyśmy uchylić nieco drzwi, tak żeby mogli wmanewrować tę kanapę na zakręcie, a ja odpowiedziałem, że z najwyższą przyjemnością.

Zaledwie kilka minut później Richard gnał już po schodach do mieszkania Susan. Kiedy dotarł do drzwi wejściowych, jak zwykle ucieszył się, słysząc dochodzące ze środka głębokie tony wiolonczeli. Po cichu otworzył drzwi, a potem, kiedy wchodził do pokoju, w którym grała, zamarł nagle ze zdumienia. Grała melodię, którą gdzieś już wcześniej słyszał. Odbijała się i przebiegała radosnym dreszczem, z początku drobnutki kroczykiem, potem zwalniała, potem znów tańczyła, lecz jakby z większym trudem...

Miał tak osłupiały wyraz twarzy, że Susan przerwała natychmiast, kiedy go zobaczyła.

- Co się stało? - spytała zaniepokojona.

- Skąd wzięłaś tę muzykę? - spytał szeptem Richard. Wzruszyła ramionami.

- Ze sklepu muzycznego - odparła zdziwiona. Nie stroiła z niego żartów; po prostu nie rozumiała pytania.

- Co to jest?

- Fragment kantaty, którą gram od kilku tygodni - odparła.- Bach, numer szósty.

- Kto to napisał?

- No cóż, jeśli się dobrze zastanowić, to chyba Bach.

- Kto?

- Obserwuj moje wargi. Bach. Be-a-ce-ha. Jan Sebastian Bach. Przypomniało ci się?

- Nie, nigdy o takim nie słyszałem. Kim on jest? Czy napisał coś jeszcze?

Susan odłożyła smyczek, odstawiła wiolonczelę, wstała i podeszła do niego.

- Dobrze się czujesz? - zapytała.

- No... trudno powiedzieć. Co...

W oczy wpadła mu sterta nut, które leżały w kącie, a te z samego wierzchu miały na okładce to samo nazwisko. Bach. Rzucił się na tę stertę i zaczął w niej grzebać. J.S. Bach. Sonaty wiolonczelowe. Koncerty brandenburskie. Msza b-moll.

Popatrzył na Susan, nic nie rozumiejąc.

- Nigdy przedtem tego nie widziałem - powiedział.

- Richard, mój skarbie - powiedziała, dotykając jego policzka - o co, na Boga, ci chodzi? Przecież to tylko nuty do Bacha.

- Ale czy ty nic nie rozumiesz? - rzucił, potrząsając papierami. - Ja nigdy w życiu tego nie widziałem.

- No cóż - oznajmiła z kpiarską powagą - może gdybyś nie siedział cały czas przy muzyce komputerowej...

Popatrzył na nią szczerze zaskoczony, a potem z wolna osunął się po ścianie i usiadł, zanosząc się histerycznym śmiechem.

W poniedziałek po południu Richard zadzwonił do Rega.

- Reg! - powiedział. - Pański telefon znów działa. Gratulacje.

- A tak, mój drogi kolego - odrzekł Reg. - Wspaniale, że dzwonicz. Tak. Chwilę wcześniej przybył tu pewien bardzo uzdolniony młody człowiek i naprawił telefon. Nie sądzę, żeby znów miał się zepsuć. To dobra wieść, nie uważasz?

- Bardzo dobra. To znaczy, że dotarł pan do domu bezpiecznie.

- O tak, dziękuję. Och, mieliśmy tu spore zamieszanie, kiedy wróciliśmy od ciebie. Pamiętasz tego konia? Wrócił tu ze swoim właścicielem. Mieli jakieś niemiłe przygody na posterunku i życzyli sobie, żeby ich odstawić do domu. I dobrze. Dość niebezpieczny osobnik, kiedy włóczy się na wolności. No tak. A ty jak się miewasz?

- Reg... ta muzyka...

- A, tak. Sądziłem, że się ucieszysz. Włożyłem w to kawałek roboty, wierz mi. Naturalnie, uratowałem tylko niewielki fragmencik, ale i tak musiałem oszukiwać. Jest tego trochę więcej, niż można by napisać w ciągu jednego ludzkiego życia, ale myślę, że nikt nie będzie tego zbyt poważnie roztrząsał.

- Reg, czy nie dałoby się wziąć jeszcze trochę?

- No cóż, raczej nie. Statku już nie ma, a poza tym...

- Moglibyśmy wrócić w czasie...

- Nie, przecież ci mówiłem. Naprawili telefon tak, że już się nie zepsuje.

- No i?

- No i wehikuł czasu już nie będzie działał. Wypalił się. Zginał jak dodo. Obawiam się, że to już koniec. Ale to chyba wszystko jedno, nie uważasz?

W poniedziałek pani Sauskind zadzwoniła do Holistycznej Agencji Detektywistycznej Dirka Gently'ego, żeby poskarżyć się na swój rachunek.

- Nie rozumiem, o co w tym wszystkim chodzi - oznajmiła. - To kompletne bzdury. Co to ma w ogóle znaczyć?

- Moja droga pani Sauskind - odpowiedział Dirk. - Trudno mi wprost opisać, jak bardzo cieszyła mnie perspektywa odbycia z panią po raz kolejny tej samej rozmowy. Gdzie to dzisiaj zaczniemy? Który punkt chciałaby pani omówić?

- Żadnego, dziękuję bardzo, panie Gently. Nie wiem, kim pan jest, ani dlaczego sądzi pan, że zaginął mi kot. Drogi Roderyk odszedł w moich ramionach dwa lata temu i nie chciałam już mieć innego kota.

- Ach, no cóż, pani Sauskind - odparł Dirk - choć z całą pewnością pani tego nie doceni, jest to właśnie bezpośredni wynik moich starań... Gdybym mógł wyjaśnić pani zasadę wzajemnej łączności między wszystkim... - Przerwał. To bezcelowe. Powoli opuścił słuchawkę z powrotem na widełki.

- Panno Pearce! - zawołał. - Proszę uprzejmie przesłać skorygowany rachunek pod adresem pani Sauskind, dobrze? Nowy rachunek ma brzmieć: „Za uchronienie ludzkości przed totalną zagładą - bez potrąceń”.

Włożył kapelusz i ruszył w kolejny dzień.